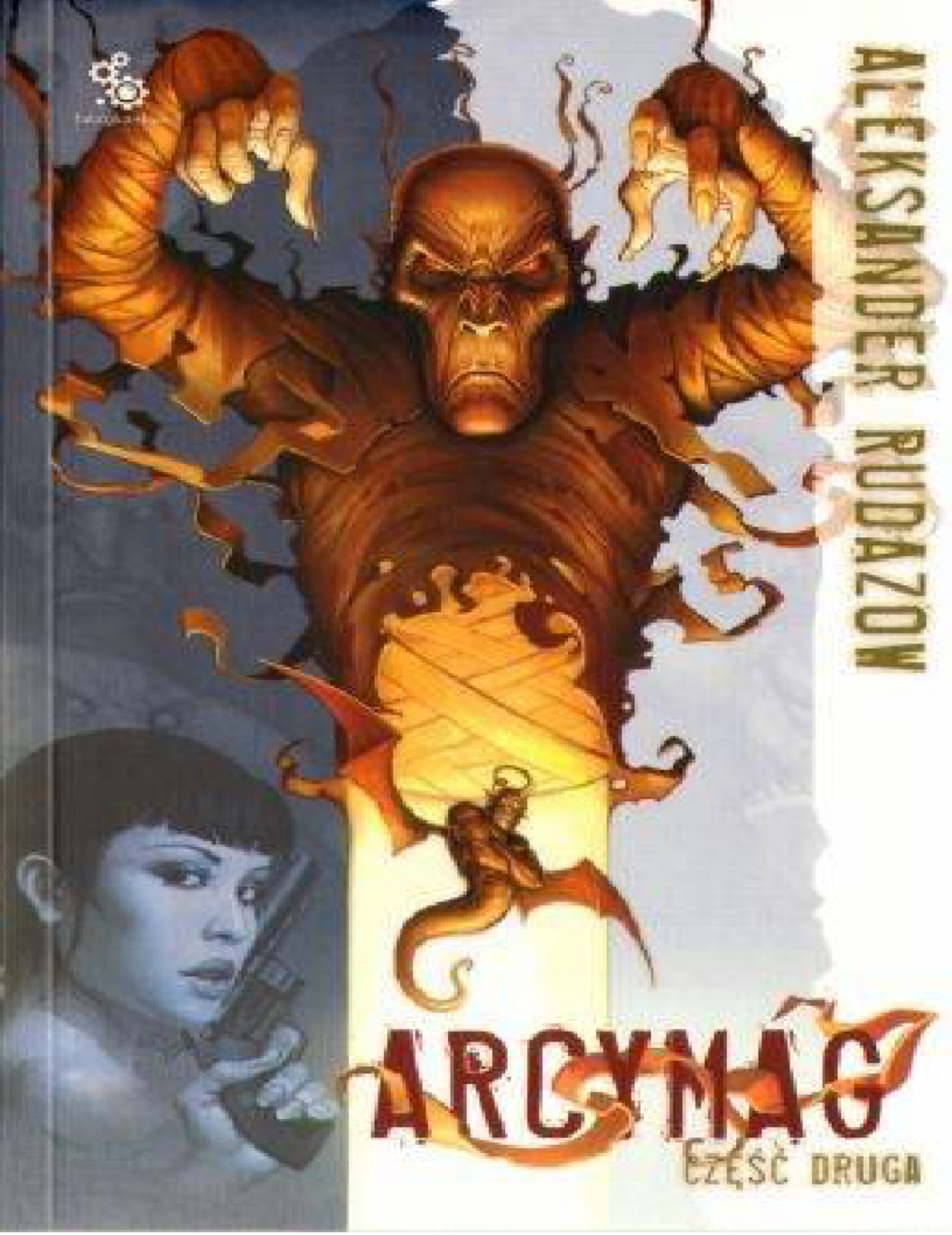
ALEKSANDER RUDAZOW
ARCYMÁG
CZĘŚĆ DRUGA

SHOUT
SHARE
IT

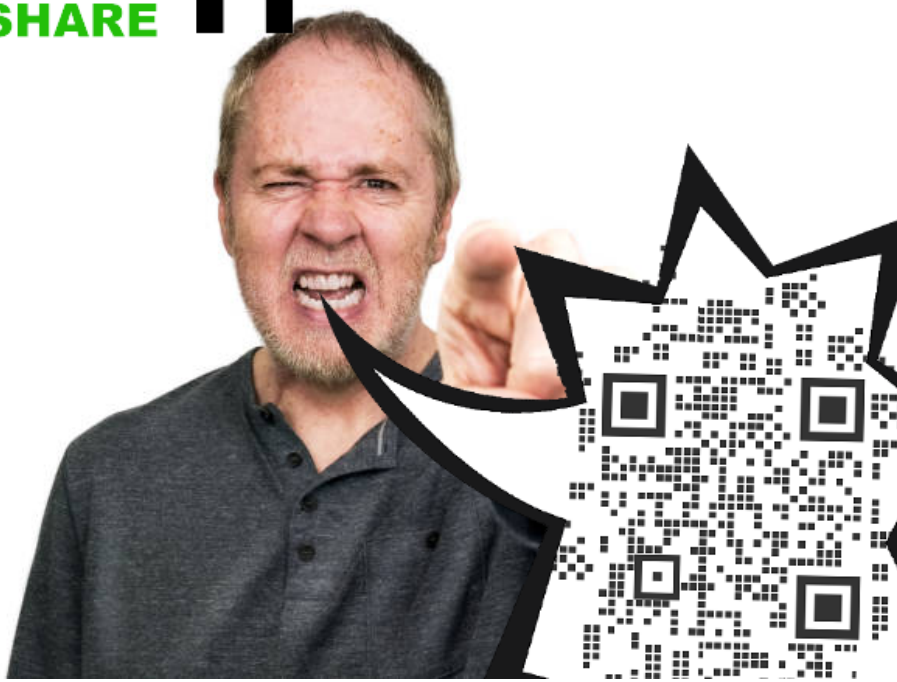

Annotation

Wraz z wieścią, że Fabryka Słów sięgnęła po wschodnią fantastykę, wstąpiła w moje serce nadzieja, że oto – po kompletnym wyjałowieniu niezbyt żyznego polskiego poletka – przyjdzie czas na import co bardziej łakomych kąsków zza granicy. Pierwsze importowane dzieła nie były może nazbyt udane, ale dopiero „Arcymag" rozwiewa wątpliwości. Porzućcie wszelką nadzieję – Fabryka sięgnęła po import nie po to, aby podnieść jakość produktów, ale po to, by produkować jeszcze więcej tego, czego i tak mamy aż nadto – prostej (prostackiej?) i nieskomplikowanej fantastyki rozrywkowej.

Rudazow debiutuje w fatalnym stylu. Opowiada historię potężnego sumeryjskiego maga, który trafia do współczesności, pod opiekę dzielnej pani policjant na urlopie. Naprzeciw siebie stają – arcymag Kreol (bezradny wobec tajemnic naszego pełnego wysokich technologii świata) i nasz świat (równie bezradny wobec władającego magią maga). Od tego momentu zaczyna się komedia pomyłek i pomniejszych katastrof, pełna niewyszukanego humoru. Kreol odkrywa dobrodziejstwa i szaleństwa współczesnego świata – tajemnicę ciepłej wody płynącej z kranów, fenomen telewizora i skutki emancypacji. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystko to już kiedyś było, a cała powieść to zlepek kalkowanych obrazków i gagów, które od lat mieli telewizja i popkultura. Nie ma tu ani jednej postaci, w której byłby rys oryginalności, ani jednej frazy, która zabrzmiałaby zgrabnie, i ani jednej sceny, która mogłaby czymkolwiek zaskoczyć.

Fabuła „Acymaga" w zadziwiający sposób koresponduje z naszą rzeczywistością. Do książki, jak i głównego jej bohatera, pasują te same przymiotniki – niewydarzony, infantylny, głupkowaty, nudny. Mnożąc kiepskie dowcipy ponad miarę, autor zabija wszelką logikę – gubi fakty, plącze wątki, przekłamuje charaktery postaci. Kreol, który trząsł ponoć starożytnym Sumerem, raz zachowuje się jak dobrotliwy, poczciwy staruszek, a innym razem jak kompletny imbecyl – ale nigdy jak postać, która miałaby za sobą przeszłość, jaką dopisał jej autor. Najpierw Rudazow próbował rozbawiać wizją arcymaga piszącego księgę zaklęć w pospolitym zeszycie, a potem nagle okazuje się, że księga liczy sobie półtora tysiąca stron. Najpierw arcymag wykłada, że magia nie służy błahostkom, a chwilę później odświeża sobie oddech magiczną formułą. Stężenie naiwności, błędów i niespójności osiąga swoje apogeum w drugim tomie, który w znacznej mierze zbudowano na retrospekcjach i eksplikacji magicznej strony świata.

Nad „Arcymagiem", jak mi się zdaje, przysypiał i autor, skutkiem czego logika pruje się tu i ówdzie, i grafik, który zamiast stworzyć

okładki obydwu tomów poskładał je z tych samych rysunków, i nawet korektor, którego nie zdziwiły niefortunne sformułowania oraz potknięcia tłumacza. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż wszyscy mieli świadomość, że powieść Rudazowa to nie arcydzieło i żadne starania tego nie zmienią. Biada czytelnikom, którzy natkną się na „Arcymaga”.

- Aleksander Rudazow
  -
  -
  - Rozdział 1
  - Rozdział 2
  - Rozdział 3
  - Rozdział 4
  - Rozdział 5
  - Rozdział 6
  - Rozdział 7
  - Rozdział 8
  - Rozdział 9
  - Rozdział 10
  - Rozdział 11
  - Rozdział 12
  - Rozdział 13
  - Rozdział 14
  - Rozdział 15

ALEKSANDER RUDAZOW
ARCYMAG
CZĘŚĆ DRUGA

Aleksander Rudazow

Arcymag. Część II

Przełożyła Agnieszka Chodkowska-Gyurics

To powiedziawszy, zawołał donośnym głosem:
„Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!” I wyszedł zmarły,
mając nogi i ręce powiązane opaskami,
a twarz jego była zawinięta chustą.
Ewangelia wg św. Jana
(tłumaczenie wg Biblii Tysiąclecia)

Wskrzeszenie martwego to zadanie trudne
i czasochłonne, ale możliwe, jeśli podejdzie się doń
umiejętnie i odprawi wszystkie niezbędne rytuały.
Magiczna księga Kreola

Rozdział 1

22 listopada, 2998r. p.n.e., Imperium Sumeryjskie, Pałac Szachszanor

Artod i Artedian z obawą podążali za swym panem. Dziś był wyraźnie nie w sosie, a gdy Kreol był nie w sosie, niewolnicy starali się trzymać od niego jak najdalej. Pierwszy Mag lubił odstresowywać się, zrzucając niewolników z murów otaczających pałac, a potem podziwiał leżący w dole placek. Chociaż wcale nie był takim złym panem – poprzedni właściciel mocarnych bliźniaków urodzonych w dzikich zachodnich stepach (ich imiona oznaczały Starszy Syn i Jeszcze Jeden Starszy Syn) wolał swoich niewolników palić żywcem. I to niezależnie od humoru – po prostu lubił zapach płonącego ludzkiego ciała. Mówiono nawet, że jest ludożercą…

Ale i arcymag Kreol z upływem lat stawał się coraz gorszy. Siwowłosy staruszek w zeszłym tygodniu przekroczył dziewięćdziesiątkę, ale mimo to zachował tęgie mięśnie i pełnię władz umysłowych, za to z każdym dniem robił się coraz bardziej ponury. Coraz częściej zdarzały mu się napady wściekłości, po których trzeba było wymieniać część mebli, a czasami nawet remontować pałac. Zarządca Szachszanoru dosłownie całe dnie i noce spędzał na targu niewolników, uzupełniając zasoby ludzkie, które gospodarz niszczył w błyskawicznym tempie.

Bliźniacy jak dotąd mieli szczęście. Oficjalnie tych dwóch było gwardią osobistą Kreola, ale w ciągu sześciu lat na tym stanowisku ani razu nie mieli okazji PRZYDAĆ SIĘ. Nie znaczy to, że pan nie miał wrogów. O, nie! Wrogów akurat miał tylu, że starczyłoby dla dziesięciu ludzi. Nie zdarzało się, by między kolejnymi atakami, które musiał odpierać Pierwszy Mag, minęło więcej niż pięć czy sześć dni. Szczególnie starał się jego daleki krewny, Troy, w sztuce magicznej niewiele ustępujący swemu wujowi. Sam nigdy nie pojawiał się w pałacu – rozumiał, że na cudzym terytorium nie ma żadnych szans. Zresztą, z tego samego powodu Kreol do tej pory nie pojawił się u Troya, by wyjaśnić wszystko twarzą w twarz – w domu maga, gdzie wszystkie ściany są przesiąknięte ochronnymi czarami, bardzo trudno jest go zwyciężyć. Ale, oczywiście, także posyłał wrogowi chmary przekleństw i różnych potworów. W zeszłym roku, prawie zatryumfował nad Troyem ostatecznie, gdy nasłał na niego okropnego stwora, którego pełne trzy miesiące hodował w najgłębszej piwnicy. Tyle dobrego, że wtedy przez dłuższy czas nie było żadnych nieprzyjemnych niespodzianek.

Artod i Artedian nie byli obecni przy narodzinach tej nienawiści –

wszystko zaczęło się prawie pół wieku temu, ale opowiedział im o tym Sze-Kemsza – najstarszy niewolnik w domu. Służył jeszcze ojcu gospodarza, a minęło już sześćdziesiąt lat od chwili jego śmierci. Twierdził, że przedtem Kreol i Troy nie przyjaźnili się, ale nie byli też wrogami. Nawet odwiedzali się nawzajem od czasu do czasu. I od jednej z takich wizyt wszystko się zaczęło.

Troy, w przeciwieństwie do Kreola, był rozpustnikiem, i podczas gdy wtedy jeszcze nie arcymag, a po prostu mistrz Kreol utrzymywał parę nałożnic, on miał ich kilkaset. Przy czym zmieniał je bardzo często – ogromna fantazja młodego nekromanty sprawiała, że jego kochanki ginęły w zastraszającym tempie.

Pewnego razu wpadł do Szachszanor podczas nieobecności gospodarza. Jak już wspomniano, nie byli wtedy jeszcze wrogami, dlatego Troya służba przyjęła jak gościa, robiąc wszystko, aby czuł się dobrze. Niestety, gdy mag zjadł suty obiad i dobrze go popił winem, wpadła mu w oko jedna z niewolnic.

Gdyby w domu był Kreol lub chociażby zarządca, udałoby się zapobiec nieszczęściu. Ale nikt inny nie odważył się powstrzymać maga, który zapragnął zabawić się z niewolnicą. Troy spędził z nią około pół godziny i wychodząc, wesoło oznajmił, że zniszczył nieco własność swego krewnego i towarzysza z Gildii, ale nie trzeba się martwić, on, Troy, zostawił w zamian zapłatę – całą garść złotych jechrów. Żaden z niewolników nie zaniepokoił się – było to powszednie zdarzenie, a zapłata trzykrotnie przewyższała wartość niewolnicy, nawet takiej ślicznotki, jak etiopska tancerka, którą Troy „nieco zniszczył". I wszystko minęłoby bez echa, gdyby nie…

Gdyby nie była to ulubiona niewolnica Kreola. Gdyby nie to, że nosiła pod sercem dziecko przyszłego Pierwszego Maga. Gdyby nie to, że okrutny i wybuchowy mag bodajże jedyny raz w życiu kogoś pokochał…

Gdy Kreol wrócił do domu i zobaczył to, co jeszcze wczoraj było przepiękną kobietą, wpadł w taki szał, że zniszczył połowę własnych murów obronnych i zabił około trzydziestu niewolników. Napad jeszcze się nie skończył, a mag już leciał (dosłownie) do Heszibу – pałacu Troya, żeby tam kontynuować dzieło zniszczenia. W tym miejscu należy dodać, że w tym czasie Kreol BYŁ JUŻ jednym z najsilniejszych magów Sumeru, a Troy JESZCZE NIE.

Następnego dnia, gdy Troy wrócił do domu, tym razem on doznał szoku. Z jego pałacu (zresztą znacznie mniejszego, niż pałac Kreola) zostały tylko dymiące zgliszcza – Kreol dosłownie zdmuchnął kamienną budowlę jak puch ostu. Przy życiu nie został ani jeden niewolnik, ani jedna nałożnica – wszyscy zginęli od ognia i błyskawic rozwścieczonego maga. Jednakże, gdy Troy znalazł ciało swego dziesięcioletniego syna… Nieszczęsne dziecko zostało utopione w

wannie z roztopionym złotem, a w usta Kreol wsunął mu maleńką, glinianą tabliczkę ze słowami „Mam nadzieję, że zapłata jest wystarczająca?”

Trzeba przyznać, że Kreol bardzo szybko zaczął żałować swojego postępku, a nawet złożył przebłagalną ofiarę na ołtarzu Isztar – do tego dnia mag nie zabił żadnego dziecka. A ten chłopiec nie był zwykłym dzieckiem, lecz członkiem jednego z najznamienitszych rodów Imperium – jego własnego. Młody Echta był przecież także krewnym Kreola i, w przeciwieństwie do swego ojca, niczym nie zawinił. Ale nic się już nie dało naprawić. O ile za zburzoną Heszibę i zabitych niewolników Kreol mógł zapłacić wykup (zabicie niewolnika w starożytnym Sumerze uważano za drobne przestępstwo, odpowiadające zniszczeniu cudzej własności), to śmierci syna Troy nie wybaczyłby mu za żadne skarby. Młodszy mag znienawidził krewniaka po kres swoich dni – a już co jak co, ale nienawidzić człowiek ten potrafił jak nikt inny! Od tego dnia Troy żył tylko myślą o zemście.

Oczywiście, nie rzucił się bezmyślnie do ataku – Troy nie był głupcem i rozumiał, że daleko mu do umiejętności Kreola. Zniknął z Sumeru na blisko trzydzieści lat. Nie wiadomo, gdzie go nosiło po świecie przez tyle czasu, ale wrócił już jako arcymag i bardzo szybko zajął poczesne miejsce na dworze imperatora. Mniej więcej na rok przed jego powrotem Kreol został Pierwszym Magiem i Troy natychmiast rozpoczął intrygi, starając się wygryźć byłego prawie-przyjaciela, a obecnie największego wroga z lukratywnego stanowiska.

Podczas spotkań w wieży Gildii Kreol i Troy kłaniali się sobie uprzejmie, kryjąc za fałszywymi uśmiechami zwierzęcą wściekłość. Jednakże po powrocie do domu natychmiast zaczynali intrygować. Szczególnie starał się Troy – w ciągu dwudziestu lat Kreol musiał wykończyć tylu najemnych zabójców, że starczyłoby ich na niewielką armię. Były wśród nich najrozmaitsze istoty – od zwykłych ludzi po potężne demony. Artod i Artedian szczególnie dobrze zapamiętali Zom-Hokob – wstrętnego stwora, podobnego do zniekształconego kalmara wielkości czterech słoni. Jak Troyowi udało się dogadać z tym potworem, nie wiadomo, ale w zeszłym roku wyszedł z Eufratu i lądem doszedł do samego Ur. Gigant walił w mur obronny prawie dwie doby, a w tym czasie Kreol wylewał na niego setki niszczących zaklęć. To, co w końcu zostało z potwora, można było zmieścić w pudełku.

Ale wszystko to były zwykłe, codzienne problemy – Kreol i bez Troya miał dość wrogów, przy czym nie wszyscy z nich byli ludźmi. Demon Eligor, na przykład, nabrał zwyczaju pojawiania się w pałacu bez zaproszenia raz lub dwa razy w miesiącu, żeby przypomnieć o jakiejś starej umowie. Za każdym razem po takiej wizycie Pierwszy

Mag wściekał się i niszczył meble, a potem długo bił głową w ścianę, a jego twarz wyrażała bezsilną złość.

Dziś Kreol również miał gościa, ale tym razem miłego. Mag, ubrany w hartowaną tunikę i turkusowy płaszcz, z ogromną skórzaną torbą wiszącą jak zwykle na lewym ramieniu, spacerował po murach w towarzystwie czarującej jasnowłosej damy w śnieżnobiałej szacie. Jej głos brzmiał jak piękna muzyka, a śmiech – jak brzęczenie dzwoneczków. Widać było, że nie jest zwykłą śmiertelniczką – chociażby dlatego, że weszła nie przez bramę, a po prostu pojawiła się znikąd.

Dwójce tej stale towarzyszył „ogon" w postaci osobistego dżinna pana – Hubaksisa. Cała służba nie przestawała się dziwić, jak pan może znosić takie nadęte *nic*. Wobec Kreola był pokorny, ale wobec służby zachowywał się tak, jakby cały Szachszanor należał do niego. A przecież dżinn był takim samym niewolnikiem jak oni sami!

– Posłuchaj swego dżinna, mój przyjacielu – doradziła dama dźwięcznym głosem, czule uśmiechając się do mrocznego starca. – Jego pomysł to nasza jedyna nadzieja.

– Opuścić Sumer?! – zazgrzytał zębami mag. – Porzucić funkcję Pierwszego? Zostawić moją Gildię? Mój pałac? Wszystko, co mam? Najpiękniejsza, oszalałaś!

Ochroniarze, słysząc każde słowo, zaczęli z oburzeniem przewiercać wzrokiem plecy pana. Kreol był całkowicie pozbawiony taktu – nawet z imperatorem rozmawiał tak, jakby ten był jednym z jego niewolników. A co najdziwniejsze, Najjaśniejszy Lugalbanda znosił to! Młody monarcha, który zajął miejsce ojca nie dalej niż w zeszłym roku, odnosił się do Pierwszego Maga z niebywałą cierpliwością, uważając, że co prawda zgłupiał na starość, ale kiedyś wyświadczył tronowi Sumeru kilka przysług. O ile w drugiej sprawie miał rację, o tyle w pierwszej mylił się całkowicie…

– To ty oszalałeś. – Przepiękna dama cierpliwie pokiwała głową. – Jeśli nie posłuchasz mojej rady, już niedługo nie będziesz miał ani pałacu, ani Gildii. Czepiając się tych złudnych dóbr, ryzykujesz utratą najważniejszego! Jesteś już niemłody, mój przyjacielu, a umowa, którą tak niebacznie zawarłeś, dokładnie…

– Pamiętam! – zazgrzytał zębami Kreol. – O Potężny Toporze, bardzo dobrze pamiętam… Nie ma godziny, bym tego nie wspominał! Ale musi być jakieś inne wyjście!

– Nie ma – odparła kobieta bezlitośnie. – A co z naszą umową? A może się rozmyśliłeś?

– Rozmyśliłem?! Ja się rozmyśliłem?! – parsknął starzec. – Najpiękniejsza, nie zrezygnuję z tego planu, nawet jeśli zaproponują mi posadę ibn Shaggatha!

– No i…? – popatrzyła na niego z kpiną.

– No właśnie! Jak mam TO osiągnąć, jeśli usnę na sto ekcji*?! **[*ekcja – sześćdziesiąt lat (przyp. autora)]**

– A jak masz zamiar osiągnąć to teraz? – złośliwie uśmiechnęła się rozmówczyni maga.

Kreol z mrocznym wyrazem twarzy pogładził kędzierzawą brodę. Wyglądało na to, że nie robił jeszcze żadnych planów – w końcu najważniejsze jest zacząć, a reszta w rękach bogów.

– Uwierz mi, przyjacielu, że teraz nie mamy najmniejszej nawet szansy. Co możesz przeciwstawić obecnemu Lengowi? Armię imperatora? A czy młody Lugalbanda pozwoli wysłać swoich żołnierzy nie wiadomo gdzie, tylko w imię twojej ambicji? Gildię magów? Większość jej członków to albo młodzieniaszkowie, którzy jeszcze niewiele potrafią, albo zgrzybiali, zdziecinniali starcy. Nie ma wśród nich nikogo, kto choć częściowo by ci dorównywał, a ci nieliczni, którzy mogą stawić ci czoła… na przykład, ten Troy…

– Troy?! – Kreol wrzasnął tak, że przestraszeni ochroniarze odsunęli się. Zazwyczaj po takim krzyku następował wybuch niekontrolowanej magii. Jednak nieznajoma wcale się nie przestraszyła; bez względu na to, kim była, Kreol nie budził w niej strachu. – Lepiej niech mnie zjedzą Stwory z Lengu niż miałbym pracować z tym pomiotem robaka i hieny! Dzielić się z NIM?!

– Sam widzisz, mój przyjacielu? A z iloma innymi, *silnymi* magami z waszej Gildii zgodziłbyś się podzielić? Czy jest tam ktoś pożyteczny? Taki, na którym można polegać? Podasz chociaż jedno imię?

Kreol zmarszczył brwi, rozmyślał przez chwilę, a potem westchnął ze smutkiem.

– He-Kel i Szamszuddin nie żyją. Hiro rozstał się z tym światem, Mei'Knoni zaprzedała duszę Lengowi. Poza nimi nie ma w tej przeklętej Gildii nikogo, komu bym ufał…

– Jak w takim razie zamierzasz działać? Może dogadasz się z dżinnami? Wielki Chan ostrzy sobie na ciebie zęby od czasu, gdy porwałeś mu to nędzne nic, przez pomyłkę zwane dżinnem…

Usłyszawszy ostatnie zdanie, Hubaksis fuknął obrażony, ale nie ośmielił się zaprotestować. Co więcej – podfrunął wyżej, a potem całkiem zniknął w bezchmurnym niebie. Kreol niezbyt lubił, gdy dżinn podsłuchiwał jego rozmowy z tym akurat gościem.

– Myślałem o umowie z Hwitaczi… – ostrożnie zauważył Kreol.

– Tego tylko brakowało! To jakbyś zamienił hienę na lwa! Hwitaczi nic nie obchodzi nasz świat, ale jest teraz silny jak nigdy! Jeśli ich zaprosisz, najpierw zjedzą Leng, a nas – na deser! Jak myślisz, co dostaniemy ty i ja, gdy przez Leng przetoczy się Zielony Ogień?

– Przecież Marduk jakoś dał radę? – zmrużył oczy Kreol.

– Niestety, nie jesteś Mardukiem – uśmiechnęła się rozmówczyni ironicznie. – Marduk był Najwyższym, a ty jesteś tylko arcymagiem. Marduk miał pięćdziesiąt Emblematów, a ty masz tylko żałosnego dżinna. Marduk miał ogromną armię, a ty jedynie niewielki oddział straży i garstkę posłusznych ci demonów. Mardukiem opiekowali się wszyscy bogowie Dziewięciu Niebios, a tobie pomagam tylko ja.

Kreol poczuł się, jakby ktoś mu napluł w twarz. Bezsilnie zgrzytnął zębami, nie śmiejąc podnieść oczu na tę, którą nazywał Najpiękniejszą.

– Chcesz przez to powiedzieć… – wykrztusił z trudem -…że gdy minie sto ekcji, będę miał to wszystko? Ciekawe, skąd?

– Oczywiście, że nie – uśmiechnęła się dama. – Ale, po pierwsze, uwolnisz się od kontraktu z Lengiem. To pierwszy plus. Po drugie, tak długi sen zrobi dobrze twojemu ciału, umysłowi, a nawet duszy – szczerze mówiąc, teraz całkiem mi się nie podobasz.

– A to dlaczego?! – natychmiast wyszczerzył się Kreol.

– Za szybko się denerwujesz. Zbytnia wybuchowość jest szkodliwa – ostro wytknęła mu rozmówczyni. – A śmierć i zmartwychwstanie oczyszczają duszę – któż może to wiedzieć lepiej ode mnie? Ale całą tę zawieruchę rozpoczęłam przede wszystkim dlatego, że Leng jest teraz za silny. Odkąd mój… Marduk zapieczętował przejście, Azatoth i pozostali bardzo osłabli, ale ciągle jeszcze pozostało wiele z ich poprzedniej mocy. Zbyt dużo jak na nas dwoje. Cały czas robią się coraz słabsi, mój przyjacielu, coraz słabsi. Powoli, ale nieodwracalnie. Niestety, jesteś śmiertelny, nie sądzę, by udało ci się dożyć czasów, gdy osłabną na tyle, byśmy mogli rzucić im wyzwanie. Ale jeśli postąpisz zgodnie z radą swego dżinna… Muszę przyznać, że czasem nawet takie *nic* może być pożyteczne.

Kreol zamyślił się głęboko. Wcale nie chciał porzucać wszystkiego, co zgromadził tutaj przez dziewięćdziesiąt lat. Szachszanor, pałac jego ojców, chociaż czterokrotnie odbudowywany od podstaw, był jednak jego prawdziwym domem. Kreol urodził się w nim i wychował, przeżył tu wiele lat.

– Sto ekcji… To długo… – westchnął.

– Nie sto, a tylko osiemdziesiąt trzy – poprawiła go dama. – Nie ma powodu, byś spał aż tak długo – może się zdarzyć, że przez ten czas umrę nawet ja. Okres, wymieniony w twoim kontrakcie, jest w pełni wystarczający.

– Mimo wszystko, to bardzo długo. Świat bardzo się zmieni… Wszyscy, których znam, umrą… prawie wszyscy. Będę sam… całkiem sam…

– A dlaczego miałbyś nie zabrać ze sobą tego jednookiego stworzenia, które tak obrzydliwie się ślini, widząc mnie bez odzienia?

– Ajza-Szi? – zdziwił się Kreol, z trudem przypominając sobie imię

swego niewolnika kąpielowego.

Oprócz kąpielowych, mag był jedyną osobą, jaka miała możliwość zobaczyć przepięknego gościa nago. Ajza-Szi został pozbawiony męskiej dumy, zanim jeszcze zaczął się na dobre rozwijać. Do tego rzeczywiście był jednooki. – Do czego może mi się przydać?

– Nie, przyjacielu, oczywiście nie miałam na myśli tego bezmózgiego eunucha. Mówiłam o twoim dżinnie. Nazywa się Hubaksis, nieprawdaż?

– A, on… – Kreol skrzywił się.

Mag sam nie pojmował, dlaczego do tej pory nie pozbył się Hubaksisa. Korzyści, jakie przynosił, były niewielkie w porównaniu z umiejętnością doprowadzania ludzi do białej gorączki. Każdy na miejscu Kreola dawno już odprawiłby dżinna z powrotem do jego świata, na spotkanie z wyrokiem śmierci. W ten sposób pogodziłby się też z Wielkim Chanem – lepiej nie mieć za wroga władcy dżinnów.

– Nie zajmie dużo miejsca – uśmiechnęła się Najpiękniejsza. – Nie trzeba będzie nawet uwzględniać go w zaklęciu. Dżinny potrafią samodzielnie pogrążać się w śpiączce.

– Wiem. – Kreol zmarszczył się z niezadowoleniem. – Dobrze, zrobię tak, jak mówisz. Sądzę, że trzeba będzie zbudować grobowiec… porządny grobowiec…

– Najważniejsze – sekretny grobowiec! – surowo zauważyła dama. – Będziesz musiał dobrze się postarać, aby ochronić go przed nieprzyjaciółmi! W tym względzie polegam na tobie, w twoim interesie leży, aby…

– Panie, alarm!!! – wrzasnął Artod, rzucając w górę krótki oszczep.

Kreol uniósł głowę i z jego palców wystrzeliła w mgnieniu oka oślepiająca błyskawica. W powietrzu miotało się z pół setki stworów przypominających ogromne gargulce. Miały ciemnobrązową wężową łuskę, pyski nieco przypominające lwie, błoniaste skrzydła, a ich łapy wyposażone były w sierpowate szpony. Jeszcze przed sekundą nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa – pojawiło się dosłownie znikąd.

– Kimkarowie! – warknął Kreol, podnosząc laskę i aktywując jakieś zaklęcie. – To wszystko, na co cię stać, Troyu? Podnieść tarcze, odsłonić kryształy, wypuścić płanetników!

Artod i Artedian posłusznie pomknęli wykonać polecenia pana. Dżinn Hubaksis pojawił się obok Kreola, dostał po łbie od rozzłoszczonego maga i znowu zniknął.

Kimkarowie szybko zorientowali się w sytuacji, zbili się w ciasną gromadę i pomknęli prosto na Kreola, wystawiając do przodu mordercze pazury. Najpiękniejsza cofnęła się kilka kroków, nie robiąc nic, by pomóc arcymagowi. Ten zresztą nie przejął się tym zbytnio – z laski Kreola wystrzeliła jeszcze jedna błyskawica i jeden z kimkarów

upadł gdzieś za murem z dzikim wrzaskiem. Ale pozostali uderzyli prosto na Kreola.

Uderzyli i odbili się. Na chwilę przed tym, jak pazury kimkarów dosięgły maga, otoczył go pomarańczowy blask Błyszczącej Zbroi. Stwory zawyły z bólu i znowu wzbiły się wyżej, gdzie jeszcze jednego doścignęła błyskawica Kreola.

Kimkarowie raz za razem starali się dosięgnąć celu, ale wciąż napotykali Błyszczącą Zbroję i odlatywali z wrzaskiem. Tymczasem na wszystkich pięciu wieżach pojawiły się duże romboidalne kryształy, a pośrodku dziedzińca otworzył się ogromny kwadratowy luk.

– Zabić wszystkich! – rozkazał Kreol, wyjmując z torby opasły pergaminowy tom w okładce z zaśniedziałej miedzi. – Pokażę wam, gdzie pieprz rośnie!

Kryształy wystrzeliły jednocześnie w miotających się kimkarów jasnozielonymi promieniami. Dwa stworzenia spadły, upieczone jak szaszłyki. W ślad za pierwszą salwą nastąpiła druga, potem trzecia…

Z otwartego luku wyleciało dziesięć stworzeń niewiadomej postaci. Niewiadomej, gdyż każde z nich otaczała niewielka chmura burzowa, a sami płanetnicy pozostawali niewidzialni. Stworzenia w milczeniu rzuciły się na kimkarów i dwa stada zmieszały się. Skrzydlate bestie rozrywały płanetników pazurami, natomiast płanetnicy atakowali kimkarów prądem.

– Ot, jest! – zwycięsko krzyknął Kreol, znalazłszy w księdze zaklęcie, którego szukał. – No, Troyu, czeka cię niespodzianka…

Kimkarowie, kimkarowie, poddani Agni-boga
Boga waszego chwalę!
Niech krzyczą kimkarowie, pożerający kimkarowie!
Przyjmij moją ofiarę, Agni!

Kimkarowie, kimkarowie, poddani Agni-boga,
Kruszę waszą wolę!

Niech krzyczą kimakarowie, demoniczni kimkarowie!
Przyjmij moją ofiarę, Agni!

Kimkarowie, kimkarowie, poddani Agni-boga
Podporządkowuję was sobie!
Niech krzyczą kimkarowie, pożerający kimkarowie!
Przyjmij moją ofiarę, Agni!

Przy każdym zdaniu Kreol rozsypywał w powietrzu biały proszek, po którym pozostawały tęczowe błyski. Gdy tylko wymówił ostatnie słowo zaklęcia, kimkarowie, jak na rozkaz, zakończyli bitwę z

płanetnikami, a kryształy wróciły na swoje poprzednie miejsca. Ocalali kimkarowie przysiedli na murze i pokornie zgromadzili się wokół Kreola, patrzącego na nich z nieukrywaną ironią.

Zostało ich niewiele ponad trzydziestu. Trzech zginęło od błyskawic Kreola, dziesiątkę zniszczyły promienie ochronnych kryształów, a płanetnicy zabili jeszcze pięciu. Zresztą płanetników też zostało tylko siedmiu.

– Komu służycie teraz, kimkarowie? – zapytał drwiąco Kreol.

Kimkarowie nie umieli mówić, a mag świetnie o tym wiedział. Ale patrzyli na niego wzrokiem tak pełnym oddania, że każdy głupi domyśliłby się, komu teraz służą.

– Udacie się teraz do swego poprzedniego pana! – rozkazał Kreol. – Zachowujcie się jakby nigdy nic. Udawajcie, że jesteście mu oddani tak samo jak przedtem. A gdy tylko nadarzy się okazja – zabijcie go!

Kimkarowie zatrzepotali skrzydłami, wzbili się w powietrze i znikli z cichym świstem. Pochodzące z dalekich Indii demony wolały pokonywać duże odległości nie na skrzydłach, a… w inny sposób.

– No i jak, Najpiękniejsza? – z dumą zapytał Kreol. – Można mieć ze mną do czynienia?

– Naprawdę sądzisz, że te głupie stwory są w stanie wykonać tak złożony rozkaz? – Pokiwała głową z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że nie! Ale zapewnią Troyowi kilka nieprzyjemnych minut, a mnie niczego więcej nie potrzeba. Jeśli nawet uda mu się z powrotem je sobie podporządkować (w co osobiście wątpię), więcej ich do mnie nie przyśle. Nie, Najpiękniejsza, Troy wymyśli coś nowego.

Kreol wychylił się ponad zwieńczeniem muru i z przyjemnością popatrzył na walające się w dole trupy kimkarów. Wyglądały niezbyt reprezentacyjnie – poczerniałe, zwęglone. Mniej więcej w całości ostał się tylko jeden – zabity jako pierwszy oszczepem. Nawet zwykły niewolnik był w stanie zabić jednego z tych pół-demonów.

– Kimkarowie… – mruknął Kreol z pogardą, patrząc na trupa. – W pojedynkę nie są warci więcej niż ten złamany oszczep. Ale kiedy zbiorą się w stado…

– Na co liczył ten, kto ich posłał? Czyżby Troy miał nadzieję, że uda mu się cię zabić, mój przyjacielu?

– Oczywiście, że nie! – obruszył się mag. – Żeby mnie zabić, trzeba by co najmniej pięć takich stad… chociaż nie… Zaklęcie Podporządkowania działa tak samo na jednego, jak i na tysiąc – bez względu na liczbę, wszystkich czekałby taki sam los… O, co innego gdyby to były *różne* demony… Tydzień temu Troy nasłał na mnie redehora, przed nim był krwawy golem, jeszcze wcześniej zjawiło się stado wirików, a w zeszłym miesiącu zabójca z Ta-Kemet, wierzchem na ogromnym gryfie. Jeśliby Troy posłał ich wszystkich naraz – wtedy,

być może…

– Dlaczego, w takim razie, nie zrobił tego do tej pory? – Najpiękniejsza uniosła brwi.

– Z tego samego powodu, co i ja. – Kreol wzruszył ramionami. – Jesteśmy z Troyem zaciekłymi wrogami. Nic nie zyska na mojej śmierci…

– Oprócz tytułu Pierwszego.

– To prawda – zasępił się mag. – To prawda, że chce tego… ale to nieważne. Najważniejsze, że obaj chcemy zabić wroga OSOBIŚCIE. Przyjdzie czas, gdy spotkamy się w pojedynku twarzą w twarz i wtedy go zabiję…

– W takim razie, po co to wszystko? – Najpiękniejsza wskazała na trupy.

– Wywiad. Obwąchujemy się nawzajem, szukamy słabych miejsc… Wiedza o przeciwniku to połowa zwycięstwa. Do tego każdy potwór, którego wysyłam przeciwko Troyowi, nieco go osłabia…

– Więc to tak? A te, które on wysyła… osłabiają ciebie, mój przyjacielu?

– Mnie?! – Kreol zaśmiał się. – Ależ skąd! To co mnie nie zabija, tylko mnie wzmacnia, Najpiękniejsza! W końcu jestem magiem!

Dama uśmiechnęła się ironicznie. Przez kilka sekund Kreol patrzył na jej uśmiech, nic nie rozumiejąc, a potem dotarł do niego kompletny brak logiki w tym wywodzie.

– Na łono Tiamat… – wymamrotał, rozzłoszczony. – Zresztą, nieważne. Wolę walczyć z godnym przeciwnikiem. O Najpiękniejsza, jesteśmy z Troyem wrogami od tylu lat… Na Marduka, gdy opuszczę Sumer, będzie mi brakowało tej wojny! Nigdy bym nie pomyślał…

– Tak więc powziąłeś decyzję, mój przyjacielu? – niecierpliwie przerwała mu dama. – Będziesz budował grobowiec?

– Trzeba będzie… – Kreol znowu się zachmurzył. – Ale nie rozumiem, do czego jestem ci w ogóle potrzebny? Czyżby bogom brakowało wojowników? Czemu ówże Marduk się nie nadaje?

– Sam dopiero co odpowiedziałeś na to pytanie. – Twarz Najpiękniejszej pokrył cień. – Mamy te same problemy, co magowie – na cudzym terytorium jesteśmy niewiele warci… Nawet gorzej. W Lengu byłabym słabsza od zwykłej śmiertelniczki, a Yog-Sothoth utraci siłę w Dziewięciu Niebiosach. Dlatego właśnie bogowie wykorzystują zwykłych śmiertelników, takich jak ty, mój przyjacielu. Demony Lengu zwróciły się do znanego ci skądinąd Azatotha, a Dziewięć Niebios z kolei oddało swój los w ręce Marduka Potężnego Topora. I jeden, i drugi spełnili swe zadania, ale potem sami zamienili się w bogów i, paradoksalnie, stali się nieprzydatni. Dlatego teraz potrzebuję ciebie. Zgadzasz się?

Widać było, że Kreol jest zadowolony. W końcu uzyskał

odpowiedź na najtrudniejsze pytanie – dlaczego? Dlaczego bogowie nie rozwiązują sami swoich problemów, tylko ciągle proszą o pomoc śmiertelników? Oczywiście, świetnie znał odpowiedź, ale bardzo ważne było dla niego, aby usłyszeć potwierdzenie z ust bogini.

– Zgadzam się, Najpiękniejsza. – Wykrzywił twarz w dziwnym grymasie.

– To dobrze. Oto, co ci powiem w takim razie: musisz zachować wszystko w najgłębszej tajemnicy. Niewolnikom, którzy będą budować schron, utnij języki, a po zakończeniu budowy zabij ich. Najlepiej wykorzystać cudzoziemców, którzy nie mają w Sumerze ani rodziny, ani przyjaciół. Nie wciągaj do tego demonów i dżinnów – nie ma gwarancji, że zachowają tajemnicę. W ogóle, podczas budowy nie korzystaj z magii – mogą cię wyczuć wrogowie. Sam nie zbliżaj się do tamtego miejsca, aż do ostatniej chwili – niech żadna żywa istota nie wie, że się tym zajmujesz. Otul grobowiec zaklęciem Największego Ukrycia – wiem, że przyjdzie za nie drogo zapłacić, ale daje najlepszą gwarancję bezpieczeństwa.

– Myślę, że zbuduję go…

– Nie mów nawet mnie! – przerwała mu Najpiękniejsza gwałtownie. – W ogóle nie wymawiaj tej nazwy głośno! Nie bierz ze sobą zbyt wielu rzeczy. Tylko to, bez czego nie możesz się obejść. A gdy obudzisz się… myślę, że nie da się obliczyć daty twego przebudzenia zbyt dokładnie, dlatego na wszelki wypadek wyznacz nieco dłuższy okres – żeby ostatecznie rozwiązać umowę z Lengiem. Za pierwszą połowę naszego planu w całości odpowiadasz ty. Nie będę cię szukać – sam mnie znajdziesz, gdy zbudujesz kocebu. I koniecznie, po przebudzeniu, zrób wywiad w Lengu – jak wiesz, mnie jest tam wstęp wzbroniony!

– Myślę, że poczekam na rozpoczęcie święta, tego obchodzonego co trzy lata – powiedział Kreol. – Postaram się obudzić na miesiąc – półtora przed kolejnym terminem. Będę mógł wtedy się tam dostać, nie budząc podejrzeń.

Rozdział 2

Po przybyciu do wielkiej doliny Inkwanok Vanessa natychmiast pożałowała, że tak bez zastanowienia uparła się towarzyszyć Kreolowi. Ale było już za późno, żeby się wycofać – nawet gdyby mag mógł wysłać ją samą do domu, w co Vanessa szczerze wątpiła, bez wątpienia straciłaby dużo w jego oczach. A tego, nie wiadomo dlaczego, strasznie nie chciała, więc grała bohaterkę, chociaż kolana zdradziecko uginały się pod nią. Otaczający ich krajobraz u każdego wywołałby takie same odczucia.

Przybyszom ukazało się niebo Lengu: martwo czarne, bez gwiazd, od czasu do czasu przecinały je tylko jakieś szkarłatne błyski. Nie wiadomo skąd, Van od razu zrozumiała, że to wcale nie jest noc – tutaj niebo zawsze tak wygląda. Nie było ani śladu Słońca. Był za to księżyc – i to niejeden, a dwa. Duże, krwawoczerwone i dziwnie symetrycznie rozmieszczone na nieboskłonie, wyglądały jak złe oczy spoglądające z wysoka na martwą, pustą przestrzeń.

Oprócz księżyców, bladego światła dostarczało także mnóstwo głucho pomrukujących wulkanów, zajmujących całą widoczną aż po horyzont przestrzeń. Van od razu naliczyła siedem, a za nimi widać było następne i następne – nie było im końca. Nie wykazywały najmniejszej ochoty do erupcji, ale wygasnąć też najwyraźniej nie miały zamiaru – tliły się jak węgle w ognisku. Van spróbowała wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby wszystkie jednocześnie zaczęły pluć ogniem i zrobiło jej się trochę niedobrze.

Ziemię pokrywała gęsta warstwa śniegu zmieszanego z popiołem. Ta niezwykła mieszanina wyglądała fatalnie, a w dotyku była równie nieprzyjemna. Najwyraźniej początkowo w Lengu było zimniej niż na Antarktydzie, ale nie było to odczuwalne z powodu wulkanów. W efekcie temperatura przywodziła na myśl wczesną wiosnę lub późną jesień. Raczej jesień – ukoronowaniem wszystkich uroków Lengu był padający co chwilę drobny deszczyk. Ogólnie atmosfera panowała tam obrzydliwa – wpędziłaby w trwałą depresję każdego, kto pomieszkałby w tym świecie dłużej. Sprzyjały temu szczególnie ludzkie kości, które w ogromnych ilościach walały się pod nogami. Gdzieniegdzie całkiem zakrywały tak zwany popiołośnieg czy też śniegopopiół.

– I oni jeszcze organizują święto? – Vanessa z niedowierzaniem wytrzeszczyła oczy. – Z jakiej racji, pytam?

– Uwierz, Van, nie ma tam ani krzty radości – głośno roześmiał się Hubaksis. – Mój ojczysty świat trudno nazwać mlekiem i miodem płynącym, ale w porównaniu z Lengiem to po prostu ziemia obiecana…

– I gdzie odbywa się ta… impreza? – spytała Van, podejrzliwie patrząc na niego spod oka. – Tylko nie mów, że tutaj!

– Odbywa się tam, gdzie zawsze: w Onyksowym Zamku Kadath – wyjaśnił Kreol posępnie.

– A gdzie on jest?

– Tam, za tą ogniową górą.

Van podążyła wzrokiem za palcem Kreola. Mag wskazywał na najdalszy wulkan – ten, który ledwie było widać na horyzoncie.

– Chcesz powiedzieć, że pójdziemy tam pieszo? Może byś trochę poczarował? Latający dywan albo coś takiego?

– Wyjdą po nas i odstawią na miejsce. – Mag machnął ręką.

– Lepiej już poszlibyśmy na piechotę – niewesoło zachichotał dżinn. – Patrz, panie, już nas zauważyli!

– Widzę! – odburknął Kreol.

Van podążyła za ich wzrokiem i z trudem złapała oddech – dosłownie tuż nad jej głową machało skrzydłami okropne stworzenie, podobne do wstrętnej zniekształconej małpy z niewiarygodnie długimi pazurami. Na całym ciele potwora nie było nawet jednego włoska, pokrywała je skóra barwy atramentu.

– Ptak Lengu – oznajmił Kreol. – Zwiadowca. Zaraz po nas przybędą.

– Kto?

– Mizerni Jeźdźcy Nocy – oznajmił Hubaksis z przekonaniem. – Jeden albo dwóch… Lepiej, żeby jeden – nie lubię ich.

Mizerny Jeździec Nocy pojawił się po około dziesięciu minutach. Był sam, ale jednego i tak starczyło aż nadto. Nie wiadomo, dlaczego stworzenie to nazwano „mizernym”. Przypominał zwykłego, chociaż niezbyt wysokiego człowieka, ale za to dość mocnej budowy, barczystego i krępego. Oprócz tego miał garb, wybrzuszający się trzydzieści centymetrów nad głową. Od człowieka stwór różnił się zielonym kolorem skóry i parą długich, zagiętych rogów wyrastających na plecach z obu stron garbu. Był odziany w coś w rodzaju bezrękawnika z tkaniny, pozostawiającego odkryte ręce i nogi, za to jego głowę skrywała dopasowana maska zasłaniająca całą twarz, szyję i kark. Przez szczelinę widać było tylko oczy – jasnoczerwone, bez śladu źrenicy. Przybysz w ręce trzymał bat.

Bez względu na to, jak przerażający był sam jeździec, wierzchowiec prześcignął go pod tym względem o dwie długości. Zwierz ten przypominał ogromnego pająka kosarza o skórze w odcieniu delikatnego różu. Miał tylko sześć nóg, za to każdą zakończoną długim, ostrym pazurem, przypominającym bardziej stal niż kość. Stwór nie miał oczu ni wyodrębnionej głowy – w przedniej części tułowia otwierała się poczwarna paszcza. W odróżnieniu od większości zwierząt, zęby sterczały nie z góry i z dołu, ale po bokach,

pysk otwierał się nie pionowo, a poziomo.

– To nie jest Jeździec Nocy – rzekł z zaskoczeniem Hubaksis. – To Poganiacz Niewolników. Pewnie dlatego, że jest nas troje.

Poganiacz Niewolników obojętnie popatrzył na Van i Kreola, a następnie rzucił:

– Wsiadajcie. Czekają na was.

Vanessa po raz koleiny zauważyła dziwne zjawisko – rozumiała usłyszane słowa, chociaż doskonale wiedziała, że dotąd nie znała tego języka. Hubaksis najwyraźniej zauważył jej zmieszanie, bo szepnął jej do ucha:

– Podczas magicznego przejścia znajomość języka otrzymuje się automatycznie. Prawo przyrody.

Wsiąść na pająkowatego potwora było dla Vanessy czynem bohaterskim. Kreol musiał dosłownie wrzucić ją na grzbiet stwora, przy czym Poganiacz Niewolników nawet palcem nie kiwnął, żeby mu pomóc – siedział w milczeniu, odwrócony do nich plecami.

Vanessa jechała z zamkniętymi oczami, przekonując samą siebie, że jedzie na zwykłym koniu, tyle że bez sierści i… z ogromną paszczą. W żaden sposób nie mogła jej zapomnieć – ten „mustang" zbytnio wyglądał jej na drapieżnika. Aż dziw, że pozwolił się osiodłać!

Jechało się niewygodnie. Poczwara była wystarczająco duża, by zmieściły się na niej trzy osoby (Hubaksis się nie liczył), ale kształt grzbietu niezbyt nadawał się do jazdy wierzchem. Trzeba było rozłożyć nogi szeroko jak do szpagatu. Była to najwidoczniej naturalna pozycja Poganiacza Niewolników, ale Vanessa zmęczyła się w mgnieniu oka. Do tego wyrastające z jego pleców rogi majaczyły jej nad głową, nie czyniąc żadnej krzywdy, ale porządnie denerwując.

Skądś z daleka dobiegło okropne mrożące krew w żyłach wycie. Dźwięk był tak głośny, jakby gdzieś w mroku siedział głodny wilk wielkości góry.

– Na-Hag… – posępnie wyjaśnił Kreol, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Pięć tysięcy lat temu tak samo wył w swojej jamie.

– Nigdy nie przestawał wyć – nieoczekiwanie odezwał się Poganiacz Niewolników. – I Cthulhu jak dawniej śpi w podwodnym mieście R'lyeh…

– A Azatoth ciągle jeszcze nie ma ciała? – Hubaksis zainteresował się nowinami.

– Niestety, nie – odpowiedział Poganiacz Niewolników. – Ale w końcu to nastąpi, i wtedy… Wtedy obudzi się Cthulhu, uwolni się Na-Hag, a Yog-Sothoth wyprowadzi nas stąd! I wtedy…! Wtedy…!

Prawdopodobnie uśmiechał się teraz, ale nic nie było widać spod maski.

– Co wtedy będzie? – niepewnie wyszeptała Van, starając się, by

nie usłyszał jej straszny przewodnik.

– Wtedy spełni się ich odwieczne marzenie – tak samo szeptem odpowiedział Kreol. – Prawdę mówiąc, po przebudzeniu bałem się, że już się spełniło w ciągu tylu tysiącleci…

– A co to za marzenie?

– Oczywiście, podbić wasz świat… – cichutko zachichotał dżinn. – Kiedyś wygnano ich stamtąd, więc teraz śnią o powrocie. A wtedy wam, ludziom, będzie niewesoło… Na nas także napadali, ale szybko ich wygnaliśmy.

– Mój Boże! – cicho zawołała Van, z nienawiścią patrząc na garbate plecy Poganiacza Niewolników.

– Na szczęście, wielki Marduk dobrze ich zamknął – uspokoił ją mag. – Jeśli uda mi się zakończyć to, co zacząłem, ich marzenie pozostanie tylko marzeniem.

– A dlaczego nazywają go Poganiaczem Niewolników? – jeszcze ciszej zapytała Van, spoglądając ukradkiem na zniekształcone plecy siedzącego przed nią osobnika. Nie wsłuchiwała się w słowa Kreola.

– Możesz mówić normalnie, on i tak nie rozumie po angielsku. Po sumeryjsku też nie. Gdyby to jego wezwano do naszego świata, wtedy by rozumiał… A nazywają go Poganiaczem Niewolników, bo to jego zawód.

– To tu są niewolnicy?! – przeraziła się Van.

– I to ilu! – roześmiał się Hubaksis. – Co w tym takiego strasznego? Jest ich tu mnóstwo! Prawie wszyscy tutejsi mieszkańcy, zresztą…

– Leng, w przeciwieństwie do naszego świata, prawie wcale nie zmienił się przez wieki – powiedział w zadumie Kreol. – Minęły tysiące lat, a tutaj tego nawet nie zauważono. Panuje tu ściśle określony system kast – niewolnicy, nadzorcy i panowie. Najwięcej jest niewolników, ale są słabi i głupi. Wielu nie umie nawet mówić… szczególnie shoggothy. Nienawidzę shoggothów! Kilka razy buntowały się przeciwko swym panom, ale za każdym razem przegrywały, niestety… Nadzorców jest mniej i też są podzieleni na grupy. Najniższą warstwą są ptaki, które widziałaś. Pamiętasz?

– Wolałabym zapomnieć.

– Potem idą Mizerni Jeźdźcy, potem Poganiacze Niewolników. Najwyżej stoją Stwory – są sługami Panów, mieszkają w zamkach i nigdy nie wychodzą na zewnątrz. Nadzorcy – to niższe demony, prawie nie władające magią. Panowie dzielą się na cztery warstwy i tylko oni mają porządne magiczne umiejętności. Najniższa warstwa to demony środkowej ręki. Słudzy najwyższej rangi, duchy piekielne, egmumie… Pamiętasz te demony, które wzywałem? Należą do najniższej warstwy panów, do legionu Eligora. Stopień wyżej w hierarchii stoją Emblematy, generałowie legionów, Kapłani Przedwiecznych, Duchy

Przestrzeni, najpotężniejsze diabły… Jeszcze wyżej znajdują się arcydemony. Jest ich niewiele, można je wszystkie wymienić z imienia. Azatoth i Cthulhu, Yog-Sothoth i Hastur, Nyarlathotep i Shub-Niggurath, Na-Hag i Noszący Żółtą Maskę, Humabab i Pazuzu, Lallasu i Lalartu, Akhkharu i jeszcze z piątka pomniejszych.

– A najwyżsi? – cicho zapytała Van.

– S'gnac. Najwyżej znajduje się tylko on. Widzisz, Van, tę najwyższą górę?

Kolosalny szczyt, który wskazywał Kreol, wyróżniał się spośród pozostałych niby wielkolud pośród karłów. Wyglądał jak zrobiony z przezroczystego lodu i słabo pobłyskiwał w krwawym świetle dwóch księżyców.

– To… tam? – wzdrygnęła się Vanessa.

– Na samym szczycie… – ledwie dosłyszalnie wyszeptał Kreol. – Widziałem go raz, i tego razu nigdy nie zapomnę…

Van usiłowała wyobrazić sobie jak ohydny musi być ten S'gnac, skoro nawet według przyzwyczajonego do wszelkich paskudztw maga, jest w stanie zaćmić cały ten świat z chmarami potworów, ale nie starczyło jej wyobraźni. Nie odważyła się zapytać o szczegóły.

– Czy ten S… jak mu tam, jest kimś w rodzaju Szatana? – zapytała nieśmiało.

– Mniej więcej. – Kreol nie zdziwił się ani trochę. – Myślisz, że istnieje tylko jeden Świat Zmroku? Tylko z naszym światem sąsiadują aż cztery! Jednym z nich rządzi ten, którego nazwałaś…

– A Butt też jest z tego świata?

– Nie. – Kreol energicznie pokręcił głową. – Butt-Krillach-Mecckoj-Nekchre-Tajllin-Mo pochodzi z innego świata. Ale też Ciemnego.

– A czy w ogóle istnieją Jasne Światy?

– Oczywiście! – Kreol aż się zdziwił. – A jakże by inaczej? Jest ich mniej więcej tyle samo co Ciemnych.

– A nasz jaki jest?

– Nasz jest zwyczajny. Na dziesięć światów przypada jeden Jasny, jeden Ciemny i osiem Neutralnych, stosunek jest mniej więcej właśnie taki.

– Zamek Kadath – ogłosił Poganiacz Niewolników, przerywając dyskusję na temat struktury wszechświatów.

Van nawet nie zauważyła, kiedy wstrętny pająk dowiózł ich do celu – jeszcze jednej lodowej góry, chociaż nie tak wysokiej, jak pierwsza. Na samym wierzchołku wznosił się zamek – okropna budowla z czarnego onyksu. Niebo nad nim wyglądało jak gigantyczny wir wodny, a dookoła zamkowych wież fruwały chmary Ptaków Lengu. Wycie Na-Haga było tu słychać znacznie lepiej.

– Hastur… – powiedział Kreol półgłosem, patrząc gdzieś na bok.

Tam, obok jednego z pomniejszych wulkanów, powoli szedł olbrzym sylwetką przypominający Poganiacza Niewolników, z tym że sto razy większego. Szedł w dziwnej pozycji, jakby zamierzał tańczyć w przysiadzie, szeroko rozkładając ręce zakończone trzema długimi pazurami. Z otwartej paszczy sączyła mu się ślina – widać było to nawet z daleka. Zamaszystym krokiem podążał w ich kierunku.

Jeszcze nigdy w życiu Vanessa nie była tak bliska omdlenia. A przecież kiedyś sądziła, że ma mocne nerwy! Prawdopodobnie, mimo wszystko, straciłaby przytomność, gdyby Kreol w porę nie zauważył, co się dzieje i nie pstryknął jej palcami przed oczami, mamrocząc jednocześnie coś pod nosem. Słabość ustąpiła niemal momentalnie.

– Wszystko w porządku, kobieto? – zapytał niemal serdecznie. – Przyzwyczajaj się, są tutaj gorsi od Hastura.

– Ciesz się, Van, że nie zobaczysz ani Cthulhu, ani Azatotha – chciał ją pocieszyć Hubaksis.

– Przecież sam ich nie widziałeś… – burknął Kreol.

– Ty też, panie. – Dżinn nie chciał się poddać.

– Milcz, niewolniku! – po raz pierwszy od chwili przybycia do tego świata Kreol się rozzłościł. A Van pomyślała, że zaczęły mu puszczać nerwy…

Onyksowy Zamek Kadath… Już od progu na gości czekały nowe okropności. Przede wszystkim Stwory, o których wspominał Kreol – wielogłowe bestie wielkości niedźwiedzia najbardziej kojarzyły się z posklejanymi w jedną całość kilkoma potworami rodem z horroru – dziwaczne, potworne bliźnięta syjamskie. Dziesiątki łap, wszystkie bez wyjątku wyposażone w ostre pazury, nie mniej niż dziesięć długich ogonów, nieforemne ciała, głowy wyrastające w najdziwniejszych miejscach. Van czuła się zagubiona – osobiście nie powierzyłaby takiej kolekcji organów nawet mycia brudnych naczyń. W zamku było także kilka eg-mumii – krzepkich chłopów obdartych ze skóry. Niektórym z karków zwisały kłaki siwych włosów, inni byli całkiem łysi. Nosili coś w rodzaju przezroczystych worków, które chroniły otoczenie przed zapaćkaniem wszystkiego krwią, pozwalające jednak wszystkim chętnym zapoznać się szczegółowo z widokiem ich odrażających ciał.

– Kreolu! – dał się słyszeć okrzyk, w którym pobrzmiewała nawet pewna dobroduszność.

Vanessa odwróciła się szybko w stronę, z której dobiegał głos. Mężczyzna wołający jej towarzysza pozytywnie odróżniał się od otoczenia. Wysoki, barczysty, ubrany w coś w rodzaju czerwonego płaszcza bez rękawów. Długie czarne włosy sięgały mu sporo za ramiona, a jego głowę zdobiła żelazna korona z jedenastoma czubami. W ręku ściskał coś przypominającego dwustronną kosę z krótką rękojeścią.

– Eligor… – Mag posępnie kiwnął głową na powitanie. – Wciąż

żyjesz…

– Rozczarowałeś się? – odparł z uśmiechem osobnik zwany Eligorem. – Tracisz umiejętność logicznego myślenia, Kreolu – czyż to nie mój podpis widniał na zaproszeniu?

– Jak się dowiedzieliście?

– O tym, że zmartwychwstałeś? To nie było zbyt trudne. Chociaż, muszę przyznać, zdziwiłeś nas niezmiernie… Zdarzało się od czasu do czasu, że nasi śmiertelni przyjaciele wracali z królestwa zmarłych, ale zazwyczaj nie zwlekali z tym tak długo… Chciałeś uwolnić się od naszej umowy, czy po prostu postanowiłeś zyskać nieśmiertelność?

– A jeśli i jedno, i drugie? – Kreol spojrzał na niego wyzywająco. – A jeszcze lepiej: uwolnić się od was wszystkich?

– Umowa, ku mojej ogromnej rozpaczy, nie obowiązuje – wycedził Eligor przez zęby. – Pięć tysięcy lat minęło. No cóż, magu, gratuluję, uratowałeś duszę. W ogóle, do czego nam teraz potrzebna twoja dusza? Co innego dusza Pierwszego Maga Sumeru, a co innego – szeregowego maga.

– Nie jestem szeregowym magiem! – wybuchnął Kreol natychmiast.

– Kim w takim razie jesteś? – złośliwie prychnął Eligor. – Teraz jesteś nikim! Robakiem. Pleśnią. Wydmuszką. Lepiej było ci zostać w starożytnym Sumerze. A tam, gdzie jesteś teraz, magia nie jest niczym więcej jak tylko nieistotnym kaprysem przyrody. Tak, przesądem…

– Nie na długo – groźnie obiecał mag. – Niech no tylko stanę na nogi, a znowu będę Pierwszym Magiem! I to nie Sumeru, ale całego świata!

– Myślał indyk o niedzieli, a w sobotę łeb ucięli. – Demon lekceważąco machnął ręką. – To tylko słowa. W zasadzie mogłeś umknąć naszej uwadze, gdybyś…

– Gdybym co?

– Gdybyś powstrzymał się od wzywania moich sług! – wyszczerzył się w uśmiechu Eligor. – Gdy tylko Andromalis wrócił do zamku Kadath, natychmiast doniósł mi o wszystkim.

– Na łono Tiamat! – zazgrzytał zębami Kreol. – Nie pomyślałem o tym…

– Bardzo cię proszę, nie wspominaj tutaj… o niej – skrzywił się Eligor z rozdrażnieniem. – Lepiej nie… Widzę, że Hubaksis wciąż jest z tobą.

Maleńki dżinn wydał z siebie jakieś nieartykułowane dźwięki, chowając się za ramieniem Kreola.

– Ale kobiety nie znam – zauważył Eligor, uważnie przyglądając się Vanessie. – Nowa nałożnica czy po prostu znajoma?

– Nie twoja sprawa – odgryzł się Kreol.

– Śmierć nie zmieniła twojego charakteru. Całej reszty też nie –

jesteś tym samym nekromantą z odpychającym charakterem. Chociaż… Po co przefarbowałeś włosy? Oczywiście, to nie moja sprawa, ale w czarnym kolorze bardziej ci do twarzy…

– Możemy dać temu spokój? – Mag spojrzał na niego spode łba.

– Czemu? – Eligor zrobił zdziwioną minę.

– Daj spokój, Eligorze! Nasza umowa jest nieważna, nieprawdaż? Nie masz już żadnej władzy nade mną! Czy może chcesz, byśmy znowu się zmierzyli?

– Nie, dziękuję… – Eligor powoli pokręcił głową, uważnie patrząc w oczy maga. – Pewnie, że bym chciał, ale… Muszę się szczerze przyznać, Kreolu, że te pięć tysięcy lat wpłynęło na mnie znacznie bardziej niż na ciebie. To szmat czasu, nawet dla nieśmiertelnego…

– Na to liczyłem… – Kreol uśmiechnął się wrednie. – Jeszcze zobaczymy, który z nas jest indykiem… Rytuał Prezentacji nie zmienił się?

– Tylko kilka drobiazgów – wzruszył ramionami Eligor. – Sam się zorientujesz.

– O której wyznaczono czas dla mnie?

– Z tobą – podkreślił Eligor – Yog-Sothoth chce się spotkać jak najszybciej. Bardzo go zainteresowałeś, Kreolu. Dawno nie oszukano nas tak… bezczelnie.

Uśmiechając się cały czas, Eligor ukłonił się grzecznie całej trójce i ruszył z powrotem, stawiając kroki powoli jakby szedł po cienkim lodzie.

– Chodźmy – rzekł mag, rzucając w stronę oddalającego się demona podejrzliwe spojrzenie.

Vanessa milczała przez kilka minut, gdyż Kreol wyglądał na wściekłego. Ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

– Kto to taki? – zapytała.

– Nazywa się Eligor – wymamrotał mag pod nosem z niechęcią.

– Tego sama się domyśliłam. Ale kim on jest? To twój znajomy?

– Eligor jest Emblematem. Mieliśmy… wspólne interesy – powiedział Kreol wymijająco. – Kontrakt. Wszystkie podległe mi demony są sługami Eligora. Kupiłem prawo do wywołania każdego z nich raz co jedenaście lat.

– A czym zapłaciłeś? – podejrzliwie zapytała Van.

– Standardową ceną jest dusza. Ale w moim przypadku wszystko było bardziej skomplikowane…

– Chciałem cię wtedy odwieść od tej decyzji, panie! – wtrącił się dżinn. – Mówiłem: nie wchodź w to.

– Milcz, niewolniku!

– To samo mówiłeś wtedy! – poskarżył się Hubaksis. – Gdybym nie był taki maleńki, bardziej by się ze mną liczono!

– Biedny… – powiedziała Vanessa ze współczuciem. – No więc co

to była za umowa?

– Warunki były niezwykle proste. – Kreol uśmiechnął się. – Korzystam z demonów Eligora dowolną ilość razy, aż do śmierci. Przy czym nie mogę odwlec swej śmierci za pomocą magii więcej, niż o tysiąc lat. No, a po śmierci… po śmierci miałem zostać jego niewolnikiem. Na pięć tysięcy lat. Zazwyczaj w takich umowach pisze się „na wieczność", ale na szczęście miałem tyle rozsądku, żeby upierać się przy określonym terminie.

– I… jak się wykręciłeś? – wyszeptała Van, wstrząśnięta.

– Van, jeszcze pytasz? – wmieszał się dżinn. – Czy nie rozumiesz, po co pan w ogóle rozpętał całą tą aferę ze zmartwychwstaniem?

– Sam nie wiem, jak mi się udało – wymamrotał mag. – Mała luka prawna, mała niejednoznaczność w interpretacji umowy… Podpowiedziała mi to pewna znajoma. Umarłem, ale dusza nadal przebywała w ciele. Bardzo mocno się go trzymała – tak mocno, że wszystkie demony Lengu nie mogły jej wydobyć! A nawet gdyby zdołały, nałożyłem na mogiłę takie zaklęcie, że żadna siła nie mogła jej odkryć… oprócz, jak się okazało, waszych ochre… jak ich nazwałaś?

– Archeologów. Ale po co w ogóle zawierałeś tę umowę?

– Jak zwykle w takich przypadkach… Chciałem być potężny, nie męcząc się zbytnio. Byłem młody, głupi, nie wiedziałem jeszcze co do czego…

– Ile miałeś wtedy lat?

– Pięćdziesiąt cztery – burknął Kreol. – Dla maga to młodość… Ale teraz to nieważne; pięć tysięcy lat minęło, i przez całe pięć tysięcy lat Eligor miał pełne prawo przechwycić moją duszę. Nie zrobił tego – to jego problem. Minęło pięć tysięcy lat, zachowałem duszę, więc teraz jestem wolny. I nie tylko wolny, ale co więcej, zachowałem prawo do Eligorowych demonów – umowa nic nie mówi o tym, że tracę to prawo po śmierci. Ha! Oto co znaczy umieć czytać między wierszami! Chociaż na szczyt muszę się wspinać od początku. To nic, wlezę… Eligor jeszcze pożałuje, że miał ze mną do czynienia.

Van umilkła, myśląc nad tym, co usłyszała. Wyglądało na to, że Kreol mógł się pochwalić burzliwą biografią, nie mniej ciekawą niż niejeden bohater legend. Co prawda, to i owo nadal było niezrozumiałe.

– Co to takiego Emblemat? – zapytała wprost.

– Nie wiesz, kobieto? Czego was uczą kapłani?!

– Wybacz! Czy mógłbyś po prostu odpowiedzieć?

– Emblemat to Odbicie Boga – wyjaśnił wciąż jeszcze zdziwiony mag. – Naprawdę potężny bóg może podzielić się na kilka niezależnych osobowości, przy czym jest ich tym więcej, im jest potężniejszy.

– A jaki bóg zrodził tego… Eligora? – zapytała Vanessa oszołomiona tym, co usłyszała.

– Oczywiście, Yog-Sothoth. Zrodził trzynaście Emblematów – tyle, ile służy mu legionów. Każdemu poruczył jeden. Co prawda, od tego czasu liczba legionów wzrosła wielokrotnie…

– Czyli Yog-Sothoth jest bogiem? – upewniła się Van.

– Ciemnym. – Kreol potwierdził kiwnięciem głową. – Ale Jaśni też czasem tak robią. Kiedy Wielki Marduk został bogiem, zrodził pięćdziesiąt Emblematów i poprowadził tę armię przeciwko pułkom Lengu. I ta wasza księga, pamiętasz? Biblia? Ten, którego nazywacie Jezusem Chrystusem, najprawdopodobniej też jest Emblematem waszego boga.

– Co ty, całkiem zwariowałeś?! – takie bluźnierstwo oburzyło Vanessę. – Chrystus jest Synem Bożym!

– Oczywiście. – Spokojnie pokiwał głową mag. – A nawet więcej. Emblemat to znacznie więcej niż dziecko, ale w skali ludzkiej „syn" jest najbliższym słowem. Sądząc po tym, co napisano w księdze, Jezus Chrystus był godną szacunku osobą… dlatego w żadnym wypadku nie mógł być Emblematem Jahwe! W wymiarze Raj włada Jasny bóg Sawaov i jest on rzeczywiście bardzo podobny do tego twojego Chrystusa… A władca Judejczyków, Jahwe, to Ciemny Bóg! Pożeracz dzieci, niszczyciel miast, oto, kim jest! To przez niego nasz świat o mało co nie przepadł w Wielkim Potopie! Zawsze chciał, żeby zginęli wszyscy oprócz Judejczyków!

– A więc to tak… – westchnęła Vanessa. Jej przekonania religijne szybko się zmieniały. Wiara nie zmniejszała się, ani nie zwiększała, a po prostu zmieniała formę.

– Nie jestem pewien! – szybko zastrzegł Kreol. – Być może Chrystus wcale nie był Emblematem, a na przykład… na przykład, nowym awatarem Ebela.

– Kim jest Ebel?

– Innym razem ci opowiem, za długo by to trwało. – Kreol zatrzymał się przed wielkimi drzwiami. – Muszę spotkać się z Yog-Sothothem… Rytuał Prezentacji to najbardziej nieprzyjemna część, więc lepiej mieć ją za sobą jak najszybciej.

– To tutaj? – najeżyła się Van, z jawną wrogością patrząc na drzwi.

– Panie, a może polecę do innych dżinnów? – żałośnie poprosił Hubaksis. – Tak dawno nie widziałem nikogo z naszych…

– Milczeć, niewolniku! – Pogroził mu laską Kreol. – Pomyśl, zanim coś powiesz! Mam tu zostawić kobietę samą, tak?

– Przecież nikt jej nie ruszy! – zajęczał dżinn.

– Dobrze, niech leci. – Vanessa pospieszyła z pomocą Hubaksisowi. – Nie jestem przecież dzieckiem.

– Dziękuję, Van! – rozpromienił się dżinn, szybko znikając w ścianie.

– Jak chcesz – burknął mag. – Zostań tutaj i czekaj na mnie. A to weź na wszelki wypadek.

Podał jej swój magiczny łańcuch. Vanessa wzięła go, tępo obejrzała ze wszystkich stron i zdziwiona zapytała:

– Po co mi on?

– Przecież mówię: na wszelki wypadek, kobieto! – zniecierpliwiony Kreol podniósł głos. – Nie wiadomo, co może się zdarzyć. Każdy niewolnik lub nadzorca uderzony tym łańcuchem rozsypuje się w proch. Równych mi panów łańcuch paraliżuje. Eligorowi i jemu podobnym sprawia silny ból. Może przydać się nawet przeciwko Yog-Sothothowi…

– Dobrze… – zgodziła się Vanessa, z szacunkiem patrząc na łańcuch. Dotychczas nie przywiązywała do niego dużej wagi, ale teraz zaczynała rozumieć, po co Kreol taszczy go zawsze ze sobą. – A co jest tam, za drzwiami?

– Łaźnia – szybko odpowiedział mag. – Zasadniczo są tam tacy sami goście jak ty czy ja.

– Chwileczkę! – wytrzeszczyła oczy Van. – Nie mogłeś mnie wcześniej uprzedzić?!

– A co?

– Nie wzięłam kostiumu!

– Czego? Co ty znowu chcesz, kobieto?

– Kostium kąpielowy! Którego słowa nie rozumiesz?

– Za moich czasów ludzie kąpali się nago… – wymamrotał Kreol, ale widząc minę Vanessy, z pośpiechem poprawił się: – Dobrze, uspokój się, kobieto! Zaraz coś wymyślimy…

Wyjął z torby magiczny foliał, przekartkował go, szukając odpowiedniego zaklęcia, a potem zaczął coś pomrukiwać.

Po jakichś piętnastu sekundach powietrze zgęstniało i pojawił się szarawy, prostokątny tłumoczek. Przyjrzawszy się bliżej Vanessa zauważyła, że jest to tkanina, do tego bardzo dobrej jakości.

– Sprytnie – oceniła. – Ale to nie jest kostium.

– A jak mam ci stworzyć ten cały kostium, jeśli nawet nie wiem, jak ma wyglądać? – burknął Kreol.

– I co, mam tego użyć zamiast ręcznika?!

– Głupkom nie ma co tłumaczyć… – uśmiechnął się mag, szukając na piersi amuletu Sługi. – Sługo, uszyj tej kobiecie kostium kąpielowy w odpowiednim rozmiarze!

Tkanina zawirowała w powietrzu i zaczęła szybko zmieniać formę. Niewidzialny Sługa niezwykle zręcznie operował niewidzialną igłą i niewidzialnymi nożycami. Po kilku minutach tkanina zmieniła się w całkiem znośny kostium. Nie całkiem taki, jakie zazwyczaj nosiła

Van, ale można go było założyć bez wstydu, nie ryzykując przy tym wytykania palcami.

– Jesteś zadowolona, kobieto? – burknął Kreol, patrząc ze skrywanym uśmiechem jak Vanessa krytycznie ogląda swój nowy strój.

– Sprytnie – pochwaliła jeszcze raz. – A… nie mógłbyś zrobić czegoś do jedzenia?

– Przecież… a gdzie twoja torba?

Kreol dopiero teraz zauważył, że plecak Vanessy gdzieś przepadł.

– Zapomniałam go, gdy wsiadaliśmy na tego pająka… – przyznała się ze skruchą, spoglądając na maga smętnie.

– Dobrze, kobieto, wytrzymaj trochę. – Kreol przewrócił oczami. – Wrócę od Yog-Sothotha, przygotuję co zechcesz.

Rozdział 3

Vanessa z obawą weszła do łaźni. Ile by Kreol i Hubaksis nie przekonywali jej, że w Lengu zaproszonym gościom nie grozi większe niebezpieczeństwo niż w podmiejskim parku, jak by nie podnosiła jej na duchu obecność magicznego łańcucha i tak bała się zostać sama. A jak wy byście czuli się na jej miejscu?

Dobrze chociaż, że w łaźni były osobne przebieralnie. Nie zauważyła żadnych zamków, co zresztą jej nie zdziwiło – wyobraziła sobie, co mógł zrobić z takimi drzwiczkami na przykład Poganiacz Niewolników. Przed tutejszymi mieszkańcami trzeba bronić się nie zamkami, lecz magią, a tą Van nie władała w najmniejszym stopniu. Zresztą komu mogło się przydać tutaj jej ubranie?

Stworzona przez Kreola tkanina nie przypominała niczego znanego w naszych czasach. Miękka, delikatna i bardzo lekka, pieściła skórę jak łabędzi puch. Sługa też dobrze się postarał – skrojony przez niego kostium raczej nie trafiłby na okładki żurnali, ale świetnie leżał i wyglądał całkiem nieźle.

– Jeśli w starożytnym Babilonie robili takie tkaniny, to pod wieloma względami nas wyprzedzali… – wymamrotała Van, bezskutecznie starając się wyobrazić, czy w nowym stroju jest jej do twarzy, czy nie bardzo? Ku jej wielkiemu rozczarowaniu, do tej pory nie udało się jej znaleźć w Zamku Kadath ani jednego lustra. Czyżby miejscowe potwory nie lubiły patrzeć na swoje pyski?

Tutejszy basen przypominał nieco senat rzymski – był średniej wielkości pomieszczeniem ze ścianami z białego kamienia, stopniami do siedzenia pnącymi się aż pod sufit. Tyle tylko, że w środku znajdowała się jama z wodą. Zresztą w tej wodzie Vanessa za nic by się nie zanurzyła – w tym świecie najwyraźniej nigdy nie słyszeli o higienie, a być może ich higiena zbytnio różniła się od ziemskiej. W każdym razie, basen kojarzył się z niewielkim bagienkiem, do którego wrzucono puszkę czerwonej farby – woda była zielona z czerwonymi rozpływającymi się plamami.

Nieco uspokoiło Vanessę to, że większość siedzących na schodach znudzonych gości należała do rasy ludzkiej. Przynajmniej zewnętrznie. Oczywiście, to nic nie znaczyło – przecież Eligor bardzo niewiele różnił się od zwykłego człowieka, ale mimo wszystko Van wolała mieć do czynienia z człekokształtnymi demonami, niż z wielogłowymi stworami z kłami do pępka.

W pomieszczeniu było około dwudziestu osób. Sami mężczyźni – Van nie dostrzegła żadnej kobiety. Niektórzy byli nadzy, ale większość okrywała lędźwie czymś w rodzaju prześcieradeł. Wolnego miejsca

było w bród, więc Van, namyśliwszy się chwilę, usiadła niedaleko jednego z mężczyzn w prześcieradłach. Wybrała go z dwóch powodów: po pierwsze – siedział najbliżej drzwi, a po drugie – nosił lustrzane okulary. Jako że nikt inny w tym świecie nie nosił takiej ozdoby, można było śmiało założyć, że, podobnie jak ona, przybył z Ziemi. Bezsprzecznie przemawiało to na jego korzyść.

A mimo to wyglądał nieco dziwnie. Po pierwsze, w oczy rzucał się kontrast między twarzą i ciałem. Twarz należała do starca – całkiem siwe włosy, zwisające nieprzyjemnymi strąkami, aż do ramion, dwie dziurki zamiast nosa jak u syfilityka i łysa czaszka. Tylko zęby miał niezłe, a oczu Vanessa nie mogła dostrzec zza lustrzanych okularów. Jednakże wszystko, co znajdowało się poniżej szyi, mogłoby należeć do mężczyzny koło czterdziestki i wyglądałoby całkiem nieźle, gdyby nie chorobliwa chudość. Van mimowolnie zapatrzyła się, ale potem znowu przeniosła spojrzenie na twarz i aż wzdrygnęła się ze wstrętem, tak nieprzyjemny był ten kontrast.

– Mogę…

– Oczywiście, proszę siadać, gdzie pani chce – obojętnie odpowiedział nieznajomy, nie odwracając nawet głowy w jej stronę.

– Mam na imię…

– Bardzo mi miło, Vanesso, cieszę się, że się poznaliśmy – odpowiedział mężczyzna, znów nie słuchając do końca.

– A jak…?

– Mam wiele imion. Może pani zwracać się do mnie: Jonatanie.

– Pan także…?

– Tak, też jestem ze świata, który zna pani pod nazwą Ziemia.

– Co pan…

– Nie, nie czytam pani myśli, po prostu zawczasu wiem, co pani chce powiedzieć – pokiwał głową Jonatan.

– Więc pan…

– Tak, jestem magiem, jak i pozostali, inaczej nie zaproszono by mnie na to święto.

– Proszę posłuchać, może…

– Dobrze, będę słuchał pani odpowiedzi do końca. – Jonatan w końcu raczył na nią spojrzeć. – Ma pani rację, to niezbyt grzecznie z mojej strony.

– Dziękuję. – Rozzłoszczona Van kiwnęła głową. – Jonatanie, widzi pan przyszłość, tak? Jak Nostradamus?

– Jeśli zechcę. – Jonatan obojętnie wzruszył ramionami. – Najbliższą przyszłość widzę dokładnie, dalszą – mgliście.

– Nieźle! – oceniła Van. – A może mi pan powiedzieć, kogo wybiorą na prezydenta w najbliższych wyborach?

– Jednoznacznie – nie. – Pokręcił głową. – Chodzi o to, że, wbrew temu co wielu sądzi, przyszłość nie jest prostą drogą, a raczej siecią

skrzyżowań. Istnieją punkty węzłowe, od których zależy dalszy rozwój wypadków. Bardzo często są to drobne zdarzenia, ale wiele od nich zależy.

– Nie… niezupełnie rozumiem. Może pan podać jakiś przykład?

– Bardzo chętnie. Jednym z takich węzłowych punktów był 13 lipca 324 przed narodzinami Chrystusa. Tego dnia Aleksander Macedoński przez nieostrożność napił się wody z zatrutej studni. W rezultacie następnego dnia zachorował i niedługo potem umarł. A przecież wcale nie chciało mu się tak bardzo pić i spokojnie mógł się powstrzymać. Ot, drobny wybór – wypić kubek wody czy nie wypić – określił bieg historii. Gdyby Aleksander przeżył, Ziemia wyglądałaby teraz całkiem inaczej.

Prawdę mówiąc, Vanessa prawie go nie słuchała. Historię znała dość słabo i dość mętnie pamiętała, kim był Aleksander Macedoński. Słyszała tylko, że był to jakiś wielki władca, i to wszystko. Nie wiadomo dlaczego, wydawało jej się nawet, że był Rosjaninem. Do tego zajmował ją teraz inny problem.

– Jonatanie – spytała z wahaniem – a po co ci te okulary? Moim zdaniem nie ma tu nadmiaru światła…

– Te okulary są nie dla mnie, ale dla was – odpowiedział Jonatan ze smutkiem, zdejmując okulary.

Vanessa z trudem złapała powietrze, zobaczywszy to, co dotąd skrywały. A mówiąc dokładniej, czego nie skrywały. Jonatan nie miał oczu. Wcale. Tylko parę pustych oczodołów. Nawet powieki miał równiutko odcięte, bo teraz tylko by mu przeszkadzały. Po zdjęciu okularów ostatecznie upodobnił się do szkieletu.

– Pan… więc jest pan niewidomy? – wymamrotała, nie będąc w stanie oderwać wzroku od wstrętnych dziur.

– Sądzę, że można mnie nazwać ślepym – zgodził się Jonatan. – A jednak nie cierpię z tego powodu, bo mam inny wzrok.

– Jak to się stało…?

– To kara… – niewesoło odrzekł Jonatan. – Kara za mój grzech…

– Ależ co takiego zrobiłeś?

– Zabiłem swego brata – krótko odpowiedział Jonatan. – Więcej nie ma pani ochoty ze mną rozmawiać.

Ostatnie zdanie było stwierdzeniem, nie pytaniem, a Van natychmiast zrozumiała, że Jonatan jak zwykle ma rację. Nie miała ochoty z nim rozmawiać, chciała za to uderzyć go magicznym łańcuchem, żeby przekonać się, czy rzeczywiście jest człowiekiem. Był bardzo dziwnym typem, nawet jak na czarnoksiężnika.

– Do widzenia, Van. – Jonatan wstał. – Nie mówię „żegnaj”, bo jeszcze raz się spotkamy. Ale nieprędko… Nieprędko…

Zagadkowy ślepiec cicho klasnął w dłonie i znikł. Jakby przekręcił wyłącznik – dopiero co tu był i już go nie ma.

– Chciałabym wiedzieć, jak się naprawdę nazywa… – wyszeptała Van, patrząc tam, gdzie dopiero co stał.

– Wybacz, Van, nie usłyszałem – dotarł do niej wesoły głosik. No, ten pisk rozpoznałaby wśród tysiąca innych!

– Hubi! – odwróciła się w stronę dżinna. – Już wróciłeś od przyjaciół?

– Jakich znowu przyjaciół? – fuknął dżinn. – Wszyscy moi starzy przyjaciele dawno wyzdychali! Nie miałem ich zbyt wielu… Raz – dwa i po krzyku…

– Przykro mi… – powiedziała Van niezdecydowanie, bo na twarzy malutkiego dżinna nie było ani śladu smutku.

– Nie warto! – potwierdził jej wątpliwości dżinn. – Dobrze im tak, śmierdzącym szczurom! A wiesz co jest najlepsze…? Wielki Chan też umarł! Ha, wstrętne bydlę! A ja mam się świetnie i będę żyć wiecznie! Wiecznie!

– Czyli teraz możesz skończyć z niewolnictwem? – ucieszyła się Vanessa.

– Za dobrze by było! – zasępił się Hubaksis. – Moje przestępstwo nie ulega przedawnieniu, nadal jestem traktowany jako wróg korony… Jeśli pan mnie wyzwoli, nowy Wielki Chan natychmiast rozkaże ugotować mnie w oleju. A propos, wiesz, czego się jeszcze dowiedziałem?

Vanessa uznała to za pytanie retoryczne, postanowiła więc nie odpowiadać, ale dżinn milczał, a wyglądał przy tym tak intrygująco, że w końcu nie wytrzymała.

– Co?! – wykrzyknęła w końcu.

– Między starym, a obecnym Wielkim Chanem, chanatem dżinnów rządził człowiek! Wyobrażasz sobie? Coś takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem! Niedługo – tylko z pół wieku – ale zawsze!

– I kto to był? – zapytała Van wyłącznie z uprzejmości.

– Jakiś Salomon… – Hubaksis stracił już zainteresowanie własną sensacją. – Co za różnica, tak czy siak, umarł dawno temu…

Vanessa w żaden sposób nie zareagowała na tę rewelacyjną wiadomość – po prostu nie wiedziała, kim był Salomon. Prawie wcale nie czytała Biblii, przeglądała tylko kilka fragmentów, a choć samo imię słyszała niejednokrotnie, nie zostawiło jednak śladu w jej pamięci.

Kreol zjawił się po kwadransie. Na jego twarzy malowało się ogromne zdziwienie, a w rękach obracał ołowiany dysk, na którym wyrzeźbiono gwiazdę wpisaną w koło.

– Co ci jest? – zagadnęła go Van z zainteresowaniem. Kreol zdążył odziać się w coś w rodzaju tuniki, wyraźnie uszytej w tej samej fabryce, co i kostium kąpielowy, ale nie porzucił torby z magicznymi narzędziami. Na piersi nadal wisiał mu pęk amuletów. – Jakieś

kłopoty?

– Wręcz przeciwnie… – Pokiwał głową zdumiony Kreol. – Powitali mnie jak samego imperatora, starali się przypochlebić, nawet podarowali prezent! I to jaki! Sami sobie grób kopią…

– To ten tutaj?! – Vanessa wyrwała mu dysk z ręki. – A co to za bzdet?

– Kamień Wrót! – krzyknął Hubaksis, otwierając szeroko swe jedyne oko. – Poszczęściło ci się, panie!

– Do czego to służy? – dopytywała się Van.

– Do przemieszczania się między światami – powiedział Kreol, opanowując powoli zdumienie. – Za pomocą Kamienia Wrót można bardzo szybko przeskoczyć do dowolnego wymiaru, pomijając wszystkie skomplikowane rytuały.

– Sprytne – zgodziła się Vanessa. – A jak to działa?

– Zwyczajnie. Najpierw trzeba go okadzić aromatycznym dymem. Mirra, kadzidło, zioła, choćby papieros! Byleby tylko dym miał zapach. Jednocześnie trzeba wymówić zaklęcie.

– Jakie?

– Za każdym razem inne! – odburknął Kreol, niezadowolony, że mu przerwano. – Zależy od tego, gdzie się znajdujesz i dokąd chcesz się udać. Im dłuższy skok, tym dłuższe zaklęcie. Ale nie dalej niż o trzy wymiary – aby przemieścić się na większy dystans, trzeba wykonać kilka skoków. Potem kamień jest gotowy do pracy. Wystarczy tylko wymówić zdanie-klucz, a otworzy się okno między wymiarami.

– A co to za zdanie? – dalej dociekała Van.

– Zdanie jest proste: „Portalu, otwórz się!”

– Tak jak „Sezamie, otwórz się!”, tak? – Vanessa przypomniała sobie bajkę.

– A co ma do rzeczy sezam? Może jeszcze i konopie? Nie, zdanie-klucz jest proste. Jednak za każdym razem trzeba tworzyć specjalne zaklęcie, nowe… Ale to potrafię.

– Potrafi! – potwierdził Hubaksis, ze śmiechem spoglądając spod oka na swego pana.

– Milcz, niewolniku – leniwie rozkazał Kreol. – A co tobie się przytrafiło ciekawego, kobieto?

– A może przestałbyś mnie tak nazywać? – Van spojrzała na niego lodowato, ale po chwili mimo wszystko gniew z niej opadł i łaskawie opowiedziała o ślepym wróżbicie w lustrzanych okularach.

Kreol słuchał bardzo uważnie, w zadumie kiwając głową w takt jej słów. Siedzący mu na ramieniu Hubaksis słuchał nie mniej uważnie, kiwając razem z panem. Wyglądało to bardzo śmiesznie.

– Czarny Ślepiec – z przekonaniem powiedział Hubaksis, gdy wysłuchał opowieści do końca. – Bez wątpienia!

– Masz rację, niewolniku… – powiedział Kreol w roztargnieniu. – To Czarny Ślepiec…

– On też… jest jednym z tych stworów?

– Nie, on jest z naszego świata – zaprzeczył Kreol. – Czarny Ślepiec to Czarny Ślepiec. Jest sobą. A więc powiedział, że się jeszcze spotkacie? Za mojej pamięci nigdy się nie pomylił.

– Ale kim on jest?

– Gdybym to ja wiedział… Jest bardzo stary i rzeczywiście wie wszystko o przeszłości i teraźniejszości i bardzo dużo o przyszłości – to wszystko, co mogę powiedzieć. W porównaniu z nim, jestem… on jest Najwyższym Magiem, a ja tylko arcymagiem… mam piąty stopień, a on szósty… to taka różnica…

– Zaczekaj! – Van wyciągnęła ręce w geście protestu. – Stop! Chwilę! Time out! Czy dobrze rozumiem – znałeś go jeszcze wtedy… no, w poprzednim życiu?

– Przecież mówię. Jest bardzo stary. – Kreol uśmiechnął się z zadowoleniem. – Ślepy prorok, wiecznie tułający się po światach, niemogący nigdzie znaleźć spokoju… Za moich czasów krążyło o nim tyle opowieści, że nie dało się ich wszystkich spamiętać. Teraz pewnie już je zapomniano…

– Bywał w świecie dżinnów, panie – odezwał się Hubaksis. – Sam Wielki Chan traktował go z szacunkiem. A tak przy okazji, panie, pamiętasz syna imperatora? Byliśmy przy jego narodzinach? Pamiętasz? Tydzień przed tym, jak my… no…

– Pamiętam – obojętnie wzruszył ramionami mag. – Gilgamesz, syn Lugalbandy…

– Pamiętasz, jaką mu przepowiedziałeś przyszłość? – z zainteresowaniem dopytywał się dżinn.

– Oczywiście, pamiętam – fuknął Kreol. – Długie życie, dobre rządy, wiele wojennych zwycięstw… Wszystkim to przepowiadałem.

Vanessa zdziwiła się. Kiepsko znała historię, ale domyślała się, że zdecydowanie nie wszyscy władcy mogli pochwalić się takim szacownym życiorysem, jak ten, który nakreślił Kreol.

– Pan nie umie przepowiadać przyszłości! – złośliwie wyszeptał Hubaksis. – Ani trochę!

– Milcz, niewolniku – burknął Kreol kwaśno. – No i co przytrafiło się temu Gilgameszowi? Dlaczego nagle sobie o nim przypomniałeś?

– O, panie, on… on… no, tego… – Dżinn zaciął się, wykonując rękami niezbyt zrozumiałe gesty. – Zabił Humbabę, panie!

– Humbabę? – ożywił się mag natychmiast. – To jest nam bardzo na rękę… Jeden arcydemon niczego nie przesądza, ale mimo wszystko to miłe… To wszystko, czy jeszcze czymś się wsławił?

– Tak, i to jeszcze jak, panie! Gilgamesz…

Nieoczekiwanie rozległ się głuchy dźwięk, podobny do bicia

dzwonu pokrytego grubą warstwą waty. Vanessa aż się wzdrygnęła, ale pozostali podeszli do tego spokojnie. Liczni „kąpiący się" zaczęli niespiesznie wstawać z miejsc i przemieszczać się w stronę drzwi.

– Co się dzieje?

– Sygnał, kobieto – wyjaśnił Kreol, także wstając z miejsca. – Sygnał rozpoczęcia święta. Niewolniku, potem opowiesz o Gilgameszu! Teraz musimy iść – w dużej sali będzie witał gości sam Azatoth.

– Czy to nie ten, który umarł? – Vanessa podejrzliwie zmrużyła oczy. – Pamiętam, że coś takiego mówiłeś.

– Nie umarł, Van, po prostu pozbył się ciała – wyjaśnił Hubaksis życzliwie.

– Dotychczas myślałam, że to jedno i to samo… – burknęła Vanessa.

– Jak widzisz, nie zawsze. – Kreol wzruszył ramionami.

W głównej komnacie Zamku Kadath bez trudu zmieściłoby się z dziesięć Białych Domów. A zebrany tam tłum poczwar doprowadziłby do ataku zazdrości każdą paradę straszydeł – można było pomyśleć, że trafiło się do Piekła. Zresztą, w pewnym sensie, była to prawda.

Ogromny tron, wznoszący się w oddalonym końcu sali, na razie był pusty, ale stała już wokół niego straż honorowa – trzynaście różnych potworów. Pierwszy od lewej stał potężny garbus z głową wielbłąda, za nim – nie mniej garbaty minotaur. Trzeci wyglądał jak zwykły człowiek, tyle że nienaturalnie blady, i nosił na głowie hełm z jelenimi rogami. Jako czwartego Vanessa dojrzała znanego już Eligora. Piątym był ogromny czarny kruk z okrwawionym dziobem. Szósty – obłok mgły ze świecącymi oczami, siódmy – wielki, biały wąż. Ósmy najbardziej przypominał gigantyczną muchę, dziewiąty był człowiekiem z zieloną skórą i czymś jakby kłębami dymu zamiast włosów. Dziesiąty – ogromny gryf, jedenasty – łysy mężczyzna z płonącymi rękami. Dwunasty – garbaty wielkolud przewyższający wzrostem wszystkich pozostałych razem wziętych, trzynasta – duża żółta żaba.

– To są Emblematy? – zainteresowała się Vanessa.

– Świetnie – ocenił jej domyślność Kreol. – Tak, to jest trzynaście Emblematów Yog-Sothotha.

– A pozostali? – zapytała Van, z widocznym obrzydzeniem przenosząc wzrok z jednego stworzenia na drugie.

– O, ten podobny do czarnego kozła, to Shub-Niggurath, pułkownik armii Lengu – ochoczo wyjaśnił Kreol. – Tamten, w czarnym płaszczu, to Noszący Żółtą Maskę, Najwyższy Kapłan Świątyni Nocy.

Van przyjrzała się wskazanemu typowi. Noszący Żółtą Maskę

rzeczywiście nosił żółtą maskę, podobną do tej, jaką zakładają bramkarze podczas meczu hokeja. Bardzo przypominał w niej ożywionego trupa z filmu „Piątek 13”

– A to kto? – Van pokazała na najbardziej chyba odpychającego potwora. Długo starała się zgadnąć, do czego jest podobny, ale nie udało się jej – był jakąś niewyobrażalną mieszanką, bez choćby jednego znajomego organu. Nawet twarzy nie było widać.

– To Nyarlathotep, jedyny, oprócz Yog-Sothotha, który może swobodnie poruszać się między światami, gdyż jest Posłańcem Przedwiecznych. Nawiasem, to on dostarcza zaproszenia na święto.

– Ee, listonosz? – powiedziała Van z pewnym rozczarowaniem. – Ale brzydactwo…

– Cicho, panie! – zasyczał Hubaksis. – Yog-Sothoth!

Van zamilkła, starając się jak najdokładniej obejrzeć największą szychę na tej imprezce.

Yog-Sothoth był podobny do długiego robaka albo węża. Czarny jak węgiel, pełzł w stronę tronu w grobowej ciszy, pozostawiając śliski ślad na podłodze. Nikt nie wydał z siebie najcichszego dźwięku, wszyscy jak zaczarowani patrzyli na Strażnika Wrót. Van zrozumiała, że przedwcześnie nazwała go robakiem – z robaka miał tylko odwłok, a tam, gdzie powinna być głowa, w rzeczywistości zaczynał się korpus – bardzo mały w porównaniu z ogonem, ale jednak istniał. Tułów, przy odrobinie dobrej woli, można było nazwać ludzkim, ale miał ten sam czarny kolor co reszta. W miejscu nóg wyrastały mu dwie pary łap modliszki, a zamiast rąk – coś w rodzaju romboidalnych płyt kostnych, jak u niektórych dinozaurów. Z każdej wystawały trzy długie pazury, cicho postukujące podczas ruchu. Głowa nieco tylko przypominała ludzką – były w niej osadzone fasetowe owadzie oczy, brakowało nosa i włosów, a do tego z łysej czaszki sterczało coś w rodzaju mrówczych czułków. Oto jak wyglądał Yog-Sothoth.

Potwór wpełzł na tron i powoli skinął na swe Emblematy. W sali nadal panowała cisza.

– Co teraz będzie? – zaryzykowała szept Van.

– Cicho! – syknął Kreol. – Azatoth!

Ściana za tronem zachwiała się, zafalowała, a potem wychynęła z niej gigantyczna kamienna twarz, przypominająca gipsową maskę. Martwe kamienne oczy spojrzały na obecnych, a następnie otwarły się kamienne usta, z których wydostał się okropny głos, świszczący i wyjący, wyraźnie akcentujący syczące spółgłoski. Każde słowo wymawiał jakby dużą literą. Azatoth, pozbawiony ciała, ale nie życia, wygłaszał przemowę do swych poddanych:

Ia! Ia! Ia! Io! Io! Io!
Jestem Bogiem Bogów!

Jestem Panem Mroku I Władcą Czarnoksiężników!
Jestem Siłą I Wiedzą!
Przewyższam Wszystko!
Przewyższam Anu I lgigi!
Przewyższam Anu I Annunnaki!
Przewyższam Siedmiu Shuruppaki!
Przewyższam Wszystko!
Przewyższam Enki i Szamasza!
Przewyższam Wszystko!
Przewyższam Ninnursak i Testament Lenki!
Przewyższam Wszystko!
Przewyższam Inannę I Isztar!
Przewyższam Nannę I Uddu!
Przewyższam Endukugga I Nindukugga!
Przewyższam Wszystko!
Nic Nie Było Stworzone Przede Mną!
Przewyższam Wszystkich Bogów!
Przewyższam Wszystkie Dni!
Przewyższam Wszystkich Ludzi I Legendy O Nich!
Jestem Przedwieczny!
Nikt Nie Znajdzie Mojego Miejsca Spoczynku!
Widzę Słońce Nocą I Księżyc Za Dnia!
To Ja Przyjmuję Ofiarę Tułaczy!
Skrywają Mnie Góry Zachodu!
Skrywają Mnie Góry Magii!
Jestem Przedwiecznym Wśród Przedwiecznych!
Przewyższam Absu!
Przewyższam Nar Marratu!
Przewyższam Anu!
Przewyższam Kia!
Przewyższam Wszystko!
Ia! Ia! Ia! Ia Sakkakth! lak Sakkakh! Ia Sha Hul!
Ia! Ia! Ia! Utukku Hul!
Ia! Ia Zihul! Ia Zihul!
Ia Kingu! Ia Azbul! Ia Azabua! Ia Haztur!
Ia Hubbur!
Ia! Ia! Ia!
Bahababahahahahabahahahaha!
Kakhtakhtamon Ias!

Van nie zrozumiała, czy ostatnia linijka była częścią rytuału, czy Azatoth po prostu się roześmiał, ale nie interesowało jej to zbytnio. Nie tylko tego zdania nie zrozumiała. Pocieszało ją tylko jedno – po

wymówieniu ostatniej zgłoski Azatoth znikł, przywracając ścianie poprzedni wygląd. Napięcie w sali powoli opadało.

– On rzeczywiście jest takim wielkoludem, czy po prostu cierpi na manię wielkości? – wyszeptała Vanessa nieprzychylnie. – Nawet jeśli rzeczywiście jest taki, nie zaszkodziłoby mu trochę skromności…

– Eeee, Van, nie słyszałaś jak wrzeszczał na nas Wielki Chan – cichutko zachichotał Hubaksis. – Bywało, że tak dawał, aż chciało się rzygać…

– Zresztą raz ci się przytrafiło coś w tym rodzaju – chłodno podsumował Kreol. – Zatkaj się, niewolniku, nie przeszkadzaj mi!

– A czym jesteś zajęty, panie?

– Myślę! – warknął mag, z pogróżką w głosie wyciągając z torby laskę. – A przy okazji, kobieto, oddaj no mój łańcuch.

Rozdział 4

Gdy Kreol, Vanessa i Hubaksis „zabawiali się" na imprezie w Zamku Kadath, Mao nudził się. Prawdę mówiąc, to, że Agnes po raz kolejny wyjechała gdzieś daleko, cieszyło go – Mao kochał żonę, ale długie przebywanie z nią dopiekło nieszczęsnemu mężowi. I nie tylko jemu. Ale bez córki i jej kawalera (mimowolnie wciąż myślał o Kreolu jako o narzeczonym Van) czuł pustkę.

Oczywiście, dom miał jeszcze trzech mieszkańców. Niestety, Hubert był wspaniałym sługą, jak zresztą prawie każdy skrzat, ale właśnie to sprawiało, że był niemiłosiernie nudnym rozmówcą, zupełnie nienadającym się do towarzystwa. Sir George, którego i wcześniej Mao spotykał bardzo rzadko, okazał się mało rozmownym osobnikiem, najchętniej chowającym się gdzieś w ciemnym kącie. Czy to śmierć tak na niego wpłynęła, czy też był taki od urodzenia, nie wiadomo. Został tylko Butt-Krillach. Wyglądał niezbyt przyjemnie, ale nie można go było nazwać ani nudziarzem, ani milczkiem. Niestety, elwen skwapliwie wykorzystywał nieobecność Vanessy i pojawiał się w domu z rzadka, sprawdzając tylko, czy wszystko jest w porządku. Mao postanowił nie pytać, gdzie się włóczy, ale w gazetach jak dotąd o nim nie pisano, w telewizji też nie było komunikatów ostrzegawczych, tak więc ojciec Van cieszył się względnym spokojem – czteroręki demon potrafił ukryć się przed wścibskim wzrokiem.

Do nudy dołączyła obawa o córkę. Choć przekonywał Kreola, że Vanessa umie sama o siebie zadbać, to jednak ojcowskie uczucia niełatwo pokonać. Przecież Van wybrała się nie na piknik z przyjaciółmi, nie w odwiedziny do chorej babci w sąsiednim mieście, nawet nie na ekspedycję do dżungli nad Amazonką! Każdą z tych podróży Mao potraktowałby obojętnie, tym bardziej, że przy tak niespokojnej kobiecie, jak Agnes Lee, sam musiał dużo podróżować. Ale przecież jego córka wyprawiła się do innego wymiaru, w istnienie którego jeszcze niedawno nie wierzył! Do świata zamieszkiwanego nie przez ludzi, a same potwory! Oczywiście, Kreol zaklinał się na wszystkie świętości, że zaproszonym nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale w końcu to tylko słowa… Jak byście się czuli, wiedząc, że ktoś wam bliski znajduje się w miejscu takim jak Leng? Niezbyt wiele jest gorszych światów…

Z braku lepszego zajęcia, stary Chińczyk zaczął wędrować po domu. Kreol zamieszkał w tej willi nie tak dawno, ale już zdążył nasączyć ją swą obecnością. Wszędzie widać było ślady zmartwychwstałego sumeryjskiego maga. Na przykład, w ogrodzie (oczywiście, jeśli ten malutki spłachetek ziemi, obsadzony diabli wiedzą czym można nazwać ogrodem) Mao odkrył kilka gatunków

roślin nieznanych współczesnej nauce. Bezwzględnie eksploatując Sługę, Kreol zbudował w odległym końcu ogrodu malutką oranżerię, trochę większą od działkowej szopy i nasadził w niej roślin tak gęsto, że do środka z trudem mogła wejść tylko jedna osoba. Tylko Kreol wiedział, gdzie udało mu się zdobyć te wszystkie nasiona. Najprawdopodobniej i tym razem wykorzystał demonologię.

W oranżerii Mao znalazł, między innymi, mandragorę. Miał szczęście, że magiczna roślina była jeszcze całkiem młoda i jej krzyk okazał się niewystarczający do upieczenia mózgu zbyt ciekawskiego Chińczyka. Ale uszy bolały go jeszcze długo.

Oprócz tego, Kreol zdążył jeszcze zabezpieczyć ogród przed ciekawskimi spojrzeniami sąsiadów. Wykorzystał dwie warstwy żywopłotu – wewnętrzną z paproci, a zewnętrzną z tarniny. Obie rośliny w ciągu kilku dni zdążyły osiągnąć imponujące rozmiary, całkowicie zasłaniając sad przed obcymi spojrzeniami. Z pewnością i tutaj nie obeszło się bez magii.

W ogrodzie była tylko jedna ścieżka – od tylnych drzwi willi do oranżerii. Całą pozostałą przestrzeń gęsto pokrywały wszelakie rośliny. Tam, gdzie nie było roślin, rosły grzyby. I to jakie! Przeważały muchomory, ale gdzieniegdzie wciśnięte były całkiem nieznane gatunki, niepodobne do niczego, co można zobaczyć na rycinach w podręczniku botaniki. Wśród drobnych roślin Mao rozpoznał niezapominajki, dziki kminek, prymulki i jeszcze co nieco, ale większa część ziół i kwiatów pozostała dla niego zagadką.

Rosły tam też mchy. W różnych kolorach i odcieniach, chociaż przeważał czarny. Pokrywały ściany, ścieżki i w ogóle całą dostępną przestrzeń. Do tego w niektórych miejscach mech najwyraźniej poruszał się. Mao z całej duszy pragnął wierzyć, że to z powodu owadów.

Ale wszystkie te dziwaczne rośliny blakły w porównaniu z monstrum rosnącym w samym środku zaimprowizowanego trawnika. Wielki kwiat z najprawdziwszą paszczą i mackami zamiast liści. Drapieżna roślina poruszała się, chociaż pogoda była bezwietrzna, z paszczy cuchnęło jej wstrętnie, a liście-macki poruszały się samodzielnie, starannie oczyszczając łodygę z błota i owadów. Mao na własne oczy widział, jak roślinne monstrum kłapnęło paszczą i pożarło jakiegoś nieostrożnego owada. Człowiekowi ten kwiatek raczej nie dałby rady – był na to za mały, ale Mao wolał nie podchodzić bliżej. Miał szczerą nadzieję, że sąsiedzi, których posiadłość przylegała do ogrodu, nie będą aż tak wścibscy, by przedzierać się przez kłujące zarośla – wyjaśnić im pochodzenie tak dziwnego herbarium byłoby nielekko.

Jeszcze jedna rzecz zdziwiła Chińczyka – temperatura. Był listopad, a wtedy, nawet w południowej Kalifornii nikt nie hoduje

kwiatów. A jednak w ogrodzie królowało prawdziwe lato – było ciepło, wszystko kwitło i zieleniło się, a rośliny najwyraźniej czuły się wspaniale. Czuł coraz większy respekt dla magicznych mocy Kreola.

Jeszcze większego szacunku nabrał, gdy zaszedł do magicznego laboratorium. Mao był już tutaj, gdy z Vanessą i Hubaksisem próbowali sporządzić lek na nieoczekiwaną chorobę maga, ale wtedy nie miał czasu, aby podziwiać wystrój wnętrza. Za to teraz czasu miał w bród, i wykorzystał go jak należy. Jednak niczego nie dotykał, pamiętając przypadek z mandragorą. Tutaj mogły znajdować się bardziej podstępne przedmioty.

Znaczną część półek zajmowały fiolki, flakoniki, buteleczki, pudełeczka, szkatułki, słoiki i inne naczynia przeznaczone do przechowywania ciał płynnych i stałych. Na wszystkich znajdowały się napisy, ale Mao nie mógł odczytać ani jednego – w przeciwieństwie do swej córki, nie znał sumeryjskiego. Stały tam również lodówki. Trzy sztuki, jedna większa od drugiej. Gdyby ich zawartość zobaczył jakiś przedstawiciel prawa (oczywiście poza wyrozumiałą dla swojego czarodzieja Vanessą), Kreola bez wątpienia czekałoby mnóstwo nieprzyjemności.

W najmniejszej chłodziarce znajdowały się różne organy ludzkie i zwierzęce. Wycięte serca, wątroba, nerki i inne wnętrzności. Odcięte palce rąk i nóg, oczy i uszy, nosy i języki. W środkowej Mao ujrzał podobne kawałki, tyle że większe. Całe ręce i nogi, odcięte głowy i inne paskudztwa. No a w największej leżały już całe ludzkie ciała. Dwa męskie i jedno kobiece. Wyglądało na to, że Kreol zdążył przeszukać pobliskie cmentarze.

– Mam nadzieję, że nie zamierza stworzyć Frankensteina… – wymamrotał oszołomiony Mao, zamykając drzwi laboratorium na klucz. W tym pomieszczeniu jeszcze bardziej nie życzył sobie nieproszonych gości niż w ogrodzie.

Idąc do piwnicy, Mao spotkał trzy kociaki: Czarnula, Dymka i Alicję. Wesoło goniły coś niewidzialnego.

– Sir, obiad będzie dokładnie o drugiej – stanowczo oznajmił ktoś niewidzialny.

Do piwnicy Kreol do tej pory nie miał czasu zajrzeć. Za to zdążyła to zrobić Vanessa. Podczas Wielkiego Remontu Starego Domu Katzenjammera przytargała tam wszystko, co w jej osobistym słowniku określane było słowem „graty”. Znalazły się tam stare meble, na wpół zgniłe dywany, jakieś bibeloty znalezione w pokojach i inne drobiazgi. Nie ma potrzeby wspominać, że nie obciążyła delikatnych, damskich rąk tą pracą i zleciła ją Słudze i Butt-Krillachowi. Pierwszy się nie sprzeciwiał, a drugi protestował, ale tylko po cichu i wtedy, gdy Vanessy nie było w pobliżu.

Teraz, w rozpadającym się bujanym fotelu siedział melancholijny

duch sir George'a. Jak zwykle nie zaszczycił Mao nawet słowem, a tylko obrzucił go tęsknym wzrokiem i przeciągle zajęczał. Były major bardzo sumiennie odnosił się do roli ducha, ale nie miał żadnej strasznej tajemnicy, nie wiedział nic o ukrytych skarbach, nie potrzebował porządnego pogrzebu, nie miał więc o czym rozmawiać z ludźmi. Chociaż nie, wiązała się z jego śmiercią okropna tajemnica, ale i tak wszyscy o niej wiedzieli. Pozostawało mu jęczeć, ale ostatnimi czasy starał się robić to jak najciszej – od razu pierwszej nocy Vanessa zagroziła, że jeśli chociaż raz obudzi się przez jego wrzaski, natychmiast zażąda, aby Kreol uwolnił dom od ducha. Nikt nie miał wątpliwości, że sumeryjski mag potrafi to zrobić bez wysiłku. Podobnie, jak nikt nie wątpił, że zrobi to na pierwsze żądanie pewnej siebie dziewczyny – kto faktycznie rządzi w tym domu rozumiały nawet karaluchy na strychu.

Przyjrzawszy się do woli piwnicy, w której zresztą nie było czego oglądać, Mao wrócił na pierwsze piętro i zaczął po nim spacerować, trzaskając drzwiami. Najpierw wszedł do biblioteki. Tak, tak, w domu Katzenjammera była biblioteka – poprzedni właściciel przywiózł tutaj swe książki, ale nie zabrał ich z powrotem, doszedłszy do wniosku, że ta karma dla termitów nie jest warta, by wracać do tak odpychającego miejsca. Wtedy jeszcze mieszkał na strychu chichoczący potwór…

Książki zajmowały dwie szafy, przy czym w jednej umieszczono poważną literaturę – encyklopedie, słowniki, klasykę i temu podobne, a w drugiej – beletrystykę. Przeważała fantastyka i kryminały. Bezwzględnym zwycięzcą był Isaac Asimov, zajmujący całą półkę. Widać było, że poprzedni właściciel szczerze cenił jego dzieła.

Do beletrystyki Kreol nie zdążył się dobrać. Ale dla literatury poważnej znalazł czas. Wiele książek mogło się poszczycić uwagami na marginesach, wyrwanymi stronicami, a nawet osmalonymi okładkami. Gdy magowi nie podobała się treść, po prostu wyrywał stronicę i palił. Szczególnie rozzłościł go podręcznik historii starożytnej – wyglądał jakby mag go pogryzł. Najbardziej ucierpiał rozdział o starożytnym Sumerze – nawet popiół po nim nie został.

– A czemu tu się dziwić? – Wzruszył ramionami Mao, rozmawiając sam ze sobą. – Zobaczymy, co napiszą o nas w podręcznikach za pięć tysięcy lat. Obawiam się, że też nałgają…

W holu rozległ się stuk, a potem przygłuszony tupot bosych stóp. Mao zszedł popatrzeć, co się dzieje i odkrył Butt-Krillacha. Czteroręki demon dopiero co wpadł przez drzwi i wyglądał na pełnego poczucia winy. Jak pies, który przez nieuwagę narobił gospodyni do kapci. U kotów jest wprost przeciwnie – kot w takiej sytuacji wygląda na bardzo zadowolonego.

– Dzień dobry, panie Lee – uprzejmie ukłonił się Butt-Krillach, przysiadając na tylnych rękach.

– Witaj, Butt. Coś się stało?

– W ogóle to tak… – przyznał elwen niechętnie. – Zobaczyli mnie.

– Naprawdę? – Chińczyk uniósł brwi. – Czyli jutro napiszą o tobie w gazetach?

– Być może… chociaż nie sądzę. Widziała mnie nasza sąsiadka. Wie pan, taka chuda, podobna do szczura.

– Pani Foresmith? – przypomniał sobie Mao. – I gdzież to cię zobaczyła?

– Gdy wchodziłem do domu… – Butt-Krillach ze wstydem spuścił oczy. – Proszę o wybaczenie, panie Lee, wiem, że nie powinienem wychodzić do miasta za dnia…

– A co teraz można zrobić? – Mao rozłożył ręce z filozoficznym spokojem. – Widziała, to widziała… W końcu, kto jej uwierzy? A w ogóle, Butt, masz szczęście, że moja kochana córeczka wyjechała. Już ona by cię obsztorcowała jak należy.

– Wiem, panie Lee… – zasępił się demon. Rozległ się dzwonek. Mao stanął jak skamieniały, usilnie próbując zgadnąć, kto to może być. Agnes powinna wrócić z Amsterdamu nie wcześniej niż za tydzień. Vanessa ze swym kawalerem – za trzy dni, o ile czas w Lengu biegł tak samo jak na Ziemi. Mao był wystarczająco wykształconym człowiekiem, by wiedzieć o możliwości takiego paradoksu.

– Szybko, chowaj się – krótko nakazał Butt-Krillachowi.

Demon nie kazał mu długo czekać, zniknął, nim Mao zdążył zrobić pierwszy krok w stronę drzwi. Chować umiał się jak nikt inny.

Stary Chińczyk otworzył drzwi, nie pytając, kto przyszedł. Kreol, zanim udał się do świata po tamtej stronie, zapewnił go, że otoczył dom ochronną pajęczyną zaklęć i teraz nikt nie może wejść do domu, jeśli on, Mao, tego nie zechce.

Na progu stała owa „chuda, podobna do szczura" sąsiadka, Margaret Foresmith. W zasadzie należało tego oczekiwać. O wiele gorsze było to, że przyprowadziła ze sobą policjanta. Chociaż grubasek w mundurze najwyraźniej uważał, że przyciągnięto go tutaj na próżno – mówił o tym jego smętny wygląd.

– Pani Foresmith? – przywitał ją gospodarz prawdziwym chińskim ukłonem. – Pan…

– Johnson – przedstawił się basem policjant.

– Czemu zawdzięczam wizytę? – uprzejmie zainteresował się Mao.

– Sam pan najlepiej wie! – fuknęła Margaret.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam pojęcia… – Mao bezradnie rozłożył ręce.

– A gdzie są gospodarze? – Namolna sąsiadka starała się zajrzeć do środka. – Ta dziewczyna i ten wariat?

– Ma pani na myśli moją córkę i mojego przyszłego zięcia? – Mao

nadał głosowi nieco chłodniejsze brzmienie. Jak na prawdziwego Chińczyka przystało, potrafił wspaniale posługiwać się intonacją do wyrażania uczuć. – Są w Los Angeles, odwiedzają naszych przyjaciół. Wrócą za trzy dni. W tym czasie ja doglądam domu. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania, pani Foresmith?

– Przepraszam… eee… – zaczął policjant, drapiąc się po karku.

– Po prostu Mao – pospiesznie przedstawił się Mao.

– Tak, Mao… hmm. Tak jak wasz przywódca, tak? Zabawne…

Mao postanowił nie wyjaśniać, że Mao Zedong rządził w Chinach dawno temu, jego czasy minęły bezpowrotnie i obecnie nikt go nie uważa za przywódcę. W zasadzie, Jiang Zemina też nie darzył ciepłym uczuciem. Podobnie jak George'a Busha i w ogóle większości polityków.

– No więc tak, panie Mao… – Johnson cały czas starał się wyjaśnić powód swej wizyty. Widać było, że sam nie całkiem rozumie, czemu właściwie tu przyszedł. – A więc ta… hmmm… Tak. Proszę jeszcze raz powtórzyć personalia.

– Mao – cierpliwie przypomniał jego rozmówca.

– Pyta mnie! – gniewnie przerwała Margaret. – Ile razy można panu powtarzać? Foresmith! Margaret Foresmith!

– Tak. No więc tak… hmmm… Pani Foresmith twierdzi, jakoby ukrywał pan u siebie… no… tak… Jak pani powiedziała? Tak, to znaczy… Jakiegoś potwora, czy co… Nie ma pan czasem jakiejś małpy albo czegoś takiego? Może kangura? – zapytał policjant z nadzieją. Bardzo chciał jak najszybciej wyjaśnić nieporozumienie.

– Potwora? – Mao podniósł lewą brew w wyrazie zdumienia i dezaprobaty. – Konkretnie jakiego potwora?

– Pan to powinien wiedzieć najlepiej! – Kobieta nachyliła się agresywnie w jego stronę. – Jeszcze pyta, jakiego! Czy według pana jestem ślepa?! Sama widziałam, jak otwierał drzwi! Okropny, jak łysa małpa, z paszczą pełną zębów! A jaki miał łeb – jak u kosmity! A może to jest kosmita?

– No… – Johnson usiłował się uśmiechnąć. Zauważywszy, że Margaret patrzy w inną stronę, ukradkiem postukał palcem w czoło. – Nic pan nie wie… mmmm… Mao?

– Niestety, nie – odpowiedział Mao głosem suchym jak pieprz. Zauważył obok dumnie przechodzącego Fluffiego i zaprezentował go nieproszonym gościom. – Być może tego potwora ma pani na myśli, droga sąsiadko?

– Ma mnie pan za skończoną wariatkę? – rozeźliła się.

– Pani to powinna wiedzieć najlepiej! – przedrzeźniał ją Mao. – Może pomyliła pani telewizor z oknem? Nie wiem jak u państwa, ale w naszym domu nie ma żadnych potworów!

– Mmmm… tak! Hmmm… – mruknął policjant. – Pani… eee…

nieważne, może pani mimo wszystko… no, nie wiem… pomyliła się? Nie? Hmm, tak. Coś się przywidziało, co?

– Wiem, co widziałam! – przerwała mu Margaret z godnością. – Panie władzo, w tym domu już od dawna dzieje się coś dziwnego, nie pierwszy raz to zauważyłam! Pana obowiązkiem jest przeprowadzenie rewizji!

– Kchy… – chrząknął policjant. – Przepraszam… eeee, niech to diabli, ciągle zapominam, jak pani… a niby na jakiej podstawie? Dlatego, że pani przywidział się kosmita? A nawet jeśli się nie przywidział, nasze prawo nic nie mówi o tym, że nie wolno trzymać kosmitów. Jeśli panią zje albo przynajmniej pogryzie, wtedy owszem – proszę przyjść i złożyć skargę. Zamkniemy kosmitę i tych, którzy go ukrywali. A do tego czasu – adieu! Do widzenia po francusku, hmm, tak!

Mao, który nie spodziewał się po tym tępawym w wyglądu tłuściochu takiej zwięzłej i rozsądnej wypowiedzi, chrząknął w tej samej chwili z uznaniem.

– Nie zostawię tego tak! – zagroziła na pożegnanie Margaret, patrząc jak zmykają się drzwi wejściowe.

– Butt, jesteś tu? – cicho zapytał Mao, spoglądając przez wizjer, by upewnić się, że uparta sąsiadka nie szpieguje gdzieś w pobliżu.

– Jestem tutaj, panie Lee – miauknął gdzieś w pobliżu czteroręki demon.

– Do powrotu Van i Kreola nie ruszysz się z domu ani na krok. Niech oni zdecydują, co z tobą zrobić. Mam przeczucie, że ta… – Mao zaklął pod nosem – rzeczywiście nas nie zostawi. Będzie teraz siedzieć i śledzić nas przez lornetkę. Może nawet z aparatem fotograficznym.

– Ludzie mają jeszcze kamery wideo – dodał Butt-Krillach.

– Tak, kamery też… – westchnął Mao. – Słuchaj, już dawno chciałem cię zapytać, nie masz nam za złe, że tak cię nazywamy?

– A o co chodzi? – nie zrozumiał Butt-Krillach.

– No wiesz… „But". Trochę głupio nazywać się jak kapeć lub kalosz… – wymamrotał Mao.

– Jest nieskończenie wiele języków… – Elwen obojętnie wzruszył dwiema parami ramion. – Dowolne słowo w jakimś języku może brzmieć głupio. Możecie mnie nazywać, jak wam się podoba.

Pani Foresmith rzeczywiście postanowiła nie poddawać się tak łatwo. Konsekwentnie wcielała w życie swoją nową obsesję. Męża postanowiła nie wtajemniczać – swego ślubnego nie szanowała, traktowała go jak szmatę, przy czym szczególnie irytowała ją jego wiara w zjawiska nadprzyrodzone. To, że teraz sama polowała na stwora z innego świata, bynajmniej nie wydawało się jej nielogiczne. Dama była z gatunku tych, co to w cudzym oku nie tylko słomkę, ale i

pyłek zobaczą, a belki we własnym uparcie nie dostrzegają.

Pani Foresmith za to bardzo szybko zapoznała z Wielką Tajemnicą Łysego Kosmity swoje przyjaciółki – panią Anderson i pannę Wilson. Astrolożka momentalnie stwierdziła, że z tym domem i jego mieszkańcami coś jest nie w porządku. Natomiast pulchna pani Anderson z zachwytem spijała mądrości z ust przyjaciółek i we wszystkim się z nimi zgadzała.

Głośno lamentowały nad tym, że pani Lee jest w podróży. Z żoną Mao momentalnie znalazły wspólny język i kto jak kto, ale ona na pewno mogła im pomóc. Dzięki niej z łatwością dostałyby się do środka, a tam bez trudu wymyśliłyby, jak obejść całe terytorium. Ale czego nie ma, tego nie ma. Wszystkie trzy musiały uzbroić się we wszelakie przyrządy do podglądania oraz podsłuchiwania i rozpocząć dyżury nieopodal tajemniczej willi. Jednak na przełażenie przez płot i szukanie innego wejścia nie zdecydowały się. Po pierwsze, nie było wśród nich akrobatki ze złodziejskim stażem, a po drugie ciągle jeszcze towarzyszył im strach przed potworami rzekomo czającymi się w domu Katzenjammera.

Mao z ironicznym uśmiechem obserwował właśnie z malutkiego balkoniku na pierwszym piętrze, jak Edna Anderson stara się sfotografować coś przez dziurę w płocie, gdy usłyszał kolejny dzwonek. Starając się zgadnąć, kto to może być, poszedł otworzyć.

– Czy mieszka tu Kreol? – pytanie padło, zanim zdążył na dobre otworzyć drzwi.

Mao cofnął się o krok, z niedowierzaniem przyglądając się gościowi. Nieznajomy chłopak w ciemnych okularach, z oślepiająco białą fryzurą stał w milczeniu, oczekując odpowiedzi.

– Przepraszam, a kim właściwie pan jest? – spytał ostrożnie.

Mao miał szczęście, że yir znał twarz swej ofiary. Gdyby tak nie było, walnąłby milionem woltów w pierwszą osobę, która otworzyłaby drzwi. Ale wiedział, jak wygląda Kreol i dlatego postanowił nie tracić energii na kogoś, za kogo mu nie zapłacono.

– Jestem Guy – krótko odpowiedział yir. – Jeszcze raz pytam: czy mieszka tu Kreol?

– Tak, ale…

– Jest tu teraz?

– Nie, tak w ogóle…

– Gdzie jest? – dopytywał się dalej Guy tym samym metalicznym głosem.

– A co to pana obchodzi?! – oburzył się Mao. – Czego pan od niego chce?

Yir znalazł się w skrajnie trudnej sytuacji. Nie potrafił kłamać, ale odpowiedź, że chce zabić Kreola, wywołałaby negatywną reakcję tubylca i najprawdopodobniej musiałby go zabić. Było to niepożądane

– mógł się jeszcze przydać jako źródło informacji.

– Muszę się z nim spotkać. – Guy w końcu wymyślił odpowiedź. Co ciekawe, wcale nie skłamał, rzeczywiście przede wszystkim musiał spotkać się z ofiarą. – Gdzie on jest?

– Nie sądzę, by go pan tam znalazł… – Mao frasobliwie podrapał się w kark. Nie wiadomo dlaczego wydawało mu się, że TEN gość nie uwierzy w bajkę o Los Angeles. – Wróci za kilka dni.

– Za ile dokładnie?

– Za cztery.

W rzeczywistości do powrotu pozostało tylko dwa i pół dnia, ale ten typ nie budził zaufania Mao, postanowił więc najpierw uprzedzić Kreola.

– Dobrze, wrócę tutaj za cztery dni – niechętnie zgodził się Guy. Nie miał ochoty zostawać w tym świecie ani minuty dłużej niż to konieczne, ale jeszcze bardziej nie chciało mu się kontynuować poszukiwań, gdy można było po prostu poczekać. Lot z Belgii do Stanów Zjednoczonych był jednym z najbardziej nieprzyjemnych doświadczeń, w całym krótkim życiu młodego yira. Postanowił wejść w stan staży i przeczekać, ile trzeba.

Mao pragnął jak najszybciej zatrzasnąć drzwi – gość coraz mniej mu się podobał, ale Guy nadal stał zwrócony ku niemu twarzą, jakby chciał jeszcze coś dodać, trzeba więc było czekać, aż podejmie jakąś decyzję.

W tym czasie Guy zastanawiał się: zabić czy nie zabijać tego człowieka? Z jednej strony, staruszek był niepotrzebnym świadkiem i mógł powiadomić ofiarę zanim on, Guy, ją dopadnie. Z drugiej strony – jeśli go zabije, ofiara może tym bardziej coś podejrzewać i ukryć się. Albo, co gorsza, sama napaść jako pierwsza – yir doceniał możliwości sumeryjskiego maga.

Rozważywszy dokładnie problem, Guy w milczeniu odwrócił się i poszedł sobie. Mao zamknął za nim drzwi i odetchnął z ulgą. Oczywiście, nie miał pojęcia, że właśnie ominęła go możliwość sprawdzenia na własnej skórze, co czuje skazaniec na krześle elektrycznym.

Rozdział 5

A tymczasem w Lengu „bawiono się". Jeśli, oczywiście, można tak to nazwać – Vanessa gotowa była przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie widziała bardziej smętnej imprezy.

Po kilku uroczystych przemówieniach, wygłoszonych przez najważniejsze potwory, większość wszelkiej maści straszydeł rozlazła się po zamku. Nasi przyjaciele poszli za ich przykładem. Tutejsi kulturalno-oświatowi najwyraźniej nie zamierzali organizować żadnych rozrywek, pozwalając gościom zabawiać się samodzielnie. Wyglądało to niezbyt elegancko, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował.

Vanessa z nudów kartkowała magiczną księgę Kreola. Trzeba przyznać, że gdzieniegdzie była naprawdę wciągająca. Trafiały się jednak miejsca nudniejsze niż fińsko-norweski słownik wydrukowany alfabetem dla niewidomych. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, Van znalazła w księdze przemówienie Azatotha, zgadzające się co do joty z tym, co usłyszała w komnacie. W ogóle Kreol napisał sporo o Lengu i jego mieszkańcach.

Oddziel głowę trupa od ciała jego, starając się, w miarę możliwości, nie uszkodzić niczego, co znajduje się powyżej szyi. Umieść głowę trupa na miedzianym talerzu, tyłem do wschodu albo – jeśli na ziemi panuje noc – odwrotnie. Posyp oczy trupa proszkiem Ibn-Gazi, jednocześnie wymawiając odpowiednie zaklęcia zapisane poniżej. Jeśli wszystko zostanie zrobione dobrze, trup otworzy oczy i będzie z tobą rozmawiać. Uważaj! Przed rozpoczęciem rytuału nie zapomnij wypowiedzieć Ochronnego Słowa, bo inaczej trup, jeśli opanował potrzebne umiejętności, może cię skrzywdzić. Głowę trupa możesz zapytać o wszystko, a ona nie może skłamać ani zataić prawdy, ale pamiętaj, że może mówić mgliście lub dwuznacznie. Jeśli coś wyda ci się niejasne, zapytaj dwa razy, zapytaj trzy razy albo więcej, jeśli uznasz to za konieczne. Nie od rzeczy będzie pogrozić trupowi, ale nie ma sensu grozić mu śmiercią – w obecnym stanie niczego bardziej nie pragnie. Możesz grozić strasznymi mękami i bólem nie do zniesienia – dalej opisano, jak sprawić ból ożywionemu trupowi. Nie należy dawać głowie jeść ani pić, bo to doda jej sił, by mogła przeciwstawić się twym staraniom. Szczególnie unikaj dawania jej krwi, chyba że trup jest nastawiony do ciebie przyjaźnie lub przynajmniej nie jest wrogi – w takim przypadku krew, przeciwnie, może pomóc rozwiązać mu język. Ale jeśli za życia był wrogim ci magiem, nie ma lepszego sposobu, by zrobić sobie krzywdę – przeczytała Van. No tak, na karierę literacką Kreol nie miał szans – pisał stylem bardzo chropowatym, a czytanie niewyraźnych bazgrołów było prawdziwą męką.

– A czy tak jest mi do twarzy? – zapytał z niepokojem w głosie mag, zajmujący się dotąd czymś za plecami dziewczyny.

Vanessa odwróciła się i wesoło zachichotała. Kreol zmienił uczesanie, związał włosy w koński ogon. Chociaż rzeczywiście wyglądał tak znacznie lepiej i chichotała nie bez powodu.

– Co się stało, kobieto? – Zmarszczył brwi mag. – Co w tym śmiesznego?!

– Nie, nic… Hubi, to ty mu pomagałeś?

– A któżby inny…? – warknął Hubaksis, sapaniem demonstrując, że jest obrażony. – Przedtem panu zaplatała włosy specjalna niewolnica, ale skąd ją wziąć tutaj…?

– Nieszczęście ty moje. – Czule pokiwała głową Vanessa. Siadła bliżej i zaczęła wszystko poprawiać. Malutki dżinn okazał się nędznym fryzjerem. Chociażby dlatego, że zamiast gumką, związał włosy pana kawałkiem zardzewiałego drutu. Ciekawe, gdzie go zdobył w tym świecie?

Grzebień i gumkę do włosów Vanessa miała zawsze ze sobą. Jaka prawdziwa kobieta wybierze się do równoległego świata bez takiego zestawu? Rozczesując włosy wielkiego maga mimowolnie przyznała sama przed sobą, że sprawia jej to przyjemność. Oczywiście, pewien wpływ na to miały włosy Kreola, które przypominały sierść syjamskiego kota nie tylko kolorem, ale, jak się okazało, były równie miękkie i puszyste. Dotykając ich, miała wrażenie, jakby głaskała kociaka.

– Co ci przyszło do głowy, żeby używać drutu?… – burczała. – Nie znalazłeś gumki?

– A co to takiego? – zasępił się Kreol, cierpliwie czekając, aż jego fryzura zostanie doprowadzona do porządku.

– Nie wiesz, co to takiego guma? – zdziwiła się Vanessa.

– Wiem, co to jest guma, kobieto! – wybuchnął mag.

– Pan pyta, co to jest gumka, Van – wesoło wytłumaczył Hubaksis. – No właśnie, co to takiego?

– A to! Czyżby w waszych prehistorycznych czasach nie było czegoś takiego?

– Używaliśmy jedwabnych sznurków – powiedział Hubaksis, oglądając pokazany przedmiot. – Ale ta rzecz rzeczywiście jest wygodniejsza…

Do komnaty, będącej schronieniem Kreola i jego kompanii, ukradkiem wsunął się odpychający demon, podobny do pokręconego staruszka z twarzą debila. Miał niecały metr wzrostu, króciutkie nóżki, rączki ze sterczącymi palcami, a jego dziwne ubranie przypominało damską pończochę z dziurami na ręce i nogi. Jednak w porównaniu z większością tubylców, można go było nawet nazwać ładnym.

– Czego chcesz? – niegrzecznie zapytał Kreol.

Twardo postanowił przesiedzieć w tym pomieszczeniu do samego końca święta, a potem zniknąć po angielsku – bez pożegnania. Leng dopiekł mu do żywego już pięć tysięcy lat temu, a zdążył dowiedzieć się wszystkiego co chciał. Dostał nawet Kamień Wrót – niespodziankę, która mogła odegrać ważną rolę w Wielkim Planie Kreola.

Brzydal coś wymruczał w niezrozumiałym narzeczu.

– Nic nie rozumiem – zdziwiła się Van. – Po jakiemu to?

– To język Sha-Kine – skrzywił się Kreol. – W Lengu używa się kilku języków, a ty znasz tylko Nag-Soth. Ej, ty, mówisz w Nag-Soth?

Brzydal pokręcił głową, nie przerywając trajkotania.

– Ale rozumiesz, prawda? – wtrącił się Hubaksis.

Brzydal potwierdził kiwnięciem głowy.

– A ty go rozumiesz? – Van zwróciła się do Kreola podejrzliwie. Nie podobało się jej to, jak demon na nią patrzy.

– Z trudem – przyznał się mag. – Ale jednak rozumiem.

– I czego on chce?

Mag przysłuchiwał się trajkotaniu potworka i bezdźwięcznie poruszał ustami, starając się przetłumaczyć jego słowa. Gdy zrozumiał sens, plasnął dłońmi o kolana, odchylił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie.

– Co on powiedział, panie? – Hubaksis nie mógł powstrzymać ciekawości. – Też chcemy wiedzieć!

– Chce cię kupić – wytłumaczył Kreol, ocierając łzy ze śmiechu.

– Mnie?! – zdziwił się dżinn. – A do czego jestem mu potrzebny, panie?

– Nie ciebie, niewolniku! Ciebie, kobieto.

– Co, co?! – krzyknęła Vanessa z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że ten pokurcz chce kupić… MNIE?!

– Właśnie tak. – Z zadowoleniem kiwnął głową Kreol, wsłuchując się w nieprzerwane trajkotanie karzełka. – Pyta, ile za ciebie chcę… Proponuje swoją cenę… oho! Tak w ogóle, to niezłe pieniądze…!

– Powiedz mu – ledwie mogąc opanować gniew, sucho powiedziała Vanessa – że jestem wolną kobietą i nie jestem na sprzedaż!

Na twarzy karzełka zagościł ironiczny wyraz, cicho zachichotał, jakby usłyszał dobry żart i znowu coś wymruczał.

– A co teraz mówi?

– Mówi, że nie ma kobiet nie na sprzedaż – sumiennie przetłumaczył Kreol. – Proponuje, żebyśmy przestali się wygłupiać i podali cenę. Wygląda na to, że mu się spodobałaś… Mówi jeszcze, że musi obejrzeć towar, żeby przekonać się, że jesteś zdrowa i jesteś w stanie sprawić mu przyjemność.

Karzełek przeszedł od słów do czynów. Śliniąc się, podszedł do Vanessy. Wyciągnął nawet zakończoną krótkimi palcami rękę, starając

się uszczypnąć dziewczynę w pierś.

Tego Van nie mogła już wytrzymać. Nigdy nie była feministką, uważała, że równouprawnienie równouprawnieniem, ale nie ma co szaleć, jednak nie mogła dopuścić do czegoś podobnego. Gdyby na miejscu karzełka był jakiś inny potwór, zażądałaby, aby jej czci bronił Kreol, ale z tym małym krasnalem Van świetnie mogła dać sobie radę sama.

Karzełek, odrzucony na ścianę prawym sierpowym, zawył z oburzeniem, wskazując Vanessę palcem. Prawe oko, ugodzone pięścią dziewczyny, momentalnie zabarwiło się na fioletowo i przypominało przejrzałą śliwkę.

– Przeprasza? – starała się zgadnąć Vanessa, zadowolona, że jest w stanie sama zadbać o siebie. Nie musiała nawet wyciągać pistoletu, który zapobiegliwie zabrała ze sobą.

– Nie sądzę, Van – mruknął Hubaksis.

– Teraz żąda, żebym oddał cię za darmo, jako zadośćuczynienie za poniesione szkody – smętnie przetłumaczył Kreol.

– Co?! – oburzyła się Vanessa, biorąc kolejny zamach na bezczelnego karła. – Chcesz jeszcze, potworku?!

Pokurcz odskoczył do tyłu i znowu coś wytrajkotał, z obawą spoglądając spod oka na pięść Vanessy.

– To coś nowego… – zdziwił się Kreol. – Grozi, że poda nas do sądu.

– Mają sądy? Nigdy bym nie przypuszczała…

Karzełek z uwagą wysłuchał jej odpowiedzi, klasnął w dłonie i zatrajkotał jeszcze szybciej. Tym razem Vanessie wydawało się, że rozpoznaje jakieś znane słowa. Jedno z nich brzmiało jak „Ameryka”.

– Co mówi?

– Mówi, że system prawodawstwa zapożyczyli od was, Amerykanów – melancholijnie przetłumaczył mag. – Mówi, że tak im się spodobał, że skopiowali go kropka w kropkę.

– Też coś… – zauważyła Vanessa z lekką nutą dumy. – Nasz system musi być dobry, jeśli korzystają z niego nawet takie potwory.

– A co teraz mówi, panie?

– Mówi, że na dwudziestowiecznej Ziemi najbardziej spodobały im się trzy rzeczy i zrobili u siebie takie same.

– Co takiego?

– Amerykański system prawny… – wyliczył Kreol -…komory gazowe i gułagi. A propos, co to takiego? Mówi, że to nawet dziwne, że takie sprytne rzeczy wymyślili ludzie.

Vanessa zasępiła się. Nie spodobało jej się, że potwory traktują amerykańskie sądownictwo na równi z radzieckimi obozami i faszystowskimi narzędziami zbrodni. Złym wzrokiem popatrzyła na karła, aż ten zaczął się kręcić nerwowo, chcąc ukryć się przed tym

groźnym wzrokiem.

– A więc tak! – zdecydowanie oznajmiła Van, wyciągając palec w stronę Kreola. – Powiedz temu bydlakowi, żeby podniósł tyłek i zmiatał stąd do wszystkich diabłów, jeśli nie chce, żebym pokazała mu mavasi-giri!

– Mnie, mnie pokaż! – wyrwał się do przodu podekscytowany Hubaksis.

– Co ci przyszło do głowy, jednooki? – Dziewczyna popatrzyła na niego z uśmiechem politowania. – Mavasi-giri to kopnięcie nogą w twarz, a nie to, o czym cały czas myślisz, mój ty misiu puszysty.

– Aaaa… – Rozczarowany dżinn wycofał się. – W takim razie nie chcę.

Kreol cały czas nie mógł dojść do siebie z oburzenia. Vanessa ośmieliła się pokazywać go palcem… Jego! Było to prawdziwym ciosem w jego miłość własną. W poprzednim życiu nikt… nikt! nie ośmieliłby się zrobić niczego podobnego. A tym bardziej kobieta. Jednak Kreol stopniowo pozbywał się nawyków właściciela niewolników. Dlatego po prostu pokazał czekającemu cały czas karzełkowi drzwi i za pomocą gestów wyjaśnił, co go czeka, jeśli nie spełni polecenia Vanessy. Karzełek coś wybełkotał z oburzeniem, jedną ręką wskazując Van, a drugą – śliwkę pod okiem. Kreol zaprezentował mu łańcuch przeciw demonom, więc tamten nie odważył się więcej dyskutować.

Vanessa na pożegnanie dała paskudnikowi kopniaka w tyłek, żeby czasem nie przyszło mu do głowy wrócić. Wyjrzała na korytarz i zbaraniała. Holem, bez pośpiechu, dostojnie, nie zwracając uwagi ani na Van, ani na wciąż jeszcze rozcierającego bolący zadek karzełka, szedł najprawdziwszy anioł. Nadęty facet w białym chitonie, ze złotymi lokami i łabędzimi skrzydłami u ramion.

– O… o… o… – Dziewczyna starała się coś powiedzieć, wskazując palcem oddalającego się anioła.

– Co, Van, znowu zobaczyłaś Hastura? – życzliwie zainteresował się Hubaksis, podlatując bliżej. – I to **w**szystko? – powiedział z rozczarowaniem, gdy zobaczył obiekt, który wywołał takie wrażenie. – Co ty, nie widziałaś anioła?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Vanessa. – A niby gdzie go miałam widzieć?

– Pewnie tam, gdzie mieszkają anioły – zaśmiał się Kreol. – W Raju. To Jasny Świat, jeden z sąsiadujących z nami.

– Byliśmy tam kiedyś razem z panem! – pochwalił się dżinn.

– Byliście w Raju?! – Oczy Vanessy rozszerzyły się z zachwytu. Sumeryjski mag znajdował coraz to nowe sposoby, by zrobić na niej wrażenie. – I… jak tam jest?

– Fajnie… – westchnął Hubaksis. – Szkoda, że nas nie zaproszono

w gości tam, a nie do tego Lengu…

– Tak, ale nieproszonych gości oni też nie lubią – zimno przypomniał Kreol.

– Ale czy nie tam trafia się po śmierci? – zastanowiła się Van. – Sądziłam…

– Oczywiście. – Mag kiwnął głową. – Sprawiedliwi po śmierci trafiają do któregoś Jasnego Świata, a grzesznicy – do Ciemnego. Ale jedenastu ludzi z tuzina balansuje gdzieś pośrodku, więc trafiają po prostu do Świata Martwych.

– A gdzie on jest? – zapytała Vanessa, czując, że jest trochę zmęczona. – To też sąsiedni świat?

– Świat Martwych to świat wtórny – odpowiedział Kreol. – Nie jest ani Jasny, ani Ciemny, tylko Martwy. Taki świat jest prawie w każdym wymiarze.

– A co to znaczy „wtórny”?

– Przyczepiony do naszego. Można się do niego dostać tylko z naszego świata, a z niego – tylko do naszego. No, albo do jakiegoś innego wtórnego. Jeśli nasz wymiar z jakichś powodów zginie, zwiną się też wszystkie jego wtórne światy – wyjaśnił Kreol również mocno już zmęczonym głosem. – Teraz rozumiesz?

– Może by cię tak wyprawić do Instytutu Fizyki? – odpowiedziała Vanessa pytaniem. – Wyjaśniłbyś im, jak jest zbudowany Wszechświat, bo ci jajogłowi bezskutecznie łamią sobie nad tym głowy… Mają tylko hipotezy.

– Wszystko jest zbudowane bardzo prosto! – wesoło zapiszczał Hubaksis. – Stwórca stworzył wiele, wiele światów, a wszystkie one składają się z malutkich cosiów… jak żesz one się nazywają…?

– Molekuły? – podpowiedziała Van.

– Nie wiem, jak je teraz nazywacie. Te maleńkie cosie składają się z innych, jeszcze mniejszych, te z kolejnych, znów mniejszych, a dalej to już nie wiem.

– Milcz, niewolniku! – Kreol dał lekkiego klapsa dżinnowi. Bał się silniej uderzyć, aby nie rozbić malutkiej główki. – Chcecie jeść?

– Jeść?! – nie wiadomo dlaczego zdenerwowała się Van. – Chcę!

W komnacie, którą zrządzeniem losu dzieliło ze sobą dwoje ludzi i dżinn, było zadziwiająco mało mebli. Typowy, minimalny zestaw. Miejsce do spania przypominające wojskowe łóżko składane, stół – tak niziutki, że wygodnie mógł rozsiąść się przy nim tylko jakiś Japończyk, i fotel.

Kreol zajął się stołem. Wyciął na blacie kilka mniej więcej równych kręgów połączonych cienkimi liniami, następnie w każdym narysował kilka pokrętnych znaków, dotknął ich po kolei laską, a potem wyrecytował z powagą:

Stworzę mięsny pokarm, jadalny posiłek stworzę.
Czynię go różnorodnym i sycącym, ale niezmiennie jadalnym.
Połowę wezmę, zjem, drugą połowę zachowam.
Zachowam stworzony pokarm, żeby złożyć ofiarę bogom.
Zaiste otrzymają bogowie część mojego pokarmu.
Rozmiar ofiary określi sam Władca.
Weźmie sobie, czego zapragnie, resztę – rozda.
Ea i Enlil, Szamasz i Marduk będą zadowoleni.

Van, która już na końcu języka miała ciętą uwagę na temat białych wierszy Kreola, rozmyśliła się w jednej chwili, zobaczywszy, jak z powietrza zmaterializowały się naczynia z brązu estetycznie napełnione jedzeniem. Kształtem i rozmiarem dokładnie odpowiadały narysowanym na stole kręgom. W samym środku pojawiła się butla z winem, o pojemności około czterech litrów.

Mniej więcej w połowie wieczerzy do pokoju wpadł jeszcze jeden demon. Całkowite przeciwieństwo poskręcanego staruszka – potężny kosmaty drab o ciemnobrązowej skórze, z wysuniętą do przodu paszczą i parą byczych rogów. Zza ramienia wyglądała mu oszałamiająca czarnoskóra piękność. Od człowieka różniła się tylko nadzwyczaj długimi pazurami u rąk.

– Na włochaty zadek Kingu! – zaklął demon. – Tutaj też zajęte! Ej, ty, słuchaj, długo tu będziesz siedział?

– Długo. – Kreol spojrzał na niego posępnie spode łba. – A co, miejsca wam brak?

– No właśnie… – wysapał rogaty. – Nie wiesz, czy jest gdzieś wolne?

– Spróbuj za czwartymi drzwiami po prawej – poradził mag.

Demon kiwnął głową w podzięce, szybko tracąc zainteresowanie Kreolem i wszystkimi pozostałymi.

– Ej, mogę iść z wami? – z nadzieją zapytał Hubaksis.

– Ha! – wyszczerzyło się dziewczę. – Takich jak ty, trzeba by mi z pięćdziesięciu!

– Nie wiesz jeszcze, co potrafię! – oburzył się dżinn.

– Próbowałam już z takimi, nic specjalnego… – prychnęła szponiasta dama.

Obrażony Hubaksis zamilkł i zatopił zęby w kawałku boczku. Vanessa pytająco popatrzyła na Kreola, oczekując komentarza na temat gości.

– Diablice… – uśmiechnął się półgębkiem Kreol. – Jest ich tu jak mrówek. Pamiętam jak raz…

– Co raz? – Van skrzywiła się niesympatycznie.

– Nic! – szybko przerwał mag. – Prawda, niewolniku?

– Zupełnie nic, panie, zupełnie – westchnął Hubaksis – Zawsze mówią mi jedno i to samo, dziwki szponiaste… Ale ty, panie, zawsze im się podobałeś…

– Milcz, niewolniku! – ryknął mag, wyciągając rękę po laskę.

Dojadając nóżkę bażanta i nieuważnie słuchając wrzasków uciekającego przed laniem Hubaksisa, Van rozmyślała.

Ostatnimi czasy nie dawała jej spokoju pewna myśl, o której dotąd nie śmiała wspominać. Doszła do wniosku, że drugiej okazji nie będzie, postanowiła mimo wszystko wyłożyć swą prośbę.

– Kreolu…? – zaczęła niepewnie.

– Nie przeszkadzaj, kobieto, jestem zajęty! – odburknął mag, machając laską tak, jakby przez całe życie nie zajmował się niczym innym tylko tłukł niewydarzonych niewolników. Zresztą, prawdopodobnie właśnie tak było.

– Panie, wybacz, więcej nie będę! – prosił dżinn.

– Dobrze, zostawmy to na razie – zgodził się niechętnie nieco już zmęczony Kreol. – Czego chcesz, kobieto?

– Widzisz, słyszałam, że są jakieś sprawdziany… no… czy ktoś może być magiem, czy nie. Rozumiesz?

– Oczywiście – niecierpliwie przytaknął mag. – I co dalej?

– A czy mógłbyś mnie… no, sprawdzić?

– To znaczy? Chcesz zostać maginią, kobieto? Do tego nie wystarczą zdolności, trzeba jeszcze znaleźć nauczyciela… zaraz… Nie myślisz chyba, że ja…?

– No, tak w ogóle to… – Vanessa uśmiechnęła się przymilnie. – Jak ci się podoba ten pomysł?

– Nawet o tym nie myśl, kobieto! – wrzasnął oburzony mag. – Żebym dobrowolnie wziął sobie takiego garba na plecy?! Czy chociaż masz pojęcie, ile czasu trwa nauka u maga?! Piętnaście lat to najkrótszy okres!

– Nigdzie mi się nie spieszy. – Van wzruszyła ramionami. Trzeba przyznać, że uwaga o piętnastoletniej nauce nieco ochłodziła jej zapał, ale niezbyt mocno. Chęć zostania uczennicą maga silnie podgrzewał fakt, że uczniowie zazwyczaj spędzają z nauczycielami dużo czasu, a ostatnimi czasy coraz częściej miała ochotę znaleźć po temu jakiś powód.

– Ale ja się spieszę! Mam jeszcze mnóstwo planów, kiedy miałbym cię uczyć?!

– Jakich planów, panie? – wtrącił się dżinn. – Nic mi o tym nie mówiłeś!

– Jeszcze nie ogłupiałem aż tak, żeby ci mówić – fuknął Kreol pogardliwie. – Ciebie to nie dotyczy, niewolniku!

– Hmm! – przypomniała o sobie Vanessa.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – odmówił mag zdecydowanie.

– A ja powiedziałam: tak! – nie poddawała się Van.

– Panie, najpierw ją sprawdź – poradził Hubaksis. – Jeśli Van nie ma zdolności, problem sam się rozwiąże, prawda?

– Słuszna uwaga, niewolniku. – Kreol nie mógł się nie zgodzić. – Dobrze, kobieto, siadaj tutaj, będziesz zdawać egzamin wstępny.

Jednym machnięciem ręki zgarnął ze stołu resztki jedzenia i naczynia, nie przejmując się zbytnio faktem, że wszystko to znalazło się na podłodze, potem podniósł jedno winogrono (najmniejsze i nadgniłe) i uroczyście ułożył je na samym środku.

– Siedzisz? – upewnił się. – Dobrze… Patrz uważnie na winogrono. Za chwilę przekażę ci tyle magicznej siły, ile tylko będę mógł, a ty spróbujesz podnieść winogrono bez pomocy rąk…

– Jak mam to zrobić? – przerwała mu Vanessa.

– Po prostu ze wszystkich sił staraj się, żeby tak się stało – rzekł Kreol po chwili zastanowienia. Najwyraźniej nie od razu przypomniał sobie, jak właściwie powstaje magia, tak zwykłe i codzienne stały się dla niego te cuda. – Poza tym możesz wyobrazić sobie, jak podnosi się do góry, to też czasem pomaga. Gotowa? Zacznij, kiedy powiem „trzy”.

Mag rozruszał ręce jak chirurg przed operacją, stanął za oparciem fotela i położył dłonie na skroniach dziewczyny. Poczuła, jak z jego rąk dosłownie wylewa się coś w rodzaju płynnego ognia, jednocześnie ciepłego i chłodnego. Napełnił jej ciało nieziemską lekkością, uczuciem ogromnej siły i jeszcze czymś nieznanym. Uczucie było dziwne, ale nie nieprzyjemne.

– Trzy! – wychrypiał Kreol. Sprawdzian wyraźnie nie sprawiał mu przyjemności. Van skoncentrowała się na owocu, z całej siły pragnąc, żeby się uniósł. Chociaż odrobinę! Nakazywała, prosiła, błagała, ale nic się nie działo. Ale tylko na początku. Gdy po raz kolejny krzyknęła w myślach, grożąc, że zastrzeli uparty owoc, jeśli natychmiast się nie podniesie, niechętnie uniósł się nad blatem, jakby od dołu popychał go niewidzialny palec. Tak to zdziwiło Van, że natychmiast przerwała swe wysiłki, a winogrono upadło z powrotem na stół. Zdążyła podnieść je nie więcej niż na centymetr. Kreol zdjął ręce z jej skroni.

– Wspaniale. – Pokiwał głową z zadowoleniem. – O dziwo, bardzo dobry wynik…

– Czyli to znaczy…

– Tak, Van, z pewnością możesz zostać prawdziwą maginią – zawyrokował Hubaksis, który bardzo uważnie obserwował przebieg próby. – Nie arcymaginią, oczywiście, ani nawet nie arcymistrzynią, ale na młodszą mistrzynię w pełni się nadajesz. Oczywiście, jeśli pan zgodzi się ciebie uczyć. Sama rozumiesz, że innego nauczyciela magii w waszym szalonym świecie nie znajdziesz.

– Jeszcze się nie zgodziłem… – burknął Kreol. Ale wszyscy

świetnie rozumieli, że nie uda mu się wykręcić.

Rozdział 6

Jeśli jesteś pewna, że chcesz być moją uczennicą… – smętnie zaczął lekcję Kreol, ciągle mając nadzieję, że Vanessa się rozmyśli -… zapamiętaj: uczeń musi we wszystkim słuchać nauczyciela. Jeśli powiem „skacz!" masz najpierw skoczyć, a dopiero potem pytać, po co. Na czas nauki uczeń nie należy do siebie, robi tylko to, co mówi nauczyciel i nic więcej. Nawet, jeśli będziesz potrzebowała udać się w ustronne miejsce, musisz najpierw zapytać nauczyciela o zgodę, a jeśli zabronię – musisz wytrzymać…

– Co?! – oburzyła się Vanessa. – Zgłupiałeś?

– Pan żartuje – zachichotał Hubaksis. – Straszy, żebyś się rozmyśliła.

– Milcz, niewolniku! – warknął Kreol.

– To prawda? – Van podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Dobrze, starczy! W ogóle, dla ucznia maga najważniejsze jest słuchać i zapamiętywać wszystko, co mówi nauczyciel. No i wypełniać polecenia, inaczej nic z tego nie będzie… Poza tym, uczeń musi zadbać o własny zestaw narzędzi i magiczną księgę, ale to zazwyczaj robi się półtora roku po rozpoczęciu nauki, nie wcześniej.

– Więc od czego zaczniemy? – Dziewczyna niecierpliwie zamachała rękami.

– Ty zaczniesz od tego, że uważnie przeczytasz moją księgę – oznajmił mag złośliwie. – Całą, od deski do deski. Ale po cichu – głośno nie wymawiaj ani jednego słowa, jasne? Zaklęć nie wolno czytać na głos, nawet jeśli ktoś opanował magię. Szczególnie, jeśli opanował…

– A co się stanie? – przerwała mu Van.

– Prawdopodobnie nic – odpowiedział Kreol po chwili namysłu. – Oczywiście czasem coś się może zdarzyć, ale co konkretnie, tego nawet Czarny Ślepiec nie przepowie. Jeśli coś będzie niezrozumiałe, to pytaj, ale nie przesadzaj – potem opowiem wszystko szczegółowo. Możesz zacząć od razu.

Van obraziła się. Próbowała już czytać magiczną księgę Kreola i nie sprawiło jej to wielkiej przyjemności. Półtora tysiąca stron, zapisanych drobnymi literkami, zawierało niezbyt wiele ciekawych informacji – głównie były tam same nudziarstwa. Ale, jak to mówią: cierp ciało, jak ci się chciało – trzeba było wziąć się za ten gruby foliał.

Na pierwszych stronach szczegółowo wyjaśniono podstawy magii. Jak uczyć się na pamięć zaklęć, jak wchłonąć magiczną energię albo manę, jak wpływać na otaczające przedmioty i stworzenia, aby zmieniały się tak, jak tego chce mag, w jaki sposób zamieniać materię

w energię i odwrotnie. Być może, zrozumiawszy to, można było samodzielnie zostać magiem, gdyby nie jedno „ale” – instrukcje te przypominały objaśnienia w podręcznikach karate. Jak wiadomo, nikt nie nauczył się walczyć, czytając książkę. Niezbędny jest trener i ćwiczenia.

Do tego znajdowały się tu tylko same podstawowe instrukcje – szczegółowo omawiano je dalej. Niestety, znaleźć konkretne informacje w magicznej księdze Kreola potrafił tylko on sam – nie było ani spisu treści, ani porządku alfabetycznego, ani nawet banalnej numeracji stron. Po prostu w starożytnym Babilonie takich rzeczy nie wymyślono.

Van czytała i czytała. Zaklęcia, rytuały, wróżby, przepisy na czarodziejskie mieszanki i eliksiry, opisy magicznych zwierząt i roślin, nazwy oraz cechy różnych duchów i demonów, instrukcje przygotowania artefaktów, po prostu różne przydatne informacje… Nieszczęsną dziewczynę po półgodzinie zaczęła boleć głowa. Oczy – jeszcze wcześniej, tak drobnymi literami pisał Kreol. Oczywiście, dzięki temu mógł zmieścić bardzo dużo informacji na stosunkowo niewielkiej powierzchni, ale czytać to było piekielnie trudno.

Weź odcięty język węża dusiciela, umieść go w pucharze napełnionym własną krwią i trzymaj tak przez dwie godziny, przez cały czas śpiewając modlitwy do Mrocznego Damballaha. Paznokciami zrób na języku symbol Damballaha, a potem umieść go na własnym języku. Dopóki będzie się znajdował w twoich ustach, możesz rozmawiać ze wszystkimi wężami i rozumieć ich język, ale w tym czasie nie będziesz mógł rozmawiać z ludźmi – aby rozmawiać z kimś tobie podobnym, musisz wyjąć język. Wszystkie węże będą cię traktować przyjaźnie, dopóki język Damballaha pozostanie w twoich ustach, mogą nawet spełniać twoje prośby, jeśli poprosisz wystarczająco uprzejmie.

Vanessa zamyśliła się. Owszem, umiejętność mówienia językiem węży i rozkazywania im, może być bardzo przydatna. Szkoda tylko, że w tym celu trzeba poświęcić cały puchar własnej krwi. Pewnego razu Van oddawała krew i potem przez trzy dni czuła się okropnie. Od tej pory punkty krwiodawstwa obchodziła z daleka.

W jedną rękę weź garść krzemowego pyłu, a w drugą – garść pyłu z magnetycznego kamienia. Wypowiedz śpiewnie zaklęcie zapisane poniżej, po czym złóż ręce razem i krzyknij imię Sogbo. Gdy to zrobisz, z twoich ust wydostanie się ogłuszający grom, który ogłuszy na wieki wszystkich stojących bliżej niż trzy metry od ciebie, a na jakiś czas – stojących bliżej niż piętnaście metrów od ciebie. Oprócz tego, każdy szklany przedmiot stojący w pobliżu, rozsypie się na kawałki.

– Niczego sobie! – Van gwizdnęła z podziwem, przyglądając się zaklęciu i oceniając, ile czasu potrzeba, by je śpiewnie wymówić. – Tylko kto będzie tyle czasu czekać, aż go ogłuszą?

– Zaklęcie można wymówić wcześniej i zachować w pamięci – wyjaśnił Kreol leżący z zamkniętymi oczami na łóżku. – Zawsze tak robię. A tak przy okazji, pył można zmieszać zawczasu, a potem tylko rozsypać wokół siebie. „Sogbo" to słowo-klucz, imię ducha gromów. Działa jak spust w tym twoim pistolecie.

Flaurus – demon ognia i zniszczenia, jeden z najgroźniejszych demonów w Ciemnych Światach. Wzywanie go wiąże się z ogromnym niebezpieczeństwem, dlatego wszystkimi dostępnymi sposobami należy zadbać o bezpieczeństwo rytuału. Narysuj duże koło wzmocnione czterema Wieżami Obserwacyjnymi, a w nim – trójkąt skierowany wierzchołkiem ku górze. Umieść w nim pieczęć Flaurusa, narysowaną na pentagramie. Operację trzeba przeprowadzać gdy księżyc znajduje się w parzystej fazie pierwszej połowy cyklu, między wschodem słońca a południem. W kadzielnicy spal marsjańską mirrę (patrz skład poniżej) lub żywicę bez żadnych dodatków. Na piersi koniecznie powieś ochronny amulet i pieczęć Flaurusa. Słowo-klucz w tym rytuale to „Temeszno-Masanin!".

Flaurus pojawi się najpierw w postaci strasznego leoparda, potem zmieni się w człowieka z płonącymi oczami i straszną twarzą. Nigdy nie patrz mu prosto w oczy i w ogóle unikaj patrzenia na niego – najlepiej stać plecami do niego. Pogroź Flaurusowi magicznym łańcuchem, potem otocz nim magiczny krąg, w którym stoi, i zawiń pentagram Flaurusa w czarny materiał. Następnie nieś go, chodząc po kręgu, co chwila dotykając rytualnym nożem. Dalej poświęć pentagram ogniem i wodą, a na koniec rozwiń i wręcz Flaurusowi jako zapłatę za usługę. Wydaj Flaurusowi rozkaz, a potem pozwól mu się oddalić. Koniecznie oczyść miejsce, w którym wzywałeś demona, bo jeśli tego nie zrobisz, Flaurus może wrócić później w to miejsce samodzielnie, owładnięty żądzą zemsty.

– A umiesz zamienić dynię w karetę? – Vanessa nie mogła wymyślić mądrzejszego pytania. Powoli zaczęła głupieć od wszystkich tych koszmarów.

– A po co? – zdziwił się Kreol szczerze. – Jeśli kareta będzie pilnie potrzebna, łatwiej zrobić ją z ziemi. Albo nawet z powietrza…

– A jeszcze prościej, polecieć tam, gdzie potrzeba – wtrącił swoje trzy grosze Hubaksis. – Van, odpocznij, po co się tak męczysz? I tak nic nie zrozumiesz, magii trzeba się uczyć stopniowo…

– A ty niby skąd wiesz? – fuknął mag, otwierając jedno oko. – Wśród dżinnów byłeś z pewnością najgorszym uczniem.

Gdy powiesisz nad łóżkiem kilka związanych piór, uwolnisz się od nocnych koszmarów. Umieszczony pod poduszką chorego niewielki wianek z piór pozwoli przyspieszyć zdrowienie, ale ten, kto będzie splatał wianek, musi podczas pracy wyobrazić sobie chorego w dobrym zdrowiu i w pełni sił, inaczej można jeszcze bardziej zaszkodzić. Również pióra spalone nad łóżkiem mogą pomóc położnicy podczas porodu.

Van dobrnęła już do dobrych rad, które, ściśle rzecz ujmując, nie

były prawdziwą magią, ale nie były przez to mniej przydatne. Większość z nich wyglądała jak zwykłe przesądy, ale różniły się od nich ścisłym opisem. Szczegółowo wyjaśniono, co stanie się w takim to a takim przypadku i jak tego uniknąć. Na przykład Vanessa znalazła w tym rozdziale informację, że rozbite lustro przynosi pecha, ale zamiast o siedmiu latach, wspomniano o siedmiu tygodniach. Jednakże zaraz wymienione były sposoby, jak uniknąć pecha. Na przykład, można było od razu odwrócić się trzy razy w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, albo rzucić przez ramię szczyptę soli, ale te sposoby określono jako mało efektywne. Książka radziła zebrać wszystkie odłamki i spalić je albo przynajmniej okopcić, a potem zakopać. Można było także wziąć siedem białych świec i od razu pierwszej nocy po nieszczęśliwym wypadku, o północy zgasić je jednym dmuchnięciem. Najbardziej efektywny sposób polegał na tym, aby kawałkiem rozbitego lustra dotknąć czyjegokolwiek kamienia nagrobnego. Vanessa zapamiętała to na wszelki wypadek.

Oderwawszy oczy od książki dziewczyna zauważyła, że Kreol zdążył usnąć. Posapywał cichutko, trzymając ręce złożone na piersiach tak, jakby spoczywał w trumnie. Vanessa mimowolnie pomyślała, że miał czas przyzwyczaić się do takiej pozycji. Śpiący mag był spokojny i lekko się uśmiechał. Widocznie śniło mu się coś miłego.

– Hubi, a czy przedtem Kreol miał uczniów? – zapytała Vanessa. Głos ściszyła do szeptu, żeby niechcący nie obudzić surowego nauczyciela.

– Jeden raz… – mruknął Hubaksis jakby niechętnie. – Ale chłopak nie dokończył nauki.

– Co, znudziło mu się? – Van przyjęła to ze zrozumieniem.

– Nie, umarł.

– A więc to tak… – powiedziała Vanessa z zakłopotaniem. Powinna współczuć nieznajomemu chłopakowi, ale jakoś nie udało jej się wzbudzić w sobie współczucia dla kogoś, kto umarł pięć tysięcy lat temu. Za dużo czasu upłynęło. – A jak to się stało?

– Normalna sprawa… – Dżinn wzruszył ramionami. – Chłopak był zbyt wścibski, wściubiał nos tam, gdzie nie potrzeba. I doigrał się.

– To znaczy?

– Jak to zwykle bywa… Wziął magiczną księgę pana, gdy nie było go w domu, i przeczytał zaklęcie wywołujące demona. Podstawy już opanował, miał zdolności, więc wywołał demona… Ale nie mógł się obronić – uczył się wszystkiego dwa lata. Demon rozerwał go na kawałki.

– Okropne! – krzyknęła Van.

– Potem, oczywiście, pan wrócił, uspokoił demona, wygnał go, ale było już za późno…

– Pewnie bardzo to przeżywał?

– Jeszcze jak! – fuknął dżinn. – Do tego czasu demon rozniósł w proch i pył pół pałacu! Wiesz, ile czasu trwała odbudowa?

– Miałam na myśli chłopaka – sucho wyjaśniła Vanessa.

– A nie, pan nie musiał za niego płacić. – Dżinn spojrzał na nią tępym wzrokiem. – Był sierotą, nie miał żadnych krewnych. Tylko zmarnowaliśmy czas…

– Hubi, czy ty w ogóle nie masz żadnych uczuć? – wycedziła Van. – Zupełnie nie było ci go żal?

– Znałem go wszystkiego dwa lata… – Dżinn wzruszył ramionami.

– Według ciebie to mało?

– Dla dżinna – bardzo mało. Stajemy się dorośli dopiero gdzieś koło sześćdziesiątki…

– Ach, no tak. A ile masz teraz lat, pięćdziesiąt sześć, prawda?

Obrażony Hubaksis odwrócił się do niej plecami. Najbardziej ze wszystkiego na świecie nie lubił, gdy przypominano mu o dwóch rzeczach – wzroście i wieku. I jedno, i drugie, jak na dżinna było niewielkie.

Drzwi cicho skrzypnęły i do środka zajrzała kędzierzawa głowa. W następnej chwili w ślad za nią pojawiła się reszta ciała i Vanessa ze zdumieniem zorientowała się, że to znowu anioł! Ale inny, nie ten, którego widziała przedtem.

– Przepraszam – nieśmiało zwrócił się do niej skrzydlaty przystojniak – nie widzieliście gdzieś moich rodaków?

– Kogo? – zdziwiła się Van.

– No, innych aniołów… – zmieszał się. – Jesteś człowiekiem, prawda? Przepraszam, niezbyt lubię tutejszych…

– Nie szkodzi, mnie się też nie podobają – powiedziała szybko. – Tak w ogóle, kilka godzin temu widziałam, jak korytarzem przechodził inny anioł.

– Naprawdę? A jak wyglądał?

– Tak jak ty… – rozłożyła ręce. – Trochę wyższy, miał jaśniejsze włosy, i to wszystko…

– Pewnie Nataniel… O, proszę mi wybaczyć niegrzeczność! Endian, do usług.

– Bardzo mi miło, Vanessa Lee. – Van spróbowała dygnąć. Wyszło jej kiepsko – brakowało doświadczenia. Uczyli ją czegoś takiego na lekcjach tańca, ale nigdy nie była pilną uczennicą. – Powiedz, Endianie, co tutaj robisz? Myślałam, że anioły mieszkają w Raju!

– Mieszkamy tam. – Endian uśmiechnął się kwaśno. – Myślę, że jesteśmy tu z tej samej przyczyny co ty, Vanesso Lee. Wysłano nas jako delegację na miejscowe święto. Proszę mi wierzyć, że z radością zrezygnowałbym z tego wątpliwego zaszczytu.

– Ilu tu was jest?

– Sześciu aniołów, archanioł i dwa cherubiny – wyliczył z

ożywieniem. – Obawiam się, że zgubiłem swoją grupę. Z pewnością teraz mnie szukają… Jeśli pozwolisz, pójdę dalej szukać moich przyjaciół.

– Tak, oczywiście, oczywiście. – Van w ostatniej chwili wróciła do rzeczywistości, patrząc jak nowy znajomy znika za drzwiami.

– Nie znoszę ich – podzielił się swoimi poglądami Hubaksis, który nie zamienił z aniołem nawet jednego słowa. – Bezczelne bydlaki, myślą, że są lepsi od innych… Sami szwendają się cały czas po cudzych światach, a do siebie nie wpuszczają nikogo! Do nich wstęp mają tylko sprawiedliwi… Łobuzy!

– A wy dwaj jak się do nich dostaliście? – Wesoło mrugnęła Vanessa.

– Dobry mag wszędzie wejdzie… – przyznał dżinn. – A pan jest jednym z najlepszych!

– Słusznie, niewolniku, zuch z ciebie… – wymamrotał Kreol, nie przerywając snu.

Vanessa na wszelki wypadek pstryknęła mu kilka razy palcami nad uchem – nie, jednak spał. Najwyraźniej bardzo lubił, gdy go chwalono, gdyż reagował na komplementy nawet przez sen.

Popatrzyła na zegarek – było już po północy. Do tego świata przenieśli się wczoraj wieczorem, czyli nie spała już około czterdziestu godzin. Jawna przesada, to dlatego oczy tak się jej kleiły. Do tej pory nie myślała o śnie – jakoś nie miała do tego głowy, co chwila zaskakiwały ją nowe wrażenia. Ale teraz czasu miała aż za dużo. O, nawet dżinn zdążył usnąć – ułożył się u pana na brzuchu i spokojnie drzemał. A gdzie ona ma się położyć?

W końcu Van jako tako umościła się w fotelu, bo jedyny mebel przeznaczony do spania zajął Kreol. W pojedynkę ledwie mieścił się na składanym łóżku.

Gdy otwarła oczy, od razu popatrzyła na zegarek. Wydawało się jej, że zdrzemnęła się nie więcej niż godzinkę, ale w rzeczywistości minęło już południe. Oczywiście w rodzinnym San Francisco, bo tutaj najwyraźniej czas biegł jakoś inaczej.

Wyglądało na to, że Kreol obudził się już dawno. Przykucnął na środku pokoju i coś pichcił w magicznej czarze. Ogień na ruszcie buzował w najlepsze, wywar gotował się, nadąsany Hubaksis mieszał go niewielką pałeczką, Kreol z uwagą kontrolował proces.

– Dzień dobry! – ziewnęła Vanessa, przeciągając się, aż jej stawy zatrzeszczały.

– W Lengu jest teraz noc… – poprawił ją mag obojętnie.

– Tu zawsze jest noc… – burknął dżinn.

– Bo w Ciemnych Światach zazwyczaj nie bywa jasnej pory doby. Za to w Jasnych jest na odwrót – uśmiechnął się Kreol. – Zapamiętuj,

zapamiętuj, kobieto, myślisz, że tak sobie gadam?

– W takim razie po co? – nie zrozumiała Van.

– Uczę cię, po to… Uczeń maga powinien zdobywać wiedzę cały czas, bez przerwy… Nawet w czasie posiłku, w czasie snu, nawet podczas… mmm, tak… w ogóle wszystkiego pozostałego. A propos, to też część lekcji. Ale może rozmyśliłaś się? – zapytał z nadzieją. – Jeszcze nie jest za późno, na razie nie doszliśmy do niczego poważnego.

Van w milczeniu pokręciła głową.

– W takim razie przystąpimy do lekcji – westchnął mag.

Kolejne godziny okazały się jednymi z nudniejszych w życiu Vanessy. Mogłyby nawet pretendować do miana najnudniejszych, gdyby nie lekcje matematyki w szkole. Co robić, Van i w szkole nie była przykładną uczennicą. Dobre oceny miała tylko z wf i z biologii. Vanessa zawsze lubiła przyrodę. Swego czasu chciała nawet wstąpić do „zielonych", ale potem rozmyśliła się. Rzecz w tym, że bardzo aktywnie kontaktowała się z nimi jej mamusia, a Van dawno przekonała się, że wszystkie organizacje, z którymi współpracuje Agnes Lee, zasługują na miano świrniętych.

Tak czy inaczej, Kreol rozpoczął nauczanie Van magii. Na początek na chybcika przygotował śniadanie, komentując przy tym szczegółowo wszystkie swe czynności. Okazało się, że magia to bynajmniej nie tylko wypowiadanie zaklęć i śmieszne gesty rękami. To wszystko było tylko zewnętrzną powłoką, niemającą większego znaczenia, dopiero pod nią krył się potężny szkielet, utrzymujący całość. Magią rządzi kilka surowych praw, których nie jest w stanie obejść żaden mag. Najważniejszym z nich jest prawo zachowania materii i energii. Kreol wyjaśnił, że bynajmniej nie tworzy jedzenia z niczego – coś takiego jest z zasady niemożliwe. Podczas wypowiadania zaklęcia materia, nie więcej niż kilkaset molekuł z otaczającego powietrza lub z ziemi pod nogami, zamienia się w energię – magiczną energię, manę, a potem z powrotem w materię – żądany pokarm. Podczas tej dwukrotnej przemiany liczba molekuł wielokrotnie zwiększa się, a one same całkowicie zmieniają się, przyjmując inną postać, ale prawo zachowania materii nie zostaje naruszone – dokładnie taka sama liczba molekuł znika skądś w tym samym czasie. Gdzie konkretnie, nie wiadomo, bo straty nie można wykryć – jest równomierna. Jedna molekuła tu, inna – tam. W tym przypadku każde słowo zaklęcia było ważne – wystarczy pomylić jedną głoskę i powstanie coś zupełnie niejadalnego, jakieś świństwo. Kreol wspomniał, że zdarzają się sytuacje, gdy zaklęcie nie ma większego znaczenia, ale nie przytoczył żadnych przykładów.

Vanessa zapytała, skąd zaklęcie wie, jakie konkretnie dania mają być dostarczone – nie zauważyła w tekście ani jednej nazwy, oprócz

informacji, że posiłek ma być „jadalny”, „sycący” i jeszcze, z jakiegoś powodu „mięsny”. Kreol postukał laską w narysowane na stole kręgi i wyjaśnił, że każde danie rozmiarem dokładnie odpowiada jednemu z kręgów, a nazwy dań są napisane w środku. Van spróbowała rozszyfrować dziwne znaczki, ale nic z tego nie wyszło.

– To s’mshit, Stary Język – z powagą odpowiedział Kreol. – Stosuje się go czasem w Sztuce. Nie martw się, jego też się nauczysz.

– Z góry się cieszę… – westchnęła Vanessa.

– Tak, Van, mag musi znać wiele języków – ucieszył ją Hubaksis. – Pan zna ich kilkadziesiąt!

– Nie przeszkadzaj nam, niewolniku. – Kreol groźnie zmarszczył się. – I tak, na czym to skończyłem?

W trakcie posiłku uczył Van tego samego procesu – zamiany materii w manę, którą następnie można stosować wedle życzenia. Można zamienić ją znowu w materię i w ten sposób stworzyć coś materialnego, a można też pozostawić w postaci energii i także wykorzystać wedle życzenia. Każdy proces magiczny wymaga many i Kreol uczył Vanessę, jak podtrzymywać w sobie cały czas pewien jej zapas, aby w odpowiedniej chwili nie tracić czasu na wchłanianie. Opowiadał i kazał powtarzać. Potem głośno klął, znowu opowiadał, pokazywał i żądał powtarzania. I tak w kółko, aż w końcu Vanessie coś wyszło. Uczucia, które było jej udziałem, gdy ciało przenikała mana, nie można były z niczym porównać – trzeba to samemu przeżyć, żeby zrozumieć. Kreol był zadowolony i oznajmił, że na dziś koniec lekcji.

– Gratuluję, Van. – Dżinn ledwie wyczuwalnie poklepał ją po plecach. – Najważniejszy jest pierwszy sukces. Dalej będzie łatwiej. Chociaż, mówiąc między nami, pochłonęłaś nic nieznaczącą ilość many…

– Tak, mniej niż potrafi wchłonąć mój niewolnik. – Uśmiechnął się Kreol, patrząc jak odwraca się obrażony Hubaksis. – I nie wyobrażaj sobie za wiele: pochłanianie many to najłatwiejsza część procesu, znacznie trudniej jest ją wykorzystać. Ale na dzisiaj starczy.

– Jak chcesz. – Vanessa bezskutecznie, starając się przybrać rozczarowany wyraz twarzy, wzięła z talerza ostatnią nóżkę bażanta. – A nie zrobiłbyś dla mnie filiżanki kawy?

– Nie – sucho odpowiedział Kreol. – Nie mogę.

– Dlaczego? – zdziwiła się Van, wodząc spojrzeniem po stworzonym przez niego śniadaniu. – Co za różnica – kawa czy wino?

– Jeszcze jedna lekcja – powiedział mag ze zmęczeniem w głosie. – I tak, aby stworzyć cokolwiek, można zastosować jeden z kilku podstawowych sposobów. Metale jest mi bardzo trudno stworzyć z niczego, więc w takich przypadkach stosuję najczęściej transmutację, przy czym jedne metale poddają się przemianie łatwiej niż inne.

Metalowe przedmioty można tworzyć tak, jak stworzyłem dzisiejsze śniadanie, ale, powtarzam, dla mnie jest to bardzo trudne. To nie moja specjalizacja. Dużo łatwiej jest pracować z jedzeniem lub innymi przedmiotami, które niegdyś były częścią żywego stworzenia.

– Nazywamy to „substancjami organicznymi" – podpowiedziała Van, widząc, że Kreol bezskutecznie stara się znaleźć odpowiednie słowo.

– Niech będzie organicznymi – zgodził się mag. – Z każdym konkretnym przedmiotem lub grupą przedmiotów związane jest inne zaklęcie i inny rysunek. Można i bez rysunku, ale z rysunkiem jest łatwiej. Aby stworzyć zaklęcie, potrzebuję przede wszystkim wzorca. Nie mogę stworzyć przedmiotu, którego nigdy nie widziałem. Zaczynam od skopiowania wzorca za pomocą zaklęcia Kopiowania. Pomaga mi to poznać parametry przedmiotu, a potem mogę zacząć tworzenie zaklęcia. Za pierwszym razem nigdy nie wychodzi. Zazwyczaj potrzebne jest siedem lub osiem prób – po każdej z nich koryguję wstępny wariant. W końcu na świat przychodzi nowe zaklęcie, zapisuję je w księdze i mogę wykorzystywać. Twojej kawy nigdy nie robiłem, tak że nie masz co na nią liczyć. Zrozumiałaś, uczennico?

– Zdaje się, że zrozumiałam. – Van bez przekonania pokiwała głową, zauważając jednocześnie, że Kreol zwraca się teraz do niej nie per „kobieto", ale „uczennico". Był to bezsprzeczny postęp. – A dlaczego w ten sam sposób nie tworzysz różnych ziół i liści do przygotowania lekarstw i innych rzeczy?

– Dlatego, że stworzone substancje organiczne można jeść, nosić na sobie i tak dalej, ale nie zawierają one w sobie ani grama magii. – Kreol popatrzył na nią jak na idiotkę. – Stworzyć można tylko najprostsze składniki, takie jak woda. Są jeszcze jakieś pytania?

– Tak… Mówisz, że tworzenie metali z powietrza jest dla ciebie za trudne? A co to takiego?

Van postukała palcem w najbliższy talerz z brązu.

– Uczennico – mag rozciągnął usta w ironicznym uśmiechu – powiedz mi, gdzie są naczynia z poprzedniej uczty?

Vanessa rozejrzała się – rzeczywiście, podłoga była zupełnie czysta. Pamiętała, jak mag zrzucił resztki kolacji ze stołu, ale teraz niczego tam nie było.

– Nie wiem…

– No właśnie! – Kreol podniósł palec. – To nie jest prawdziwy brąz, a tylko twarda iluzja. Rozpływa się po kilku godzinach wraz z resztkami uczty.

– Sprytne… – oceniła Vanessa. – Do tego nie trzeba wyrzucać śmieci… Ale w takim razie nie rozumiem czegoś innego: jeśli tak łatwo możesz zrobić z niczego dowolne dania, to dlaczego w domu

zawsze zmuszasz mnie albo naszego skrzata do gotowania?

– Uczennico! – podniósł głos Kreol. – Masz samojezdny rydwan? Jak go tam zwą… samochód?

– Mam – Kiwnęła głową Van, zastanawiając się, o co mu chodzi.

– I można nim poruszać się znacznie szybciej niż na piechotę, prawda?

– Oczywiście.

– I nogi przy tym się nie męczą, prawda?

– No tak – zgodziła się dziewczyna, ciągle nie rozumiejąc, do czego dąży mag.

– W takim razie, powiedz mi, proszę, dlaczego nie jeździsz nim z pokoju do pokoju?! – wykrzyknął Kreol. – Może mam się też w tyłek drapać za pomocą magii?!

– Niekoniecznie – sucho odparła Vanessa.

– Jeśli niekoniecznie, to zamilcz! – warknął Kreol.

– Niekoniecznie trzeba być niegrzecznym! – odparowała.

– Przyzwyczajaj się, uczennico. – Nieoczekiwanie Kreol rozpłynął się w uśmiechu. – Dopóki jestem twoim nauczycielem, dopóty będę krzyczał i przeklinał. Jak kiedyś mój nauczyciel. Takie relacje między uczniem i nauczycielem zostały uświęcone przez wieki tradycji.

Vanessa nadal była obrażona.

– Dobrze, nie złość się… – powiedział Kreol pojednawczo. – Zjedz jeszcze czekolady – to uspokaja.

Van popatrzyła na ostatni kawałek i mimowolnie się oblizała. Bardzo zdziwiło ją, że Kreol świetnie wie, co to jest czekolada i umie ją stworzyć. A ona myślała, że wynaleziono ją całkiem niedawno. Czekolada ze starożytnego Sumeru nieco różniła się od współczesnej, ale nie można powiedzieć, że była gorsza.

– Nie, dziękuję – odmówiła niechętnie. – Muszę dbać o figurę…

– O jaką figurę? – nie zrozumiał Kreol, rozglądając się dookoła. – Po co o nią dbać?

– No… o tę… – zmieszała się Van, pokazując, o co jej chodzi. – Talia i inne takie…

– A w czym może jej zaszkodzić czekolada? – szczerze zdziwił się Kreol. – I w ogóle, wspaniale wyglądasz – prawie jak dziedziczna arystokratka z Ur. Tylko oczy masz jakieś dziwne… Ale mimo wszystko ładne – jak kian-wen.

– Dziękuję. – Dziewczyna z powątpiewaniem pokiwała głową, nie do końca pewna, czy nie jest to kolejna kpina. – Od czekolady się tyje, po co mi to?

Kreol uśmiechnął się, demonstrując żółtawe zęby. Vanessa starała się nauczyć go korzystania ze szczoteczki do zębów, ale zdecydowanie odmówił, tłumacząc, że magowi znacznie łatwiej jest od czasu do czasu wyhodować nowe zęby, niż codziennie mazać je jakimś

świństwem. Nieprzyjemny zapach z ust też go nie martwił – aby się go pozbyć, wystarczyło, że poruszył ręką i wymamrotał kilka słów.

– Po pierwsze, od czekolady się nie tyje – powiedział pouczającym tonem. – Po drugie, jedzenie stworzone za pomocą magii tylko syci, nie można od niego utyć. Po trzecie, zawsze mogę zrobić ci taką figurę, jaką zechcesz.

– Nie wiedziałam, że jesteś też chirurgiem plastycznym!

Prawdę mówiąc, w to akurat nie uwierzyła. Chociaż niby zdążyła się przekonać, że Kreol ma wyjątkowo trzeźwą samoocenę. Nigdy nie chwalił się na próżno, nigdy też nie był nadmiernie skromny.

Nie wiadomo dlaczego właśnie teraz Vanessie przypomniało się, że za trzy dni kończy się jej urlop, a to znaczy, że trzeba będzie albo wrócić do pracy, albo się zwolnić. Pomyśleć tylko, że od chwili poznania Kreola minęły niecałe cztery tygodnie! A wydawało się jej, że zna go od dziecka…

– Uczennico, nie wiesz, gdzie jest mój niewolnik? – W jej rozmyślania wdarł się niezadowolony głos maga.

Van zasępiła się. Przyszło jej do głowy, że rzeczywiście dawno nie widziała i nie słyszała maleńkiego dżinna. Kreol na chwilę zamknął oczy, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Tak myślałem. Podgląda jak inni grają w świeczki, świntuch…

– Co podgląda? – nie zrozumiała Van.

– No jak… – Kreol lekko się zaczerwienił, pokazując gestami CO w starożytnym Babilonie wstydliwie nazywano „grą w świeczki”. Vanessa z trudem powstrzymała się od śmiechu, patrząc na zawstydzoną minę maga. Mimo wszystko nie był takim twardzielem, za jakiego chciał uchodzić.

– Czekaj no. Czy to znaczy, że możesz zobaczyć, gdzie on jest?

– W końcu jest moim duchem-doradcą. – Kreol wzruszył ramionami. – Oficjalnie… Między nami jest magiczna więź, chociaż dość słaba.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego słaba?

– Dlatego, że jako duch-doradca jest równie kiepski, jak we wszystkim innym… – Mag wykrzywił się z niezadowoleniem. – Sam nie wiem, po co go w ogóle trzymam. Pewnie przywiązałem się do niego…

W drzwi zadudniło naraz z dziesięć pięści. Przestraszona Vanessa aż podskoczyła, mimowolnie chwytając za pistolet, ale gdy drzwi otwarły się, odetchnęła z ulgą. Pojawił się jeden ze Stworów, a mają one po tyle rąk, że starczyłoby na cały oddział.

– Kreol-eol i Vanessa-nessa Lee-ee? – Potwór popatrzył na nich pytająco. Mówił jednocześnie dwoma pyskami, a dźwięki nie całkiem

się pokrywały, co dawało „efekt echa”.

– Tak – wojowniczym tonem odpowiedział mag. – A ty czego chcesz?

– Jesteście zaproszeni-eni na-a uroczystą-ystą kola-cję-cję w sali-ali bankietowej-owej wielkiego-kiego Yog-Sothotha-Sothotha.

– Nieźle! – ucieszyła się Van. Uroczysta kolacja to uroczysta kolacja, nawet w zamku potworów. Ale na wszelki wypadek zapytała Kreola: – Przecież to dobrze?

– To zależy, z której strony na to spojrzeć – odparł z powątpiewaniem. – A z jakiej racji spotkał mnie taki zaszczyt, Stworze? Wydawało mi się, że zapraszają tam tylko szczególnie dostojnych gości. Oficjalnych ambasadorów i tego rodzaju osoby…

– Nie-e wiem-em – zaskrzypiał Stwór. Albo zaskrzypiała. Albo zaskrzypiało. Nawet sam Cuvier nie umiałby chyba określić płci tego stworzenia. – Mam-m rozkaz odprowadzić-wadzić was-s.

Kreol w milczeniu zarzucił na ramię torbę z magicznymi narzędziami i krótkim gestem nakazał Stworowi, by ten wypełnił swój obowiązek. Vanessa sprawdziła, czy broń jest na miejscu i ruszyła w ślad za nim.

Potwór toczył się kilka metrów przed nimi. Właśnie tak – toczył się: Stwór miał diabelnie dużo nóg wyrastających w najdziwniejszych miejscach, tak, że z boku wyglądał jak pyza-mutant.

Tego rejonu Vanessa jeszcze nie odwiedzała. Do tej pory w Zamku Kadath widziała tylko główną salę, pokój kąpielowy dla gości i kilka korytarzy. W tej części zamku ściany wykończono szczególnie starannie czarnym onyksem, a podłogę pokrywało coś w rodzaju szklanego parkietu. Vanessa stąpała bardzo ostrożnie, bojąc się poślizgnąć, dopóki nie zauważyła, że „szkło” wcale nie jest śliskie.

Po drodze minęli odpychające miejsce. Było to coś na kształt zoo, tyle że w klatkach siedziały nie tygrysy, a ludzie. Mężczyźni, kobiety, dzieci w różnym wieku. Wszyscy nadzy. Krzyczeli, płakali, jęczeli, ale Van nie wychwyciła w tych krzykach ani jednego zrozumiałego słowa.

– To niewolnicy? – zapytała z odrobiną zwątpienia. Ludzie w klatkach byli zbyt dobrze utuczeni jak na zwykłych niewolników. Nawet nie to! Wszyscy więźniowie byli tak grubi, jakby przez kilka lat pod rząd odżywiali się tylko w McDonaldzie.

– Kiedyś nimi byli… – obojętnie odpowiedział Kreol, z pełnym obrzydzenia politowaniem spoglądając na klatki. – A teraz to tylko pokarm…

– Co? – Vanessa nie uwierzyła własnym uszom. – Co powiedziałeś?!

– Cóż robić? – Kreol wzruszył ramionami. – Władcy Lengu nie jedzą nic, oprócz mięsa. Smakuje im ludzina… Zanim Marduk Potężny Topór zapieczętował ich wymiar, zdobywali ofiary w innych światach,

a teraz muszą hodować ludzi jak bydło… A propos, jeśli cię to interesuje – nie ma sensu próbować ich uwalniać.

– Dlaczego? – Van aż się zagotowała.

– Spożywczy niewolnicy nie potrafią nawet mówić. To po prostu zwierzęta w ludzkiej postaci… – westchnął Kreol.

Dziewczyna nie odważyła się dłużej kłócić, chociaż mogłaby przytoczyć wiele argumentów przeciw. Ale jej nienawiść do miejscowych Władców wzrosła wielokrotnie.

Biesiada, na którą tak uprzejmie ich zaproszono, wyglądała niezbyt pociągająco. Szczególnie odpychające było jedzenie na stole demonów. Na szczęście Kreola i Vanessę posadzono przy innym stole – dla gości. Był nieco mniejszy, ale prawie jedna trzecia ucztujących była bez wątpienia ludźmi. Oczywiście, było też mnóstwo innych stworzeń, ale nie wyglądały tak wstrętnie, jak te, które mlaskały przy głównym stole.

Odpowiedzialni za rozsadzanie gości, najwyraźniej kierowali się zasadą „pierwszy-drugi”. Tyle, że tutaj była to zasada „mężczyzna – kobieta”. Tak więc po lewej stronie Kreola siedziała, jak poprzednio, Van, a z prawej – olśniewająco piękna dama, przypominająca tolkienowskie elfy. W każdym razie uszy miała nieco spiczaste. Vanessa miała mniej szczęścia – obok niej posadzono białoskórego pigmeja z nienaturalnie ogromną głową i krótką sierścią pokrywającą całe ciało. Kreol cicho szepnął jej do ucha, że jest to lemur. Obrażona Vanessa milczała, sądząc, że z niej kpi. Regularnie oglądała „Animal Planet” i dobrze wiedziała, czym są lemury i jak wyglądają.

Jednak sąsiedzi nie interesowali jej zbytnio. Od samego początku uwagę Van przykuła para siedząca naprzeciwko niej i Kreola. Najwyraźniej, gdy przyszła ich kolej kobiety skończyły się i zrobiono dla nich wyjątek. Zresztą niezbyt ich to cieszyło.

Z lewej strony siedział archanioł. Od aniołów różnił się tylko wzrostem i muskulaturą – skrzydlaty olbrzym miał prawie trzy metry wzrostu. Jego włosy przypominały płynne złoto, miał błękitne oczy i surową twarz ascety. Archanioł był odziany w białą chlamidę, przypominającą połączenie rzymskiej togi z japońskim kimonem, a u pasa wisiał mu miecz kojarzący się z zastygłym płomieniem. Gdyby takie indywiduum pojawiło się na Ziemi, chrześcijaństwo momentalnie umocniłoby swą pozycję.

Jego sąsiad też mógłby ją umocnić, choć zupełnie innym sposobem. Obok zasiadał najprawdziwszy diabeł. Wzrostem prawie nie ustępował aniołowi, ale o ile tamten był ucieleśnieniem piękna, o tyle ten był ucieleśnieniem brzydoty. Mógł się pochwalić kozimi rogami, kopytami i ogonem, świńskim ryjem, gęstą sierścią i czerwonymi oczami. Diabeł wystroił się w fioletową opończę z

krwistoczerwonymi obszyciami, a jego głowę opasywała stalowa obręcz z sześcioramienną gwiazdą dokładnie na środku czoła. Do pasa też miał przymocowaną broń, ale nie był to miecz, lecz trójząb. Co prawda bardzo króciutki, bardziej przypominający ogromny widelec. Najprawdopodobniej nie był to prawdziwy oręż, a po prostu symbol władzy. Przecież i królewskie berło wywodzi się od zwykłej pałki.

W spojrzeniach, którymi ta dwójka obrzucała się nawzajem były wszelkie uczucia, oprócz sympatii. Ale na siedzącą naprzeciwko nich Vanessę patrzyli z widocznym zainteresowaniem. I jeden, i drugi – nie można powiedzieć, że nie pochlebiało to Vanessie.

Od razu zauważyła też różnice między daniami stojącymi na stołach gości i gospodarzy. Na talerzach demonów Lengu nie było niczego oprócz mięsa. Smażone, gotowane, duszone, surowe, ale tylko mięso, bez żadnych dodatków. Van nie chciała nawet myśleć, że jakaś część dań przygotowana była z przedstawicieli ludzkiego rodu. Na szczęście gościom, wprost przeciwnie, nie podano ani odrobiny mięsa. Na poczęstunek składały się: słodkawa kasza, ryżowe placki i jakaś zielenina podobna do szparagów. Ogólnie – spartańskie jedzenie. Niektórzy goście nie byli z tego zbyt zadowoleni, ale nie Vanessa! A gdy patrzyła jak żrą te zębate potwory, traciła ochotę nawet na kaszę. Na apetyt Kreola nie wpłynęło to ani trochę, pałaszował wszystko, aż mu się uszy trzęsły. Napatrzył się już w życiu na różne okropieństwa.

– Bardzo ciekawe… – Szturchnął ją łokciem. – Zwróć uwagę, uczennico, przy naszym stole siedzą przedstawiciele wszystkich sąsiadujących z Lengiem wymiarów, oprócz Ziemi. Rozumiesz, co to znaczy?

– Nie bardzo.

– To znaczy, że zostałem ambasadorem. – Mag w zamyśleniu podrapał się w podbródek. – Nigdy bym nie pomyślał…

– Ty? Ambasadorem?!

– I ty też – ucieszył ją Kreol. – Jesteśmy teraz ambasadorami Ziemi w starym dobrym Lengu. Cieszysz się? Nie przeżywaj tak, nie doda ci to żadnych nowych obowiązków… Zwykła formalność.

Vanessa zamilkła z głupią miną. Przede wszystkim nurtowało ją pytanie, skąd Kreol wie, że nie ma tu przedstawicieli Ziemi. Przy stole siedziało niemało ludzi i jej zdaniem niczym nie różnili się od siebie. Ale zapytała o coś zupełnie innego.

– Czy świat dżinnów sąsiaduje z Lengiem?

Kreol w milczeniu pokiwał głową, cały czas racząc się kaszą.

– W takim razie gdzie są dżinny?

Mag bezceremonialnie wskazał palcem czarnoskórego mężczyznę siedzącego w drugim końcu stołu i Vanessa zaczęła mu się przyglądać. Zupełnie zwyczajny facet – wysoki, barczysty, z wygoloną głową, na której pozostawiono pośrodku czub jak u Irokeza. Przyjrzawszy się

uważnie, dostrzegła, że ma sześć palców, ale była to jedyna różnica. Gdyby nie czub, wyglądałby zupełnie normalnie na ulicach San Francisco. Z czubem zresztą też…

– Ani trochę nie jest podobny do Hubaksisa – powiedziała z powątpiewaniem.

– A jakże… – wymlaskał Kreol z pełnymi ustami. – Dżinny to rasa niestabilna genetycznie. Są bardzo różni. Ciągłe mutacje plemników, i inne takie…

– Oho! – uniosła brwi Van. – Skąd znamy takie mądre słowa?

– Przeczytałem twój podręcznik do biologii. Dobra książka, przydatna… Szkoda, że za moich czasów nie było takich, mógłbym wtedy uniknąć tamtego błędu… – powiedział w zadumie Kreol, najwyraźniej wspominając coś nieprzyjemnego. – Będziesz to jeść?

Vanessa w milczeniu oddała mu swój talerz. Kasza była dość smaczna, ale, jak już wspomniano, dziewczyna nie miała apetytu. I w ogóle nie lubiła kaszy.

Rozdział 7

Patrz, Van, to jest właśnie dolina Inkwanok! – pokazał sześciopalcą rączką Hubaksis.

– Jaka tam dolina? – Vanessa zmarszczyła nos. – Same góry…

– Jest jaka jest – zachichotał dżinn.

Stali na dachu jednej z głównych wież Zamku Kadath. Roztaczał się stąd wspaniały widok na okolicę. To znaczy, byłby wspaniały, gdyby pejzaż nie wyglądał tak złowieszczo. No i nie zaszkodziłoby trochę więcej światła.

Kreol stał kilka kroków od nich. Rozmawiał z typem, który został przedstawiony Van jako Noszący Żółtą Maskę. Widziała go już w głównej sali, i potem, podczas biesiady. Początkowo rozmawiali o nowej funkcji Kreola, a potem przeszli do ogólnych tematów.

– Popatrz, człowieku… – zaskrzeczało spod maski monstrum, wskazując żylastą ręką to, czym bezskutecznie starała się zachwycić Vanessa. – Nasz świat umiera.

– Umiera odkąd pamiętam – odrzekł mag. – Przespałem pięć tysięcy lat, kapłanie. Pięć tysięcy lat! Z mojego świata nie zostało nic, co mógłbym rozpoznać! Niczego ani nikogo! A wy, jak umieraliście, tak umieracie i w żaden sposób nie możecie skończyć.

– To nic nie znaczy… – Noszący Żółtą Maskę powoli pokiwał głową. – Umieramy od chwili, gdy twój bóg zaczął swoje podchody. Giniemy żywcem, człowieku. Tak, rozciągnęliśmy ten proces na wiele wieków, ale co z tego?

Kreol w milczeniu wzruszył ramionami.

– Czy wiesz – kontynuował Noszący Żółtą Maskę po chwili – że w ciągu ostatnich siedmiu wieków w Lengu nie urodził się żaden Władca? Przez siedemset lat ani jednej nowej twarzy!

– A niewolnicy?

– Oni akurat mnożą się jak szczury! – Kapłan z rozdrażnieniem machnął ręką. – I nadzorcy też. Ale jaki z nich pożytek?! MY wymieramy, rozumiesz, człowieku?! Rozumiesz?!

– Może, gdy całkiem wymrzecie, oni będą mogli zacząć wszystko od nowa? – bez cienia współczucia zaproponował Kreol. – Leng ulegnie odnowie… Przestanie być Ciemnym Światem…

– Być może – zgodził się Noszący Żółtą Maskę bez śladu entuzjazmu. Zrezygnowany, pozwolił opaść ramionom. – Ale to już nie będzie ten Leng…

– A czy to źle? – Kreol uśmiechnął się półgębkiem.

– O to chodzi, że nie! – ze złością zaskrzeczał kapłan. – Właśnie tak, człowieku… Jestem jednym z tych, którzy stawiają czoła prawdzie. A prawda jest taka, że jesteśmy wrzodem wśród innych

światów. Nawet Piekło nie jest tak okropne, nawet Kvetzol-Inn… Nawet Hwitaczi! – zaryczał.

Słysząc pełen bólu okrzyk Noszącego Żółtą Maskę, Vanessa odgadła, że zagadkowy świat Hwitaczi, jaki by nie był, jest miejscem prawie tak samo okropnym, jak Leng. Ale mimo wszystko trochę lepszym.

– To znaczy, że następnego święta już nie będzie? – uśmiechnął się sarkastycznie Kreol.

– Nie spiesz się grzebać nas przed czasem, człowieku! – Noszący Żółtą Maskę widać nie zrozumiał żartu. – Tak, umieramy! Ale umieramy już sześć i pół tysiąclecia, a pociągniemy jeszcze drugie tyle! Jesteś pewien, że twój świat przetrwa dłużej? – złośliwie zaskrzeczał spod maski. – Powstanie shoggothów o mało nas nie wykończyło, ale i to przetrwaliśmy! Jeszcze pożyjemy!

– A ja tak sobie myślę… – nieoczekiwanie odezwała się Vanessa.

– Tak? – Noszący Żółtą Maskę odwrócił się w jej stronę.

– Nie, nic ważnego… – Dziewczyna natychmiast się wycofała. Nie bardzo miała ochotę dzielić się myślą, która niespodziewanie przemknęła jej przez głowę, z czerwonymi ogniami płonącymi w szczelinach obrzydliwej maski. Potem na pewno opowie wszystko Kreolowi, bo przyszedł jej do głowy bardzo ciekawy pomysł.

– Zwróć uwagę na jeszcze jeden fakt, człowieku – ciągnął Noszący Żółtą Maskę, odwracając się do niej tyłem. – Minęło prawie piętnaście wieków od czasu, gdy nasi emisariusze po raz ostatni odwiedzili wasz świat. Przez cały ten czas nawiedzał was tylko Nyarlathotep, gdy dostarczał zaproszenia, no i kilka razy Yog-Sothoth. A wiesz, po co? Żeby ukarać odstępców! To kpina – wielki Yog-Sothoth, nosiciel duszy Azatotha, musiał osobiście rozprawić się z tymi, którzy nas zdradzili! Oczywiście, są jeszcze demony, które wy, magowie, wzywacie do siebie na służbę, ale tego przecież nie kontrolujemy! I nie ma takiej potrzeby.

– Więc co mi chcesz powiedzieć, kapłanie? – Kreol popatrzył na niego obojętnie. – Nie będę wam dostarczał dusz, przez wszystkie te wieki nie zmieniłem zdania. A może chcesz mnie zmusić?

– Chciałbym… – Noszący Żółtą Maskę westchnął tęsknie, opierając się o balustradę. – Ale w czym może nam pomóc jeszcze jeden dostawca dusz? Nie, dawno już odwołaliśmy wszystkich emisariuszy. Nie zostawiliśmy żadnych sił w twoim wymiarze, człowieku… Takie tam, nędzne resztki…

– W takim razie, po co mi to wszystko mówisz? – Mag zmarszczył brwi z rozdrażnieniem. – Nie interesują mnie wasze problemy.

– Jesteś okrutny i egoistyczny, człowieku. – Noszący Żółtą Maskę pokiwał głową. Choć nie było widać jego twarzy, czuło się, że wyraża ona w tej chwili smutek zmieszany z gniewem. – Ale takich właśnie

potrzebujemy. Powiedz, nie chciałbyś popracować dla nas… w inny sposób?

– To znaczy jak? – Kreol zmrużył oczy podejrzliwie.

– Niedawno odkryliśmy pewien… interesujący świat – zaczął słodkim głosem Noszący Żółtą Maskę. – Nazywa się Rari. Bardzo miły światek. Jest tam mało ludzi, a ci, którzy są…

– Rozumiem! – szybko przerwał mu Kreol. Vanessa, w przeciwieństwie do niego, nie zrozumiała, co miał na myśli najwyższy kapłan Lengu, ale postanowiła się nie dopytywać.

– Nie chcesz pomóc nam tam dotrzeć? – łagodnie upewnił się Noszący Żółtą Maskę. – Nie mamy dużych wymagań, a nagroda będzie ogromna…

– Rozumiem… – Kreol uśmiechnął się od ucha do ucha. – Chcesz, żebym został nowym Azatothem? Myślisz, że nie pamiętam, iż kiedyś był on takim samym śmiertelnikiem jak ja? Ani ZA CO otrzymał swą moc? Uważasz, że zapomniałem, jak w całym Sumerze nie było bardziej znienawidzonego imienia? I sądzisz, że nie wiem, jak skończył?

– Azatoth jest władcą Lengu! – wyprężył się Noszący Żółtą Maskę, urażony.

– Azatoth to marionetka Yog-Sothotha! – odparował Kreol. – Nie ma nawet własnego ciała! Nie ma wolnej woli! Lepiej żeby mnie pożarła Tiamat, niż miałbym stać się takim jak on! I jeśli…

Drzwi, przez które weszli na taras, uchyliły się i wyjrzała zza nich czerwona mordka jakiegoś drobnego demona.

– Szanowny najwyższy kapłanie, pan generał bardzo prosi, by do niego zajrzeć – piskliwym głosikiem oznajmił posłaniec, po czym znikł z powrotem za drzwiami.

– Nasza rozmowa jeszcze się nie skończyła, człowieku. – Noszący Żółtą Maskę energicznym krokiem opuścił taras widokowy. Bez względu na to, w jakiej sprawie chciał się z nim widzieć Shub-Niggurath, kapłan najwyraźniej o niej wiedział i uważał za wystarczająco ważną, by przerwać rozmowę w pół słowa.

Kreol nawet nie spojrzał w ślad za nim. Mag oparł się o balustradę, patrzył gdzieś w dal i o czymś rozmyślał. Hubaksis niezdecydowanie podleciał do niego bliżej i usiadł na ramieniu pana. Vanessa podeszła z lewej strony i wzięła Kreola pod rękę. Jej nauczyciel był smutny, więc chciała jakoś ponieść go na duchu.

– Rzeczywiście jest z nimi tak źle? – zapytała cicho.

– A? Co? – ocknął się Kreol. – Tak, oczywiście. To dobrze! Nawet nie wiesz, jak dobrze!

– Dlaczego? – Van była zdezorientowana. Wiedziała, oczywiście, że Kreol jest egoistyczny, ale nie sądziła, że może tak otwarcie cieszyć się z cudzego nieszczęścia.

– Powiedz mi, uczennico – zaczął mag cierpliwie. – Twoim zdaniem, po co w ogóle zacząłem tę zawieruchę z przespaniem całej epoki?

– Żeby uratować duszę. Sam tak powiedziałeś! – Vanessa wskazała na niego palcem.

– Słusznie. – Kreol z zadowoleniem kiwnął głową. – To jedna z przyczyn. Druga to nieśmiertelność. Wspominałem przecież, że było KILKA przyczyn. Czyli co najmniej trzy. Jaka jest trzecia?

Zapadło niezręczne milczenie. Van nic nie przychodziło do głowy. Hubaksis najwyraźniej też nic nie wiedział.

– Nie mówiłeś mi panie… – powiedział, lekko obrażony.

– Oczywiście, że nie mówiłem – zgodził się mag spokojnie. – A dlaczego? A dlatego, że nie byłem pewien, czy moje zamysły się powiodą. Plan składa się z sześciu punktów, a ciebie zaznajomiłem tylko z pierwszym. Pierwszy punkt planu – przenieść się do przyszłości. Jak można najdalej. W mojej umowie widniała liczba „pięć tysięcy", wziąłem ten właśnie okres. Żeby nie budzić podejrzeń. Wykonanie pierwszego punktu zakończyło się sukcesem. Drugi punkt planu – urządzić się w nowym świecie. Wtopić się, jak należy, w nowe społeczeństwo, zbudować dom… Dobrze byłoby stworzyć własną Gildię, ale… Zrealizowałem mniej więcej dwie trzecie drugiego punktu – wygląda na to, że z Gildią się nie uda. Trzeci punkt planu właśnie wypełniłem. Przekonałem się, że w ciągu pięciu tysięcy lat Leng ostatecznie przegnił. Gdy Noszący Żółtą Maskę zaproponował mi, bym został praktycznie nowym Azatothem, przekonałem się o tym ostatecznie.

– A dlaczego odmówiłeś, panie? – zdziwił się Hubaksis.

– Jeszcze raz zapytasz mnie o coś takiego, a spiorę cię na kwaśne jabłko! – obiecał Kreol, a zabrzmiało to jak najbardziej poważnie. – Czwarty punkt planu… na razie nie powiem. Chociaż Kamień bardzo mi w tym pomoże. Piąty punkt… też przemilczę. A nuż by ktoś podsłuchał. A szósty…

Kreol wymamrotał coś pod nosem i nakryła ich jasnopurpurowa kopuła, przepuszczająca światło, ale poważnie zniekształcająca widziane dokoła przedmioty.

– Kopuła Tajemnicy – krótko poinformował Kreol. – Przez kilka minut jesteśmy chronieni przed wszystkimi ciekawskimi oczami i uszami. A więc tak, szósty punkt planu to zniszczenie Lengu!

– Uch, uch, uch, uch!!! – krzyknął z zachwytem Hubaksis. – Panie, jestem twoim wiernym sługą, zawsze ci pomagam, nie zapominaj o tym!

– Milcz, niewolniku… – rozkazał Kreol niedbale. – O, to będzie taka wojna… taka wojna, jakiej świat nie widział! Ja ich wszystkich… wytnę w pień!

– Nie rozumiem – powiedziała Van. – Po co?

– A co, podoba ci się to, co tutaj widzisz? – uśmiechnął się mag ironicznie.

– Nie… Ale to są ich problemy. – Wzruszyła ramionami. – Do nas przecież już nie włażą?

– W ogóle to lezą. Po prostu, odkąd Marduk Potężny Topór zapieczętował ich świat, kiepsko im to wychodzi.

– Wszystko jedno. Od kiedy to jesteś taki humanitarny?

– Hum… co?

– Dobry taki, ot co!

– Jestem wiernym czcicielem mojego boga! – Kreol przyjął dość fałszywą pozę. – Chcę skończyć to, co zaczął Marduk.

Vanessa milczała, patrząc mu prosto w oczy, a minę miała w pełni sceptyczną.

– Dobrze, poddaję się! – warknął mag. – Marduk, zanim zrobił porządek z Lengiem, był człowiekiem; potężnym człowiekiem, jednym z największych magów swoich czasów, ale mimo wszystko śmiertelnym. Ale kiedy pozbawił Leng siły, cała wyzwolona ba-choń… potem wyjaśnię, co to takiego… zleciała się do niego. I tak oto został bogiem – zakończył mag.

Van na kilka sekund otworzyła usta jak wyrzucona na brzeg ryba.

– Chcesz… chcesz zostać bogiem?! – wyszeptała jednocześnie z paniką i z zachwytem w głosie.

– Nie żeby aż tak – z żalem westchnął Kreol. – W owych czasach Marduk był znacznie silniejszy, i Leng też. To, co z niego zostało wygląda żałośnie… do tego, trzeba się będzie podzielić z… piątym punktem planu. Ale Najwyższym zostanę na pewno! Takim Najwyższym, jakiego nie było od czasów Adema! A potem można będzie piąć się wyżej. Teraz rozumiesz?

– Prawie wszystko. Ale jednak – po co było kłaść się spać na pięćdziesiąt wieków?

– O, Szamaszu! – jęknął Kreol z desperacją. – A co tu jest do rozumienia? Wtedy faktycznie byłem ich niewolnikiem. Teraz jestem wolny. Wtedy Leng był jeszcze bardzo silny. Teraz zostało z niego… to co widzisz. Wtedy miałem tysiące przeciwników. Teraz nie został prawie nikt. Co prawda, na to ostatnie akurat nie liczyłem… I nie mogę powiedzieć, że to dobrze – nie ma przeciwników, ale pomocników też nie ma! Dobrze, nieważne. Czy teraz rozumiesz, dlaczego musiałem przenieść się w czasie?

– Rozumiem… – Pokiwała głową Van, obserwując, jak wokół rozpływa się Kopuła Tajemnicy. – Ale jeśli wszystko tak doskonale się układa, dlaczego jesteś taki smutny?

– Myślę, że pan jest smutny z innego powodu – słodziutkim głosikiem podpowiedział dżinn.

– Milczeć, niewolniku! – warknął Kreol. – Nikt cię nie pyta o zdanie!

– Pan po prostu boi się, że Mey'Knoni umarła… – odgadywał Hubaksis, obserwując swego pana.

– Do kogo mówię?! – krzyknął mag, uderzając laską w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą był Hubaksis. Zwinny dżinn jak zwykle umknął w ostatniej chwili.

– Panie! Panie! – Dżinn nadaremnie wzywał maga do opamiętania. – Panie, nie trzeba mnie bić, jestem grzeczny!

– Nieprawda! – zaryczał przez zaciśnięte zęby Kreol, wciąż jeszcze waląc swym magicznym orężem gdzie popadło. Kamienne okruchy latały we wszystkie strony – okazało się, że laska jest nadzwyczaj twarda, a i zmartwychwstały Sumeryjczyk odkrył w sobie niespodziewany zapas sił.

– Ej, ej…! – zawołała Vanessa z oburzeniem, starając się przerwać tę awanturę. Mądrzejszego okrzyku nie była w stanie wymyślić. Zresztą i tak nikt jej nie słuchał: dżinn, starając się umknąć przed gniewem pana, poleciał wyżej, a Kreol wskoczył na balustradę i podskakując starał się dosięgnąć do latającego wstrętnego licha. Na to, że w każdej chwili ryzykuje upadkiem z dobrych trzystu metrów, w ogóle nie zwracał uwagi. Za to Van serce stawało w gardle za każdym razem, gdy po raz kolejny opadał o kilka milimetrów od krytycznego punktu.

Polowanie na dżinna zakończyło się po niespełna dziesięciu minutach, gdy obaj uczestnicy zabawy stracili siły. Zmęczony Kreol usiadł na poręczy, a Hubaksis przycupnął obok. Ale mimo wszystko nie za blisko.

– I o co całe to piekło? – zapytała Van z przesadnym spokojem. – Co to za Majowy Koń i dlaczego tak was zdenerwował?

– Mey'Knoni – skwapliwie poprawił ją dżinn, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie Kreola. – Stara przyjaciółka pana, jeszcze z dawnych czasów. Mieszkała w pieczarze, o, pod tamtą skałą.

Vanessa przyjrzała się górze. Ledwie było ją widać na horyzoncie, więc trudno było zgadnąć, czy jest w niej pieczara. Zresztą cały problem wydawał jej się głupi.

– Oczywiście, umarła! – Ze zdziwieniem wzruszyła ramionami. – Ej, moje wy wykopaliska, od tego czasu minęło pięć tysięcy lat, nie zapomnieliście czasem?

– Nie, Van, nie rozumiesz – zachichotał Hubaksis. – Była maginią, jak pan. I też dążyła do nieśmiertelności, tylko w inny sposób.

– W jaki?

– No, miała siedemdziesiąt dwa lata, gdy zawarła umowę z Algorem. Nie wiem, czym mu zapłaciła, ale od tamtej pory przestała się starzeć. Tyle tylko, że musiała na zawsze przenieść się do tamtej

pieczary. Jeśli stamtąd wyjdzie – pufff! Zostanie z niej tylko kupka prochu… – Dżinn obrazowo machnął rączkami.

Vanessa od razu się uspokoiła. Gdy tylko rozmowa zeszła na starą znajomą, z najgłębszych zakamarków podświadomości wypłynęło nieznane dotąd uczucie zazdrości. Ale skoro jest to staruszka-pustelniczka, mieszkająca gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, a do tego nie wiadomo czy w ogóle jeszcze żyje…

– Panie, a może po prostu sprawdzimy? – zaproponował Hubaksis. – I tak nie mamy nic do roboty.

– Masz rację, niewolniku. Trzeba się przekonać… – Mag ponuro kiwnął głową.

– Idę z wami – oznajmiła natychmiast Vanessa. Staruszka czy nie staruszka – nie miała zamiaru puszczać Kreola samego nie wiadomo gdzie.

Mag i dżinn popatrzyli na siebie, jakby się bezgłośnie naradzali, a potem Kreol przyzwalająco skinął głową.

– Niech tak będzie, uczennico. Właź.

– Gdzie? – Vanessa lekko uniosła brwi.

– A ty co, zamierzasz iść na piechotę? – obruszył się Kreol. – Właź mi na plecy.

– Panie, a może się pościgamy? – Maleńki dżinn wyszczerzył się psotnie.

– Nie rozumiem… – zdziwiła się Van. – Chcesz tam lecieć?!

– A ciebie to dziwi? – odpowiedział Kreol pytaniem na pytanie.

– Nie wiedziałam, że latać też umiesz!

– Dużo rzeczy umiem… – Mag machnął lekceważąco ręką, najwyraźniej nie przywiązując do tego wagi. – To co, lecisz czy zostajesz?

Vanessa niezgrabnie spróbowała wdrapać mu się na grzbiet, ale nie udało jej się. Ostatni raz siedziała u kogoś na plecach w wieku ośmiu lat, gdy dziadek nosił ją barana.

– A na miotle nie latasz? – spróbowała zaproponować inny wariant podróży.

– Na miotle? A co ma do rzeczy miotła?

– No, myślałam, że czarnoksiężnicy latają na miotłach…

– Jestem magiem! – Kreol wściekle zgrzytnął zębami. – I dlaczego akurat na miotłach? To głupie… A dlaczego nie w fotelu? Pamiętam, zrobiłem kiedyś imperatorowi latające krzesło…

– A jego synowi drewnianego konia! – przypomniał sobie Hubaksis. – Pamiętasz, panie, jak ten głuptas wleciał na iglicę pałacowej wieży i nie mógł zejść na dół? Imperator groził, że cię zabije!

– Pamiętam, pamiętam… Nie, w zasadzie mogę zmusić do latania dowolny przedmiot, ale dlaczego akurat miotłę? – Pytanie o miotłę nie

wiadomo dlaczego dotknęło Kreola do żywego. – Po pierwsze, to niewygodne. Kobieta może jakoś się usadowi, ale mężczyzna…

– Po półgodzinie zamieni się w eunucha – ochoczo podtrzymał ciekawy temat Hubaksis.

– Tobie to nie grozi – uśmiechnął się Kreol złośliwie. – Poza tym jest jeszcze prawo stosunku mas…

– A co to takiego? – nachmurzyła się Van.

– No cóż, brzmi prosto. Zaczarowane ciało może podnieść ładunek nie większy, niż czternaście i osiem dziesiątych jego własnej masy. Nie, jakoś inaczej, ale sens jest taki – w zamyśleniu przyznał Kreol. – To znaczy, że miotła może podnieść… eee… w waszych jednostkach miary… ze czterdzieści kilogramów. W najlepszym wypadku czterdzieści pięć.

– I wyglądałoby to śmiesznie – dodał Hubaksis. – Wyobraź sobie pana latającego na miotle!

– To też argument – zgodził się Kreol. – Nie, obejdziemy się bez miotły.

– A dywan? – Vanessa nie poddawała się.

– Jaki znowu dywan? – burknął mag niecierpliwie.

– Latający. A może nie istnieją?

– Prawda, panie – zgodził się Hubaksis – co z dywanami? W domu na nich czasami latałem.

– No i co z tego?

– Przecież ważą niewiele! Co z prawem stosunku mas?

– Do zaczarowania dywanu stosuje się inną metodę – Pole Lewitacyjne. Latające dywany, latające sandały, latające deski – jedna i ta sama metoda. Jeśli na artefakcie siedzi się ze zwieszonymi nogami – Pocisk Lewitacyjny, wtedy działa prawo stosunku mas. A jeśli lata się stojąc lub siedząc – Pole Lewitacyjne, wtedy prawo mas nie działa. Ale z miotłą ten numer nie przejdzie – jest za wąska, nie da się na niej w ten sposób utrzymać. I nie usiądziesz normalnie – nogi zawsze będą zwisać.

– Na czym polega różnica? – zainteresowała się Van.

– Różnica polega na tym, że w przypadku Pola Lewitacyjnego jeździec powinien znajdować się nad artefaktem. Rozumiesz? Zaczarowana jest ograniczona przestrzeń – tylko z jednej strony. A w przypadku, powiedzmy, tejże miotły, w żaden sposób nie dasz rady znaleźć się z jednej strony. Rozumiesz? Według mnie wszystko jest proste… Oczywiście, jest jeszcze Pocisk A, z jego pomocą można latać na czymkolwiek, ale wykorzystywać go do latających artefaktów to wyrzucanie many w błoto. Dość o tym! Jeśli chcesz, w domu zrobię ci latający fotel i lataj sobie na nim. A ja najbardziej lubię latać samodzielnie – prościej i oszczędniej. To co, wsiadasz czy nie?! – nieoczekiwanie podniósł głos.

Vanessa, zajęta rozmyślaniami o zaimprowizowanym wykładzie na temat latających przedmiotów, prychnięciem wyraziła oburzenie i ponownie zaczęła wdrapywać się na plecy Kreola. Przykucnął, by było jej wygodniej i tym razem próba zakończyła się sukcesem.

Mag wyprostował się powoli, przytrzymując Vanessę pod kolanami i energicznie wskoczył na balustradę. Van natychmiast zakręciło się w głowie i mocniej złapała Kreola za szyję.

– Nie duś mnie! – groźnie zażądał Kreol przytłumionym głosem, a w następnej sekundzie wzbili się w powietrze.

Wyglądało to tak, jakby zwyczajnie podskoczył, ale, zamiast opaść z powrotem, cały czas unosił się do góry. Wystraszona Vanessa pisnęła. Zdarzyło jej się latać kilka razy policyjnym helikopterem, ale co innego helikopter, a co innego sumeryjski mag. Zresztą nieważne, że sumeryjski, w tym przypadku narodowość nie odgrywała żadnej roli.

Kreol od razu rozwinął całkiem przyzwoitą szybkość. Nie mniej niż osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Vanessa przestała nawet panicznie piszczeć, zdziwiona tak nieoczekiwanymi umiejętnościami maga. Ze wszystkich sił przytulała się do niego, rozpaczliwie wczepiając się weń rękami i nogami. Kreol tylko jęczał z wysiłku. Nie, z jednej strony było mu przyjemnie. Co by nie mówić, Vanessa była młodą, miłą dziewczyną, a nie jakimś śliskim robakiem, i tak bliski kontakt z nią nie mógł być nieprzyjemny. Z drugiej strony… bardzo boleśnie wpiła mu się w szyję. Do tego paznokciami! Hubaksis wzdychał ze współczuciem, bez specjalnego trudu trzymając się obok. Kto jak kto, ale on wiedział, jak mocno potrafi dusić Vanessa.

Z boku ten lot wyglądał nader zabawnie. Przypominali Karlssona z Dachu i jego małego przyjaciela. Kto w dzieciństwie widział ilustracje w książce Astrid Lindgren, łatwo może to sobie wyobrazić. Co prawda, Karlsson zazwyczaj nie taszczył na piersi przenośnej składnicy złomu.

Kreol, oczywiście, nie porzucił magicznych narzędzi. Powiesił na szyi swoją „świętą” torbę i starannie przymocował na brzuchu, żeby nie przeszkadzała. Vanessie przyszło do głowy, że jeśli, odpukać, trzeba będzie zrzucić balast, Kreol pobędzie się raczej jej niż drogocennej torby.

Po kilku minutach lecącego maga prześcignęły dwa Ptaki Lengu. Uważnie obejrzały dziwną parę, wymieniając między sobą zaskoczone spojrzenia. Najwyraźniej, jak dotąd, na niebie Lengu nie miały konkurencji.

– Krrrrrrrrrrrrrrrrrr! – odezwał się pierwszy (a może pierwsza?).

– Arrrrrrrrrraaaaaaaaaaaaa! – zgodził się drugi.

– Uhm-mm – przywitał się Kreol.

– O Boże…! – dołączyła Vanessa.

– Ja nie jestem z nimi! – zastrzegł na wszelki wypadek Hubaksis.

Z tej wysokości dobrze było widać, co się dzieje na dole. Zresztą niczego ciekawego tam nie było. Goła, spalona na popiół pustynia. Śnieg, popiół i ludzkie kości, nic więcej. Jeden z pobliskich wulkanów dymił jak przypalony befsztyk, pozostałe zaś nie przejawiały żadnej aktywności. Poza tym w dole powoli przemieszczały się gęsiego dziwne stworzenia, nieco przypominające ludzi. Około czterdziestu osób. Po bokach jechało czterech Mizernych Jeźdźców Nocy, którzy od czasu do czasu poganiali uderzeniami leniwych niewolników. Być może prowadzili ich z jednego miejsca pracy w inne. A być może po prostu do kuchni.

Do pieczary Mey'Knoni Kreol dotarł po kilkunastu minutach. Niezgrabnie wylądował na niewielkim skrawku ziemi przed otworem w stoku góry i strząsnął z siebie Vanessę. Dziewczyna tak krzepko wczepiła się w niego i tak mocno zamknęła oczy, że nawet nie zauważyła końca lotu. Mag z niezadowoleniem spojrzał na nią spod oka i po cichu wymamrotał zaklęcie Uzdrowienia, rozcierając przy tym siniaki na gardle. Skóra natychmiast zaczęła odzyskiwać swój naturalny kolor.

– Co, Van, nie jesteś przyzwyczajona do latania? – zainteresował się Hubaksis troskliwie, gdy w końcu zdecydowała się otworzyć oczy. – Zobacz, a ja robię to codziennie!

– Masz skrzydła zamiast nóg, to i latasz… – burknęła Vanessa, podnosząc się z trudem.

– Światło! – zwięźle rozkazał Kreol, podając jej rękę.

Pieczara ani trochę nie przypomniała czyjegoś miejsca zamieszkania. Nawet mieszkania staruszki-czarodziejki. Bez względu na to kim była, musiała przecież coś jeść i gdzieś spać. A wewnątrz był tylko kurz i pustka. Zdawało się, że nie było tu nikogo od kilku wieków.

Kreol wszedł do środka z obawą. Na wszelki wypadek wyjął laskę i upewnił się, że jest do pełna załadowana zaklęciami. W danej chwili maga chroniły aż dwa zaklęcia Osobistej Ochrony. Vanessa byłaby niezmiernie zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że na nią także nałożył takie zaklęcia, przy czym trzeba nadmienić, że zrobił to w tajemnicy. To nieprawdopodobne, ale było ich aż trzy! Pierwszy raz w życiu czyjeś bezpieczeństwo interesowało Kreola bardziej niż własne. I to było niepokojące…

Pieczara okazała się głębsza, niż mogło się z początku wydawać. Składała się z kilku bardziej lub mniej okrągłych sal usytuowanych jedna za drugą. Kreol bez słowa przeszedł pierwszą, drugą, trzecią… Na progu czwartej znieruchomiał, ramiona mu opadły.

Vanessa podeszła. Na kamiennym spągu leżał szkielet. A dokładnie półleżał, oparty plecami o płaski kamień w zakamarku

jaskini. Sądząc po kilku zbutwiałych kawałkach materiału, kiedyś w tym miejscu było legowisko.

– To ona? – zapytała Van cicho i ze smutkiem, patrząc na szkielet. Jako policjantka mogła powiedzieć tylko jedno – śmierć nastąpiła bardzo dawno. Od tamtej chwili minęły dziesiątki, jeśli nie setki lat. A może nawet więcej – ostatni raz Kreol widział swoją przyjaciółkę zanim jeszcze zbudowano egipskiego Sfinksa.

– Kim jesteście? – nieoczekiwanie rozległ się gniewny okrzyk. Kreol odwrócił się szybko jak porażony, patrząc na kogoś, kto zadał pytanie. Hubaksis o mało się nie opluł. Vanessa przestraszyła się, że jego jedyne oko za chwilę pęknie, tak je wybałuszył.

Na progu piątej i zarazem ostatniej groty stała żywa kopia Naomi Campbell. Kobieta była bardzo młoda, miała czekoladową skórę, idealną figurę i czarującą twarz. Chociaż ubrana nie tak atrakcyjnie, jak jej bliźniaczka z Hollywood. Szmatą, w której paradowała ślicznotka, prawdopodobnie wzgardziłby nawet nabuzowany narkoman.

W końcu Kreol oprzytomniał i zdecydował się coś powiedzieć.

– Mey'Knoni…? – zapytał niepewnie.

Vanessa cicho gwizdnęła. A to ci staruszka!

– O, Mey, cześć! – ucieszył się dżinn. – Myśleliśmy, że umarłaś, a ty żyjesz! I to jeszcze jak żyjesz, oho! Kiedyś byłaś zwykłym, starym próchnem… ta-ta-ta… stare próchno, a popatrz no teraz!

Vanessa dopiero teraz zorientowała się, że rozmawiano nie w narzeczu Leng, ale po starosumeryjsku.

– Kreol? – zdumiała się ciemnoskóra piękność. – To naprawdę ty? Jak to możliwe?

– Poznałaś mnie? – ucieszył się mag.

– Za nic na świecie bym się nie domyśliła, gdyby nie twój nieznośny dżinn. – Mey'Knoni uśmiechnęła się słabo. – Nie da się go zapomnieć. Odmłodniałeś…

– Ty też! – z zachwytem przyznał Kreol, robiąc krok do przodu z wyraźnym zamiarem objęcia starej znajomej.

– Stój! – Pustelnica cofnęła się z lękiem. – Nie dotykaj mnie!

Kreol zasępił się, nic nie rozumiejąc. Vanessa, która ze wszystkich sił starała się nie okazać szalejącej zazdrości, też się zdziwiła. Bez względu na to, jakie stosunki łączyły tych dwoje wcześniej, uścisk po pięciu tysiącach lat rozłąki byłby czymś naturalnym.

– Nie rozumiesz… – Mey'Knoni ze smutkiem pokiwała głową. – Kreolu, sądziłeś, że umarłam?

Mag przytaknął w milczeniu.

– Na pewno pomyśleliście, że to mój szkielet?

Jeszcze jedno kiwnięcie.

– Niestety, tak właśnie jest – ledwie dosłyszalnie powiedziała

magini.

Van cofnęła się. Kreol, przeciwnie, zrobił krok do przodu, uważnie wpatrując się w Mey'Knoni. Po chwili dosadnie wspomniał o łonie Tiamat i splunął.

– Powinienem się domyślić… – zgrzytnął zębami. – Od jak dawna…?

– Prawie tysiąc lat temu – przyznała się kobieta. – Odmłodniałam dopiero po śmierci… Do tego okazało się, że nie mogę opuścić pieczary nawet w takiej postaci!

Przez kolejnych kilka minut w pieczarze królowało pełne napięcia milczenie. Nikt nie wiedział, co powiedzieć w takiej sytuacji. Potem Kreol podrapał się po głowie i niezdecydowanie powiedział:

– Jeśli chcesz, wygonię cię?

Taka replika zaskoczyła Mey'Knoni. A Vanessa dała magowi sójkę w bok i wyszeptała:

– Dyplomata niedorobiony, nie mogłeś czegoś mądrzejszego powiedzieć?!

– Nie, nie, wszystko w porządku! – szybko uspokoiła ją widmowa kobieta. – Kreolu, ja… będę bardzo wdzięczna, jeśli to zrobisz. Proszę cię…

– Masz ci los, dopiero co się spotkali, i już… – Hubaksis zrobił niezadowoloną minę.

– Niewolniku Kreola, czy wiesz, jak ciężkie jest życie zniewolonego ducha? – zapytała Mey'Knoni chłodno. – Gdy nie możesz wyjść poza granice kilku kamiennych komnat? Gdy musisz ciągle podziwiać własny szkielet, bo nic więcej tu nie zostało? Gdy minęło już tysiąc lat takiego życia?! Kreolu, proszę cię, chcę jak najszybciej z tym skończyć! Ostatnie dziewięć wieków modliłam się tylko o to, by ta egzystencja dobiegła końca! Taka nieśmiertelność nie jest nikomu potrzebna… – ledwie dosłyszalnie wyszeptała martwa magini.

Kreol posępnie kiwnął głową, wyciągając z torby księgę. Zaczął przerzucać stronice, szukając odpowiedniego zaklęcia, a Vanessa patrzyła na ducha, który ze smutkiem oczekiwał swego losu, i z przerażeniem zapytała Kreola:

– Naprawdę zamierzasz ją zabić?

– Nie zabić, a wygnać – z niezadowoleniem poprawił mag. – Nie myl pojęć.

– Kim jesteś, śliczne dziecię? – Mara w końcu zauważyła, że w pieczarze znajduje się jeszcze jedna osoba.

– Moja uczennica – odpowiedział Kreol, nie odrywając wzroku od stronic książki.

– Więc to tak? – Ciemnoskóra ślicznotka znacząco uniosła brwi. – Mnie nie chciałeś uczyć…

– Byłem wtedy niewiele starszy od ciebie – odparował Kreol. Wyglądało na to, że nie był już zadowolony ze spotkania z przyjaciółką. – Sam nie zakończyłem jeszcze nauki.

Znalazłszy odpowiednie zaklęcie, mag wyjął magiczny łańcuch i położył go na ziemi tak, aby ze wszystkich stron otaczał zjawę.

– Nie mogę uwierzyć, że tak z nią postąpisz! – zawołała wstrząśnięta Van.

– Uczennico! – burknął z rozdrażnieniem. – Życie zjawy jest ciężkie i męczące. Nie może przejść w pośmiertny stan, nie może się odrodzić. Nikomu nie życz podobnego losu i nie osądzaj mnie za to, że kogoś uwalniam!

– Sir Georgea jakoś nie próbowałeś wygnać… – wymamrotała Vanessa pod nosem.

– Sir George nie odczuł jeszcze tego w pełni – warknął mag. – Poza tym mieszka w swoim starym domu, ma z kim porozmawiać i czym się zająć. Ale jeśli nalegasz, jego też mogę wygnać!

– Nie, nie, ja tylko tak! – przestraszyła się Vanessa. Bez względu na wyjaśnienia maga, mimo wszystko wydawało jej się, że to wszystko jest jakoś… nie tak. Że musi być inny sposób. Jednak ani Kreol, ani Mey'Knoni najwyraźniej nie widzieli innego wyjścia, a więc nie było o czym rozmawiać.

Kreol podniósł laskę i urywanymi zdaniami zaczął wypowiadać zaklęcie:

Zi Anna Kanpa!
Zi Kia Kanpa!
Gallu Barra!
Namtar Barra!
Ashak Barra!
Gigim Barra!
Alal Barra!
Tela Barra!
Masqim Barra!
Utuq Barra!
Idpa Barra!
Lalartu Barra!
Lallasu Barra!
Akhkharu Barra!
Urukku Barra!
Kielgalal Barra!
Lilitu Barra!
Utuq Hul Edin Na Zu!
Alla Hul Edin Na Zu!
Gigim Hul Edin Na Zu!

Mulla Hul Edin Na Zu!
Dingir Hul Edin Na Zu!
Masqim Hul Edin Na Zu!
Barra!
Edinnazu!
Zi Anna Kanpa!
Zi Kia Kanpa!

– Żegnaj Kreolu! – ledwie dosłyszalnie wyszeptała Mey'Knoni, rozpływając się w powietrzu. – Szkoda, że nie…

Nie zdążyła dokończyć.

– Koniecznie musiałeś to zrobić? – zapytała Van, z trudem powstrzymując napływające do oczu łzy. – Nie mogłeś jej po prostu wyzwolić? Jak tego demona ze strychu?

– Nie mogłem! – ze złością warknął Kreol. – Nie mogłem, rozumiesz?! Była związana kontraktem, nikt nie mógł jej uwolnić! Nie da się naruszyć magicznego kontraktu – nie mogą tego nawet bogowie! Nawet wygnać ją nie było mi łatwo!

– Ale przecież umarła! – oburzyła się Vanessa. – Czyli nie osiągnęła nieśmiertelności!

– Nie ma absolutnej nieśmiertelności! – odparował mag. – To jej wina, że nie mogła zachować tego, co otrzymała! Algor dotrzymał umowy – żyła nawet po śmierci!

– Ale przecież mogłeś ją wygnać?!

– Uuuuu! – Kreol złapał się z rozpaczą za głowę. – Posłuchaj, uczennico, uwierz mi po prostu na słowo, co? Chociaż raz!

Obrażona Vanessa zasapała. Potem westchnęła i postanowiła wybaczyć Kreolowi. Nie, nadal było jej żal Mey'Knoni, ale z drugiej strony… I tak żyła dłużej, niż wszyscy jej znajomi razem wzięci, no i rzeczywiście – sama była sobie winna. Kto jej kazał zawierać umowę z demonem? No, a poza tym… Dla każdej kobiety najgorszym wrogiem jest inna, jeszcze piękniejsza kobieta. Szczególnie, jeśli ta żmija ma oko na jej faceta.

– A tak w ogóle, i tak rozzłościłem tutejszych gospodarzy – oznajmił Kreol ponuro.

– Czym znowu?

– Jak to czym?! – radośnie pisnął Hubaksis. – Uwolnił Mey? Uwolnił! Myślisz, że demonom Lengu spodoba się, że zwiała im jedna z dusz? Przecież nie była jakąś tam niewolnicą tylko maginią! Takich jest tu mało!

– To właśnie chciałem powiedzieć, niewolniku – rzekł Kreol lodowato. – Oczywiście, dobrze, że jeszcze odrobinę osłabiłem Leng, ale to mimo wszystko kropla w morzu, a jeszcze za wcześnie psuć

stosunki… Myślę, że powinniśmy tutaj poczekać na zakończenie święta. Tu jest sucho i ciepło.

– A dlaczego by nie zwiać stąd od razu teraz? – wysunęła propozycję Vanessa.

– Słusznie, panie, dlaczego by nie? – Dżinn błagalnie zamrugał okiem.

– Co to, to nie! – sprzeciwił się mag zdecydowanie. – Teraz są po prostu źli na mnie, ale gdybym uciekł z ich durnego święta… O, Yog-Sothoth straszliwie by się wściekł… Nie, życie mi jeszcze miłe, nie jestem na tyle silny, żeby tutaj i teraz zmierzyć się z całą potęgą Lengu, do tego w pojedynkę.

– Tak, te stwory wciąż jeszcze dużo mogą… – westchnął Hubaksis.

– Jak długo musimy tu zostać? – Vanessa złowrogo obrzuciła wzrokiem żałosny wystrój pieczary ze szkieletem.

– Niecałe dwa… – Kreol obojętnie wzruszył ramionami. – Nie bój się, nie przegapimy tego momentu.

– Tak, Van! – poparł go Hubaksis. – Gdy święto się kończy, biją w dzwon! Uszy od tego więdną.

– Czym będziemy się zajmować przez ten czas?

Hubaksis miał ochotę coś zaproponować, ale Kreol zerknął na niego groźnie i maleńki dżinn natychmiast się zamknął.

– Nie wymyśliłem na razie żadnego zajęcia dla mojego niewolnika, ale na pewno coś się znajdzie – obiecał mag złośliwie. – A ty, uczennico, zajmiesz się… nauką, przede wszystkim. Na początek bierz książkę i czytaj. Jest tam jeszcze dużo ciekawych rzeczy.

Van niechętnie wzięła od niego opasły tom i jadowitym tonem zapytała:

– A co TY będziesz robił?

– Na początek trochę się prześpię… – odparł Kreol niedbale, bezceremonialnie zrzucając szkielet Mey'Knoni z jedynego nadającego się do leżenia miejsca w pieczarze. Najwyraźniej nie zamierzał pochować jej nędznych szczątków.

Rozdział 8

Dalej… – Kreol łaskawie pokiwał głową.

– Kamos, ketos, mekkos, tenos, rabos… – pokornie kontynuowała Vanessa. – Pinos, zegos, awos, enogos, teros…

– Dalej.

– Do czego mi to potrzebne!? – zbuntowała się. – To jakieś brednie!

– To nie brednie, uczennico. – Kreol z poważną miną podniósł palec. – Tak, te słowa niczego nie znaczą…

– No właśnie!

– Ale! – Zmarszczył się mag, nienawidzący, gdy mu ktoś przerywał. – To ćwiczenie ma na celu rozwinąć i poprawić twoją pamięć. Dobra pamięć to jedna z najważniejszych cech dobrego maga. Jeśli chcesz zostać maginią, musisz wypracować sobie idealną pamięć.

– A co rozumiesz przez „idealną pamięć”?

– Widzisz moją księgę zaklęć? Kiedy nauczysz się całej, możesz przyjąć, że masz idealną pamięć.

– A ile ty pamiętasz? – zjadliwie zapytała Vanessa.

– Mniej więcej jedną piątą… – z żalem przyznał Kreol. – Dlatego moja pamięć jest co najwyżej zadowalająca… Ale ćwiczę! Dalej!

Obrażona Vanessa sapnęła, ale zaczęła wypowiadać od początku dziwne słowa. Rzeczywiście, nie miały żadnego sensu. Kreol zapisał na kartce pierwsze, co mu przyszło do głowy. Wyjaśnił, że tekst do nauki nie powinien nic znaczyć. Bardzo często magowie mają do czynienia z zaklęciami zapisanymi w martwych lub nieznanych językach, które wymawiającemu wydają się tylko bezsensownym zbiorem dźwięków.

W torbie Kreola znalazło się wszystko, co potrzebne do prowadzenia lekcji magii. Czysty papier, przybory do pisania, kilka przedmiotów, które można było wykorzystać jako pomoce naukowe i oczywiście niezastąpiony podręcznik. Święta księga zaklęć. Cudowny foliał. Skarbnica mądrości. Jednak Vanessa nie stosowała nazwy innej niż „historyczny papier toaletowy”. Zresztą Kreol i tak nie rozumiał tego określenia. Nie był do końca przekonany, że współczesny świat jest na tyle bogaty, że może stosować papier do tak przyziemnych celów.

Zapełniwszy do granic możliwości czas Vanessy, Kreol nie zapomniał także o sobie. To znaczy, zadbał o to, by nie musiał wstawać z posłania do samego końca święta w Zamku Kadath. Pościelił kamienne łoże świeżo stworzoną tkaniną, od nowa narysował kręgi służące do przywoływania magicznego jadła, po czym z westchnieniem zadowolenia ułożył się wygodnie i stamtąd dowodził wszystkim, co działo się w pieczarze. Równomiernie potakiwał głową

w rytm słów, które wkuwała Vanessa, od czasu do czasu warczał na Hubaksisa i sporadycznie wyciągał rękę po coś jadalnego. Gdy nie mógł czegoś dosięgnąć, pomagał sobie telekinezą.

Vanessie przynajmniej udało się namówić Kreola, by pochował nieszczęsną Mey'Knoni. Oczywiście o żadnej mogile nie mogło być mowy. Skremowali ją. Wystarczyło, że magiczna laska popracowała przez kilka sekund jako miotacz ognia, by niepogrzebane kości zmieniły się w kupkę popiołu. Kreol raczył nawet zebrać prochy do jednego ze słoików i włożyć go na dno torby.

– Może się przydać… – powiedział w zadumie.

– Tak, niektórzy moi znajomi przechowują prochy swoich krewnych – sentymentalnie westchnęła Vanessa.

– Po co? – zdziwił się Kreol.

Van pytanie wydało się głupie, ale jednoznacznej odpowiedzi nie znalazła. W końcu udało się jej sprytnie wykręcić:

– A tobie po co one?

– Popiół z kości zmarłego wykorzystuje się w wielu rytuałach – wzruszył ramionami. – W domu mam już pełen dzbanek. Co więcej, będę mógł wezwać Mey'Knoni, gdybym tego potrzebował. Sztuka nekromancji…

– Rozumiem! – Vanessa ledwo utrzymała nerwy na wodzy. Zdążyła już pożałować, że zapytała. Jeszcze bardziej żałowała, że upierała się przy pogrzebie tych nieszczęsnych kości. Nie daj Boże, Kreol zakwateruje u nich w domu tę widmową ślicznotkę! Współczucie dla zmarłej tysiąc lat temu magini ustąpiło miejsca zazdrości rozbudzonej na nowo z potrójną siłą.

– A niech to diabli, bateria się wyczerpała – smutnie skonstatowała Vanessa, patrząc na zegarek. – Zawsze jak nie urok, to przemarsz wojsk…

– Co tam masz, Van? – zainteresował się Hubaksis. – Pokaż, pokaż!

– Zegarek, nie widzisz?

– Nie ma takich zegarków! – zdecydowanie oznajmił dżinn. – Zegary mogą być słoneczne, piaskowe, wodne, mechaniczne… A tutaj nawet nie ma strzałki!

– Daj no mi to… – leniwie zażądał Kreol. Dokładnie obejrzał zwyczajny tani zegarek na baterię i wygłosił werdykt: – Najzwyklejszy magiczny zegarek. Moc zaklęcia się wyczerpała, dlatego nie pracuje… Nawet nie czuć śladu magii, wyczerpała się do ostatniej kropli.

– To nie magia, to elektronika! – oburzyła się Vanessa. Zabrała Kreolowi swoją własność i, przypomniawszy sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszała o elektronicznych zegarkach i o tym, jak działają, zaczęła tłumaczyć to magowi. W końcu nie tylko on może uczyć, ona też może udzielić kilku lekcji tej ożywionej mumii.

Trzeba oddać sprawiedliwość Kreolowi – słuchał nadzwyczaj uważnie, nie przerywał i szczerze starał się zrozumieć nowe pojęcia. Z natury mag miał żywy, otwarty umysł i zawsze starał się dowiedzieć czegoś nowego, rozszerzyć swą i tak ogromną wiedzę. W końcu pojął, jak działają przewodniki w ogóle i zegarek w szczególności. Za to Vanessa diabelnie się zmęczyła. Ku jej wielkiemu zdziwieniu nauczać było znacznie trudniej niż uczyć się.

Hubaksis także nie tracił czasu. Na pokrytej pyłem podłodze narysował duże koło, podzielił je na dwadzieścia cztery równe sektory, a w każdym z nich postawił po sześćdziesiąt kreseczek i z westchnieniem zadowolenia odleciał na bok.

– To jest zegar słoneczny! – oznajmił uroczyście. – Jeślibym w środku postawił kołeczek, a na niebie świeciłoby Oko Szamasza, pokazywałby, która jest godzina!

– Głuptas… – Vanessa dobrodusznie pogładziła malutkiego dżinna po głowie, uważając, aby nie skaleczyć się o jego ostry róg. Hubaksis rozpłynął się z zadowolenia. Jeszcze chwila i zacząłby mruczeć jak kociak!

– Zaraz zrobię jeszcze zegar piaskowy! – zawołał radośnie, szczęśliwy, że Vanessa doceniała jego starania.

– A ja zaraz zrobię z ciebie kotlet mielony – ponuro obiecał Kreol, który zupełnie owych starań nie docenił.

Już sięgał po laskę, gdy nagle zamarł w bezruchu. A potem straszliwie zbladł i zaczął trząść się na całym ciele.

– Słyszycie? – wyszeptał z przerażeniem. – Słyszycie?

– Nic nie słyszę – odparła natychmiast Vanessa. – A ty, Hubi?

– Ja też. Panie, co się stało? Już kiedyś tak…

Kreol gwałtownie wypuścił powietrze.

– Tym razem na pewno się nie przesłyszałem…

Vanessa niechcący dotknęła jego ręki i natychmiast odskoczyła – mag był zimny jak lód.

– Czy demony naprawdę tego nie słyszą?! Czy nie widzą, co się dzieje? – ciągnął.

– A co się dzieje? – Van o mało nie wyszła z siebie.

– Dzieje się to, że obudziłem się na czas, a nawet lepiej. – Kreol ponuro pokiwał głową. – Leng upadł na samo dno, a teraz zaczyna się podnosić. Lepszego momentu nie można było sobie wymarzyć. Wiesz, co usłyszałem, niewolniku? Wtedy, od razu po przebudzeniu i jeszcze raz, przed chwilą?

Hubaksis pokręcił głową.

– Usłyszałem coś, czego nie da się usłyszeć uszami, a jedynie tym zmysłem, który mamy tylko my, magowie! – uroczyście oznajmił Kreol. – Słyszałem dźwięki z samego dna lodowatego oceanu Lengu – z zatopionego miasta R'lyeh. To Cthulhu, niewolniku! Cthulhu się

poruszył! Cthulhu się budzi… Trzeba natychmiast budować…

– Co? – Dżinn pochylił się do przodu, nie spuszczając oczu ze swego pana.

– To, co trzeba! – ofuknął go mag. – Koniec, odczep się, to nie na twój rozumek! I na twój też nie, uczennico! – dodał, gdy zauważył, że Vanessa przerwała czytanie. – Czy pozwoliłem ci skończyć?

Znudzona Vanessa pod czujnym okiem Kreola mieszała dwa proszki, gdy rozległ się okropny dźwięk.

– Buuuuum! Buuuuum! Buuuuum!

– A co to takiego? – zlękła się.

– Najpiękniejsza muzyka dla moich uszu! – zawołał radośnie Hubaksis. – Można wracać do domu!

Kreol już krzątał się koło Kamienia Wrót. Pospiesznie nasypał na niego garstkę mirry, podpalił płomyczkiem, który pojawił się na końcu jego palca, i szybko wymamrotał niezrozumiałe zdanie.

– Portalu, otwórz się! – wykrzyknął uroczyście, z drapieżnym uśmiechem patrząc, jak pośrodku pieczary otwiera się magiczny łuk, kształtem przypominający lekko wygiętą podkowę. Przejście było przysłonięte białą świecącą mgłą, więc Vanessa, jakby nie wytężała oczu, nie mogła dojrzeć, co znajduje się po drugiej stronie.

Zresztą, po kilku sekundach zobaczyła to na własne oczy. Kreol delikatnie popchnął ją w plecy i dosłownie przeleciała przez błyszczący woal. Znalazła się… w domu?

Właśnie tak. Magiczne przejście zaprowadziło Kreola, Vanessę i Hubaksisa w to samo miejsce, w którym trzy dni wcześniej Kreol odprawił rytuał Przemieszczenia. W salonie ich domu w San Francisco.

– Tato! – krzyknęła Van na cały głos. – Tato, wróciliśmy!

– Witamy w domu, ma'am. – Hubert zmaterializował się prawie natychmiast. – Witam w domu, sir!

– Cześć, Hubercie! – uśmiechnęła się Van. – A gdzie tata?

– Sądzę, że pan Lee schodzi już po schodach, ma'am – odpowiedział urisk, nie tracąc opanowania. – Prawdopodobnie…

– Van, córeczko! – Do salonu wbiegł Mao. W ślad za nim, podskakując jak piłka, podążał Butt-Krillach, szczerząc się jak biały rekin. Vanessa uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Co tu dużo gadać, po trzech dniach w Lengu nawet Butt-Krillach wydawał się jej sympatyczny.

Nie wiadomo dlaczego, wszyscy obejmowali i witali tylko Vanessę. Nawet Hubaksis aktywnie udawał, że dawno jej nie widział. Kreola przywitano znacznie mniej wylewnie, więc nieco się obraził.

– I jak tam było, bardzo strasznie? – zainteresował się Mao ze współczuciem, gdy przeminęła pierwsza euforia.

– Nie, tato, coś ty! – Machnęła ręką Vanessa, drugą ukradkiem grożąc pięścią Kreolowi i Hubaksisowi. – Takie tam gadanie! Posiedzieliśmy, porozmawialiśmy, trochę wypiliśmy… Imprezka jak imprezka, nic szczególnego…

Butt-Krillach uśmiechnął się ze zrozumieniem, za to Kreol podrapał się w głowę. Co znaczy słowo „takt", wielki mag wiedział tylko teoretycznie. Wolał przekazywać informacje od razu i w całości.

– W ogóle to tak, zazwyczaj bywało gorzej – niechętnie przyznał Hubaksis. – Przez pięć tysięcy lat Leng ostatecznie zszedł na dziady.

– Do tego właśnie dążyłem – rozciągnął usta w uśmiechu Kreol. – A teraz odpocznę kilka dni i zacznę budować…

– Kolacja gotowa, sir – obwieścił skrzat, materializując się tuż obok.

Kreol i Vanessa opuścili salon jako ostatni.

– Takie tam gadanie? – Uniósł brwi, przedrzeźniając ją. – Poczekaj, uczennico, aż zaczniemy z nimi wojować, wtedy zobaczysz „gadanie"!

– Daj już spokój! – wysyczała Van. – Nikt nas nawet palcem nie dotknął! Nawet dali ci prezent…

Hubert dokładnie obliczył czas powrotu swoich państwa i naprawdę się postarał. Kolację, którą przygotował, można by bez wstydu podać nawet na uroczystym przyjęciu w Pałacu Buckingham.

Dziewięćdziesiąt procent słów, jakie padły przy kolacji, wypowiedziała Vanessa. Dziewczyna bombastycznie opowiadała o swojej pierwszej podróży do równoległego świata. Oczywiście, nieco tonując nieprzyjemne szczegóły. Nie opisała zbyt szczegółowo tubylców, ani słówkiem nie zająknęła się o urokach tamtejszych krajobrazów; przemilczała też, jakie dania preferują Władcy Lengu. Nie opowiedziała o tym, jak chciano ją kupić, ani o spotkaniu z duchem Mey'Knoni. Tego ostatniego po prostu nie miała ochoty wspominać. Nie pisnęła ani słowa o Wielkim Planie Kreola – nie wiadomo, co zrobiłby ojciec, gdyby dowiedział się, że jego potencjalny „zięć" zamyśla rozpętać prawdziwą wojnę światową (jeśli nawet w innym świecie). Za to górnolotnie opowiadała wiele innych historii. O tym, że została uczennicą Kreola, kandydatką na maginię. O tym, że ona i Kreol zostali ambasadorami Ziemi w Lengu. O rozmowie z tajemniczym Czarnym Ślepcem. O spotkaniu z najprawdziwszymi aniołami i jednym archaniołem. W ogóle, o wszystkich wspomnieniach, które można było nazwać przyjemnymi. Trochę naciągając prawdę, oczywiście.

– Mama by ci pozazdrościła… – powiedział Mao w zadumie. Mamuśka Vanessy lubiła chwalić się tym, że objechała prawie pół świata. Jednak jedna jedyna wyprawa do Lengu zaćmiła wszystkie jej

podróże razem wzięte. – Ale mam nadzieję, że nie masz zamiaru znowu narażać się na takie niebezpieczeństwo?

– Pożyjemy, zobaczymy… – wykręciła się Van. W rzeczywistości jak najbardziej zamierzała! Podczas wycieczki do świata demonów praktycznie nie naraziła się na żadne niebezpieczeństwo, ale, jak wyjaśnił Kreol, zawdzięczała to wyłącznie immunitetowi dyplomatycznemu. Gdyby zjawili się w Lengu bez zaproszenia, wątpliwe, czy przeżyliby tam choćby trzy godziny, a co dopiero trzy dni. Dlatego właśnie Kreol planował najpierw utworzyć większą armię i zadbać o wsparcie z góry, a dopiero potem uderzać na okropny Leng. Tym niemniej… Do policji Vanessa wstąpiła właśnie dlatego, że ubóstwiała przygody. Twardo postanowiła namówić Kreola na kilka takich spacerków. Najbardziej chciała zwiedzić Raj.

– Oj, całkiem zapomniałem wam powiedzieć coś ważnego! – przypomniał sobie Mao. Pokrótce przekazał obecnym informację o zagadkowym nieznajomym poszukującym Kreola. – Co o tym sądzicie?

– Mówisz Guy? – mrocznie powiedział mag. – Jak wyglądał?

– Dość chudy, średniego wzrostu. Bardzo młody – prawie nastolatek. Włosy miał dziwne, całkiem białe.

– A oczy?

– Niestety, był w ciemnych okularach. Znasz go, Kreolu?

– Wątpię. Chociaż coś mi to przypomina… Dobrze zrobiłeś, że kazałeś mu przyjść później – podziękował Kreol w zamyśleniu, wstając od stołu.

– Ej, a ty dokąd? – zawołała Vanessa, szybko dojadając to, co zostało na talerzu.

– Na strych. Muszę się z kimś skonsultować.

Van zaczęła jeszcze szybciej machać nożem i widelcem. Hubaksis, który dawno już pożarł swoją porcję, poleciał w ślad za panem.

Gdy Vanessa dotarła na strych, przygotowania już się zakończyły. Tym razem Kreol nie cudował, ograniczył się do narysowania dużego, zajmującego pół strychu, koła i dziwnego znaku w środku, przypominającego stylizowaną błyskawicę.

– Gdzie jest wschód? – zapytał Kreol.

– Według mnie, tam… – pokazała Van z powątpiewaniem.

– Nie, tam – poprawił ją ojciec, który przyszedł za nią. – San Francisco leży na wchód od oceanu, a ocean jest z tamtej strony.

Otrzymawszy potrzebne informacje, Kreol stanął po zachodniej stronie narysowanego kręgu, podniósł ręce i zakrzyknął:

– Człowieku-Skorpionie, zjaw się!

– I to wszystko? – zdziwiła się Vanessa. Zazwyczaj zaklęcia były znacznie dłuższe.

Tym niemniej, rezultat był natychmiastowy. Powietrze

zamigotało, rozległ się niezbyt głośny trzask i w środku kręgu zmaterializowało się dziwne stworzenie. Budową ciała przypominało centaura, lecz końską część zastąpiło cielsko skorpiona. Do pasa człowiek, niżej skorpion. Ze szczypcami, żądłem i wszystkim, co należy. Wielkości sporego byka.

Człowiek-Skorpion patrzył chłodno na Kreola, Vanessę, Mao, Hubaksisa i Butt-Krillacha, nie mówiąc ni słowa.

– Wiesz, kim jestem? – groźnie zapytał mag.

– Tak! – krzyknął demon. Głos miał chrypliwy, jakby odmroził migdałki. – Jesteś magiem Kreolem!

– Dobrze. Czy wiesz, kto przychodził do mojego domu, gdy nie było mnie w tym świecie?

– Tak.

– Kto?

– Wielu!

– Interesuje mnie stworzenie, które samo siebie zwie Guyem – cierpliwie wyjaśnił Kreol.

Człowiek-Skorpion dumnie milczał.

– Kim jest Guy? – Mag zaczął zdradzać pierwsze objawy zdenerwowania.

– Yir! – natychmiast odpowiedział demon.

– Yir? – zasępił się Kreol.

– Tak!

– To było pytanie retoryczne! – zazgrzytał zębami mag. – Yir… Wcale mi się to nie podoba… Czego chciał?

– Zabić!

– Kogo?

– Ciebie, magu Kreolu!

– Więc to tak… Wróci tutaj?

– Tak!

– Kiedy?

– Minie ta noc, i dzień, i jeszcze jedna noc, a on znowu przyjdzie do twego domu! – ochoczo odpowiedział Człowiek-Skorpion.

– Jak się go pozbyć?

– Jest wiele sposobów!

– Powiedz, jaki jest najprostszy! – warknął Kreol.

– Zabić!

– Jak go zabić?

– Jest wiele sposobów!

– Kpisz sobie? – zapytał mag cicho lecz groźnie.

– Nie!

– Głupek! Powiedz, jak najłatwiej można zabić yira!

Człowiek-Skorpion nie odpowiedział. Zatrząsł się nerwowo, poruszył uszami, jakby czemuś się przysłuchiwał, a potem zażądał:

– Wypuść mnie!

– Powiedz to, co chcę wiedzieć i cię wypuszczę.

– Puść mnie! – zażądał Człowiek-Skorpion po raz drugi. – Wyczuła mnie samica! Idzie po mnie!

– W takim razie mów szybciej!

– Nie ma czasu! – Człowiek-Skorpion niemalże szlochał. – Już prawie tu jest. Puść mnie!

– Dobrze, znikaj! – ryknął w końcu rozłoszczony Kreol. Demon wyparował, gdy tylko przebrzmiał ostatni dźwięk.

Mag odwrócił się i zobaczył zdziwione twarze Vanessy i jej ojca. Dżinn i czteroręki demon, przeciwnie, patrzyli zupełnie spokojnie, nie przejawiając emocji.

– Co to było? – zażądała wyjaśnień Van.

– Człowiek-Skorpion – odpowiedział Kreol z niezadowoleniem. – Demon dający odpowiedzi.

– A czego tak się przestraszył pod koniec? Mówił coś o samicy…

– Samica Człowieka-Skorpiona jest znacznie silniejsza i bardziej niebezpieczna niż samiec – skrzywił się mag. – Przebiłaby moją ochronę jak bańkę mydlaną, przeciwko niej potrzebny jest silniejszy rytuał.

– I…?

– I zeżarłaby nas wszystkich. Człowiek-Skorpion to dość spokojne stworzenie, ale jego samica…

– Czego się w takim razie przestraszył? – wzruszyła ramionami Van. – Dla niego byłoby tylko lepiej.

– Van, jego też by zeżarła! – zachichotał Hubaksis.

Kreol kiwnął głową, zgadzając się ze swym niewolnikiem.

– Właśnie tak. Samica wiecznie goni za samcem przez wymiary. Aż pewnego razu go dosięgnie… Jest to nieuniknione jak wschód słońca…

– I co wtedy?

– Najpierw się sparzą. A potem ona go zje. Po jakimś czasie urodzi nowego Człowieka-Skorpiona i wszystko zacznie się od początku. Samica jest wieczna, natomiast samce ciągle się zmieniają.

– Co za ohyda… – Van wykrzywiła się z obrzydzeniem. Mao pokiwał głową.

– Co robić? – wzruszył ramionami Kreol. – Takie jest życie…

– Drodzy państwo – dał się słyszeć przymilny głos Butt-Krillacha – czy nie wydaje wam się, że dyskutując o problemach małżeńskich Człowieka-Skorpiona zboczyliśmy z głównego tematu? O ile dobrze zrozumiałem, ktoś zamierza zabić pana Kreola?

– Ach tak, yir… – przypomniał sobie mag. – To nic strasznego. Uprzedzony – uzbrojony. Łatwo sobie z nim poradzę.

– A kto to jest yir? – westchnęła Van.

– Też demon. Coś jakby żywy piorun. Troy kiedyś miał z nimi do czynienia.

– Panie, a może to on nasłał tu tego Guya? – podsunął Hubaksis.

– Całkiem możliwe… Widzicie, gad, nie może się uspokoić! A myślałem, że będzie mi brak naszej wojny…

– Znowu ten wasz Troy? – Vanessa zacisnęła wargi. – Ależ on cię musi nienawidzić… Co mu zrobiłeś?

– Daj spokój, uczennico! Proszę! – zakrzyknął Kreol z desperacją.

– No dobrze – zmiłowała się Vanessa. – Ale tylko dlatego, że w końcu nauczyłeś się chociaż jednego, uprzejmego słowa!

Rozdział 9

Wiedząc, że czas go nie goni, Kreol uspokoił się i poszedł spać. Jednak już o siódmej rano wstał i zaczął szykować obronę. Mag nie bał się kilera z innego świata, ale zawsze wolał zabezpieczyć się dodatkowo. Zresztą, temu właśnie zawdzięczał długie życie – w poprzednim życiu nie brakowało mu wrogów.

Kreol nigdy nie studiował specjalnie gatunku yirów, ale co nieco o nich wiedział. Przede wszystkim to, że najskuteczniejszym środkiem przeciwko nim jest najzwyklejsza woda.

Dokładniej, woda nie działała na wszystkie yiry, a tylko przeciwko takim jak Guy – odzianym w organiczne ciało. Nie szkodzi im w niewielkich ilościach, mały deszczyk nie jest problemem, ale jeśli taki gagatek wpadnie na przykład do basenu… wtedy jest z nim kiepsko.

Właściwie zasada jest prosta. Yir to ożywiona elektryczność. Woda jest najlepszym przewodnikiem elektryczności wśród powszechnie dostępnych substancji.

Samej elektryczności oczywiście nie szkodzi, ale wszystkiemu co ją otacza… Wyobraźcie sobie naładowany akumulator z niezabezpieczonymi przewodami. Wrzućcie go do wody. Akumulator nie ucierpi zbytnio, nieprawdaż? A teraz weźcie ten sam akumulator, wsuńcie sobie za pazuchę i skoczcie do wody. Jeśli uda się wam przeżyć, podzielcie się wrażeniami, będzie ciekawie.

Tak więc Kreol przygotował wodę. Nie, nie zniżył się do tak prymitywnych metod, jak napełnianie wiader, misek czy rychtowanie węża ogrodowego. Zamiast tego załadował magiczną laskę. Włożył tam dwa zaklęcia Deszczu, Wodny Wał, Wodną Chmurę, Trąbę Wodną i z dziesięć zwykłych Wodnych Kopii.

Woda – to najprostszy sposób. Tym niemniej, ciała yirów można pokonać także zwykłą bronią, dlatego też Kreol przygotował kilka zaklęć ofensywnych innego rodzaju. Nie zapomniał też o obronie. Przede wszystkim – Elektryczna Tarcza i Elektryczna Zbroja. Ładunki elektryczne to główna broń yirów, tak więc…

To jeszcze nie wszystko. Yir nie jest człowiekiem, nie wystarczy zniszczyć jego ciało. Dla niego to tylko powłoka, coś w rodzaju skafandra kosmonauty. Jeśli zniszczy się powłokę, yir szybko umrze, gdyż ziemskie warunki są dla niego zabójcze. Jednakże „bardzo szybko” może przeciągnąć się do paru godzin, a w tym czasie yir może przerobić na mielone mięso mnóstwo ludzi. Dlatego Kreol zabrał się jeszcze za przygotowanie Pochłaniacza.

Pochłaniacz to artefakt służący do przechwytywania rozumnej lub półrozumnej niematerialnej substancji. Na przykład duchów,

demonów, dżinnów… Takimi właśnie Pochłaniaczami były dzbany (albo lampy, zgodnie z bajkową tradycją) w których często więziono dżinny. Szczególnie silne artefakty mogą pomieścić wiele takich stworzeń. Na przykład we wspaniałym Pierścieniu Salomona przebywało prawie dziesięć tysięcy dżinnów i ifritów. Aby wyobrazić sobie, jak to działa, wystarczy wspomnieć film „Pogromcy duchów" – stosowane tam pułapki na duchy były właśnie Pochłaniaczami, tyle że technicznymi, a nie magicznymi.

Z uwięzionym stworzeniem można postąpić na wiele sposobów. Można je po prostu zabić – wewnątrz Pochłaniacza nawet najsilniejszy demon jest niezwykle podatny na atak. Trzeba tylko wiedzieć, jak tego dokonać. Można też zostawić je w środku, jako że zniewolone stworzenie nie może się samo wydostać. Chyba że przedmiot wykorzystany jako Pochłaniacz z jakiegoś powodu ulegnie zniszczeniu. Na przykład przerdzewieje… Można je wypuścić – to akurat jest najłatwiejsze. Oczywiście należy umówić się z nim uprzednio co do warunków zwolnienia, gdyż Pochłaniacz ma jedną ciekawą cechę – przyrzeczenie złożone przez tego, kto w nim siedzi, nie może być złamane. Jeśli uda się zmusić demona lub dżinna do złożenia przysięgi, że zostanie twoim niewolnikiem, nie będzie mógł się od tego wykręcić.

Najpożyteczniejsze, co można zrobić z Pochłaniaczem jest jednocześnie najtrudniejsze, dostępne tylko prawdziwemu magowi. Można związać go z przechwyconym stworzeniem, stapiając je w jedno. W ten sposób powstanie, na przykład, coś w rodzaju bajkowego niewolnika lampy – zniewolona istota podporządkowuje się temu, kto ma w ręku Pochłaniacz. Albo też zrobić na odwrót – stworzyć szczególnie silny magiczny artefakt. Na przykład, jeśli jako Pochłaniacz zastosowany zostanie miecz, można otrzymać magiczną broń. Po rytuale stopienia stwór nie będzie miał żadnych szans na odzyskanie wolności. Wyzwolić go może tylko przeprowadzenie odwrotnego rytuału, o wiele bardziej złożonego od poprzedniego. Może tego dokonać tylko ten, kto przeprowadził pierwszy rytuał albo inny mag o niewyobrażalnej mocy. Zniszczenie Pochłaniacza w niczym nie pomoże pochłoniętej istocie – zginie wraz z nim.

Oczywiście człowieka nie da się schować w ten sposób. W przeciwieństwie do dżinnów, człowiek nie jest w stanie skulić się do rozmiarów owada, a tym samym… Za to można w ten sposób postąpić z ludzką duszą, co się zresztą nieraz zdarzało. Niekoniecznie też ludzką – teoretycznie można wykorzystać choćby duszę mrówki, ale taki artefakt rzecz jasna nie będzie zbyt efektywny. Tym niemniej yir był dla Pochłaniacza wprost idealnym celem – upchnąć go w nim byłby w stanie nawet początkujący mag.

O tym wszystkim Kreol opowiedział Vanessie, gdy uważnie

obserwowała, jak odprawia rytuał nad jednym z jej pierścionków. Pierścionek był ładny, cenny, podarowany Van z okazji uzyskania pełnoletności, ale mag przysiągł, że zwróci go cały i nienaruszony, więc Vanessa zgodziła się wypożyczyć swą biżuterię na jakiś czas.

– No i gotowe – powiedział mag z zadowoleniem, podziwiając pierścionek zamieniony w Pochłaniacz.

Zdaniem Vanessy nie zmienił się nawet odrobinę i nieostrożnie to powiedziała głośno. Kreol zdziwił się. Potem rozzłościł. Potem przypomniał, że Van jest teraz jego uczennicą i musi uczyć się wyczuwać magię. Swoją i cudzą. Lekcja trwała prawie sześć godzin, aż w końcu Vanessie udało się wyczuć podczas dotykania pierścionka jakieś delikatne ukłucie. Kreol doszedł do wniosku, że na początek starczy, tym bardziej że Hubert już trzy razy przychodził z zawiadomieniem, że obiad stygnie.

Przygotowana przez skrzata pieczona kura wywołała głośny entuzjazm Kreola. Nałożył sobie pełen talerz, z godnością ignorując ziemniaczane puree podane jako dodatek.

– Bażant czy jarząbek? – zapytał z miną znawcy, ogryzając nóżkę.

– To kura, panie – beznamiętnie oznajmił Hubert stojący za jego plecami. Urisk srogo przestrzegał etykiety, wymagającej, aby sługa w czasie posiłku znajdował się w pobliżu głowy domu. Wyglądało to nieco komicznie, gdyż w tym przypadku sługa miał około metra wzrostu, ogromne, ostro zakończone uszy i nie nosił obuwia. Ale Hubertowi to nie przeszkadzało.

– Kura? – powtórzył Kreol z niedowierzaniem. – Dziwny smak…

Gdy z porcji zostały tylko kości, Kreol wrzucił je prosto do kominka. Owszem, w jadalni też był kominek, chociaż nie tak duży jak w salonie.

– Ej! – natychmiast oburzyła się Vanessa. – Cóż to za maniery!

– Co znowu nie tak? U nas w Babilonie zawsze palono resztki.

– To nie Babilon, panie… – westchnął Hubaksis ze smutkiem, cały czas walcząc jeszcze z kurzym skrzydełkiem.

Pod stołem siedziały kocięta, od czasu do czasu przypominające o swej obecności. Czarnul wlazł Vanessie na kolana i umościł się tam zwinięty w puszysty kłębek. Czarny kociak lubił siedzieć u ludzi na kolanach. Fluffi syczał ze złością, oburzony do głębi takim zamachem na jego prawa. Jak na prawdziwego kota przystało, uważał Vanessę za swoją wyłączną własność. Jak zresztą i wszystkich pozostałych domowników. I dom też.

– Pani Lee, czy będzie pani dojadała swoją kość? – znienacka zapytał Butt-Krillach.

Vanessa z roztargnieniem oddała mu talerz i demon, warcząc, zaczął gryźć delikatną kurzą kostkę. Fluffi znowu zasyczał – jego prawa po raz kolejny zostały bezczelnie naruszone.

W ciągu całego obiadu Mao zachował subtelne milczenie. Ojciec Vanessy podczas jedzenia wolał słuchać niż mówić, a teraz z zainteresowaniem śledził dyskusję sumeryjskiego maga, dżinna liliputa, demona ze strychu i oczywiście ukochanej córki.

– Zaplanowałeś coś na jutro rano? – zapytała Vanessa, gdy wytarła usta serwetką.

– Rano zabiję yira… – zamyślił się Kreol i również otarł usta serwetką. Mimo wszystko, starożytny Babilon nie był miejscem barbarzyńskim, Kreol miał dobre maniery, chociaż nie całkiem takie, jakie uważa się za normalne we współczesnym świecie. – Potem… potem będę odpoczywać. Mogę dać ci kilka lekcji, jeśli chcesz.

– Jeśli zdążymy – grzecznie odmówiła Vanessa. – Widzisz, pomyślałam… Jutro jest niedziela, a pojutrze poniedziałek. To ostatni dzień mojego urlopu.

– Czego?

– Co, nie wiesz, co to jest urlop? – Vanessa uniosła brwi.

– Ja też nie wiem – wtrącił Hubaksis.

– Ani ja – niechętnie przyznał się Butt-Krillach.

– Dzikusy! – mruknęła Van i pokrótce wyjaśniła im, czym jest „urlop".

– Aaaa… – rozczarował się Kreol. – W takim razie przez całe życie miałem ten twój… urlop. Pracowałem, kiedy chciałem i kończyłem, kiedy chciałem.

– Szczęśliwiec… – pozazdrościła Vanessa. – O czym to ja mówiłam? Ach, tak… Może gdzieś się jutro wybierzemy? Na przykład, do restauracji?

Zasadniczo Vanessa wolałaby poczekać, aż zostanie zaproszona, ale w przypadku Kreola nie można było mieć na to nadziei. Prędzej piekło by zamarzło. Zupełnie nie umiał się zalecać, więc dziewczyna musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

– Po co? – nie zrozumiał Kreol. – Co, źle cię tu karmią?

– Nie… – Van zmarszczyła się, zdenerwowana jego tępotą. – Tak, po prostu… Jeśli nie chcesz do restauracji, to może gdzie indziej…

– Gdzie?

– A gdzie chodzili w waszym Babilonie? Żeby się rozerwać?

– Do świątyni – zaczął wyliczać na palcach Kreol – do teatru, na hipodrom, na walki gladiatorów…

– Tak… – Vanessa zamyśliła się. – Świątynia odpada, bo u nas nie chodzi się do kościoła dla rozrywki. Gladiatorów nie mamy… co najwyżej wrestling. W teatrach nic ciekawego teraz nie grają… Może do opery?

– Dobrze, uczennico, pójdziemy do restauracji, jeśli masz ochotę! – Kreol podniósł ręce w geście poddania. – Mnie jest wszystko jedno.

– Ja też! Ja też! – wpraszał się Hubaksis.

– Ty zostaniesz w domu – oznajmiła Van nieubłaganym tonem.

– To niesprawiedliwe… – Dżinn natychmiast się nadąsał.

– Milcz, niewolniku – pospieszył z rozkazem Kreol.

Kreol właśnie zamierzał wstać od stołu, gdy z podwórka dał się słyszeć wrzask, a potem dźwięk, jakby coś pacnęło w błoto. Wrzask był niewątpliwie damski.

Margaret Foresmith, lubiąca z rana pospać dłużej, wznowiła obserwację domu Katzenjammera dopiero o pierwszej po południu. Tym razem twardo postanowiła przedostać się do środka i co by się nie działo, odkryć wszystkie tajemnice nowych sąsiadów.

Najostrożniej jak się tylko dało otwarła furtkę i zaczęła skradać się ścieżką wiodącą do drzwi. Miała szczęście, że Kreol nie uznał za stosowne zabezpieczyć podwórka, inaczej taki wyczyn by się jej nie udał.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte. Mao rankiem wychodził sprawdzić skrzynkę pocztową, a wracając, zapomniał je zamknąć. Pani Foresmith, uśmiechając się z zadowoleniem, uchyliła je i zamierzała wejść do środka, gdyż w przedpokoju nikogo akurat nie było.

Tego, co się zdarzyło potem, nie mogła pojąć. Gdy tylko przestąpiła próg, poczuła jakby ktoś uderzył ją niewidzialną pięścią. Trzeba przyznać, że uderzenie było łagodne i nie sprawiło jej bólu, ale odrzuciło ją na dobre dziesięć metrów. Zasadniczo, Kreol najpierw chciał urządzić to tak, aby każdy nieproszony gość padał martwy, ale Vanessa natychmiast zaprotestowała, nazwała go sadystą i kryminalistą, użyła też kilku słów niezrozumiałych dla starożytnego maga, ale brzmiących wybitnie niepochlebnie. Musiał więc zadowolić się prostym zaklęciem ostrzegającym. Każdy, kto nie uzyskał pozwolenia na wejście do domu, a jednak próbował to zrobić, odbijał się od drzwi jak piłeczka do tenisa. Pani Foresmith wykręciłaby się tylko lekkim strachem, gdyby nie to, że tam, gdzie upadła, znajdował się basen – a konkretnie dziura, która dopiero miała stać się basenem. Gdy Sługa wykopał dziurę, Vanessa nie mogła się zebrać, by zakończyć cały proces. Biorąc pod uwagę, że od tamtego czasu trzy razy spadł deszcz, nietrudno zgadnąć, że dno „basenu" było, delikatnie mówiąc, dość brudne.

Gdy Kreol i Vanessa podbiegli do nieszczęsnego dołu, ich oczom ukazała się zdziwiona i rozzłoszczona pani Foresmith. Do tego strasznie ubłocona.

– Margaret? – zdziwiła się Van. – Co ty tam robisz?

– Sama chciałabym wiedzieć… Zdaje mi się, że ktoś mnie tu… wepchnął?

– Jak to? – Vanessa zaczęła mieć złe przeczucia.

– Chciała wejść do naszego domu – szepnął jej do ucha Kreol. –

Zadziałał system ochronny.

– Aha… – mruknęła ze zrozumieniem. – Ale jak jej to wyjaśnimy?

– A po co wyjaśniać? Za moich czasów szpiegów rozrywało się na kawałki. Chwileczkę… Zastosuję zaklęcie Dwunastu Ostrzy i zmieści się w byle jakiej skrzynce.

– Coś ty, całkiem zgłupiałeś?! – wyszeptała Van. – Ile razy mam ci tłumaczyć, że nie wolno zabijać ludzi?!

– Co tam szepczecie?! – krzyknęła pani Foresmith podejrzliwie. – A może jednak pomożecie mi stąd wyjść? I, jeśli już o tym mowa, wyjaśnicie, skąd się tutaj wzięłam?!

Uprzykrzona paniusia przyszła już do siebie po upadku i zaczęło do niej docierać, że liczba dziwnych wydarzeń wzrosła o jedno. Co więcej, tym razem ucierpiała osobiście. A to znaczy, że można podać sąsiadów do sądu, oficjalnie zażądać wyjaśnień, a także, oczywiście, rekompensaty za straty moralne… Pani Foresmith bardzo lubiła się sądzić.

Podjąwszy taką decyzję, odczuła satysfakcję i już całkiem spokojnie pozwoliła Kreolowi i Vanessie wyciągnąć się z błotnistego dołu. Wyglądała nie najlepiej, ale nie przeszkadzało jej to.

– Oczekujcie mojego adwokata – oznajmiła ze złośliwą satysfakcją w głosie i ruszyła w stronę furtki.

– Minutkę, pani Foresmith! – poprosiła Van słabym głosem.

– Nie, nie, nie! – Wstrętne babsko nawet się nie odwróciło. – Tylko drogą sądową, tylko drogą sądową…

– Zrób coś! – Van natychmiast szturchnęła Kreola.

– Zabić ją? – rezolutnie zaproponował mag.

– Nie! – wyjęczała dziewczyna. – Zaraz, poczekaj… O, właśnie! Uśpij ją!

– Bardzo proszę… – wzruszył ramionami Kreol, rzucając na panią Foresmith zaklęcie Uśpienia. Ze względu na przydatność i niewielki rozmiar zawsze trzymał jedno w gotowości bojowej.

Margaret nie zdążyła dojść do furtki, miękko osunęła się na środku ścieżki. Kreol podszedł bliżej i energicznie trącił ją czubkiem buta.

– Co dalej?

– Niech pomyślę… – Vanessa potarła nos. – Czy potrafisz zrobić tak, żeby wszystko zapomniała?

– Zupełnie wszystko? – upewnił się Kreol. – To proste. Aby pozbawić człowieka pamięci wystarczy stuknąć go mocno w ciemię czymś ciężkim. Myślę, że laska się nada…

– Barbarzyńca! – oburzyła się Van. – Ma zapomnieć nie wszystko, a tylko to, co się wydarzyło przed chwilą.

– Proste – mruknął mag.

– A da się zrobić tak, żeby więcej nas nie niepokoiła?

– Zabić? – zaproponował Kreol z nadzieją.

– Powinieneś się leczyć! – Vanessa z niedowierzaniem przewróciła oczami. – Nie. Powiedzmy… zahipnotyzować! Właśnie! Wmów jej, że jesteśmy całkiem normalnymi ludźmi i nie ma u nas nic niezwykłego. Potrafisz?

– Proste – mruknął Kreol po raz kolejny. – Potrzymaj jej głowę.

Vanessa posłusznie uniosła śpiącą panią Foresmith, a Kreol mamrotał coś pod nosem i wodził jej ręką przed oczami.

– Posłuchaj mnie, kobieto! – warknął na koniec. – W tym domu nie ma nic ciekawego! Wszystko jest tak samo, jak w innych miejscach! Jeśli zobaczysz tu coś niezwykłego, nie zwrócisz na to uwagi! Nie pamiętasz tego, co zdarzyło się rano i nie zamierzasz nam szkodzić! Gdy uderzę cię laską tak się stanie! Raz… Dwa… Trzy!

Wymawiając ostatnie słowo, Kreol z całej siły walnął złotą lagą nieszczęsną kobietę po głowie. Przestraszona, otwarła oczy i rozejrzała się dookoła.

– Co się stało? – wyjęczała.

– Przyszła pani do nas w gości, poślizgnęła się i wpadła do wykopu na basen… – poinformowała ją Vanessa uspokajająco. – Uderzyła się pani w głowę i straciła przytomność, ale teraz wszystko już jest w porządku. Zaprowadzę panią do domu, do męża…

Margaret pokornie kiwnęła głową, zgadzając się na wszystko. Czuła, że coś jest nie tak, ale nie potrafiła tego wyrazić. Do tego, nie wiadomo dlaczego, święcie wierzyła, że Vanessa i jej narzeczony są wspaniałymi ludźmi, których absolutnie nie należy o nic podejrzewać. Było to u niej bardzo nietypowe zachowanie.

Vanessa odprowadziła nieproszonego gościa do sąsiedniego domu, a po powrocie zapytała Kreola:

– Czy można było nie bić jej po głowie, a po prostu pstryknąć palcami?

– Oczywiście! – Mag wyszczerzył zęby w cwanym uśmiechu. – Ale po głowie bardziej boli.

– Wiesz, tak w ogóle, to jesteśmy humanitarnym społeczeństwem… – powiedziała Van, ale nie złościła się zbytnio. Margaret Foresmith porządnie zalazła jej za skórę. – A czy ona może wyzwolić się spod hipnozy?

– Sama, nie – odpowiedział Kreol z przekonaniem.

– Na pewno? – powątpiewała Van.

– Absolutnie, zrobiłem kawał uczciwej roboty.

– A jeśli pójdzie do psychologa? – zaniepokoiła się Van. – On nie dokopie się do prawdy?

– Psychuło… Do kogo? Do maga?

– A skąd by tutaj wzięła maga?! – rozzłościła się Vanessa. – Do lekarza! Uzdrowiciela, jeśli tak lepiej rozumiesz!

– Moje zaklęcie może przełamać tylko inny mag! I musi być co najmniej tak silny jak ja! – nadął się Kreol.

– W takim razie, dobrze – uspokoiła się dziewczyna. – Takich jak ty u nas nie ma…

Kreol stanął w dumnej pozie, opierając ręce na biodrach.

Rozdział 10

Mao stał na balkonie i przyglądał się, jak z sąsiedniego domku wychodzi zniechęcona pani Anderson i panna Wilson. Gdy Kreol i Vanessa robili porządek z uprzykrzoną sąsiadką, też był tutaj – w swoim ulubionym punkcie obserwacyjnym, skąd widział całą scenę od początku do końca, dlatego bez trudu odgadł, dlaczego te dwie wyglądają na tak rozczarowane. Prawdopodobnie pani Foresmith oznajmiła im, że sama nie zamierza więcej zajmować się głupotami i im też nie radzi. Taka radykalna zmiana poglądów nie mogła ich nie zdziwić.

Po obiedzie Kreol znowu zajął się budowaniem magicznych barykad. Z pomocą Sługi przygotował długachną żerdź i ustawił ją na dachu jak maszt. Następnie zamknął się na kilka godzin w laboratorium i zrobił… oko. Tak, tak, najprawdziwsze oko, dokładną kopię ludzkiego, tyle że wielkości pięści. Kreol stworzył je z gałki ocznej jednego z leżących w lodówce nieboszczyków, powiększając je za pomocą magii. Pokrył je też czymś na podobieństwo kryształowej powłoki.

Ten niezwykły przedmiot przymocował na wierzchołku masztu. Dla postronnych oko było niewidoczne – półprzezroczyste i znajdowało się zbyt wysoko, by można je było dostrzec z ziemi, ale samo widziało na bardzo dużą odległość, a do tego obracało się płynnie wokół własnej osi.

– Gdy zobaczy yira, da mi znać… – z ochotą wyjaśnił mag depczącej mu po piętach Vanessie. – Pożyteczna rzecz, można na niej polegać…

– Ja też mógłbym posiedzieć na wieżyczce… – oznajmił obrażony Hubaksis.

– Raz już się zagapiłeś… – wytknął mu Kreol. – Nie, Oko Ureja jest pewniejsze.

– Oko Ureja? – powtórzyła Van.

– Tak właśnie się nazywa. – Mag zadarł głowę, sprawdzając, czy jego dzieło nadal tkwi na maszcie. – Jeśli się bardziej postarać, może nie tylko wypatrywać wrogów, ale także palić ich Słonecznym Promieniem, ale to i tak nie działa na yira… Niech tam, bić z nim będę się osobiście.

Po przygotowaniu systemu obrony i systemu obserwacji, Kreol zaczął się nudzić. Do przybycia wroga zostało jeszcze dużo czasu, a wszystko już było zrobione. Oczywiście, można było nadal szykować bojowe i obronne zaklęcia, ale byłaby to już paranoja. Nie namyślając się długo, wyruszył na poszukiwanie Vanessy.

Znalazł ją w ogrodzie, gdzie policjantka bardzo podejrzliwie

oglądała drapieżny kwiat. Kwiat patrzył na nią nie mniej podejrzliwie.

– Skąd TO się tutaj wzięło? – spytała Van. – Zresztą, nie odpowiadaj, sama zgadnę…

– Twoja propozycja jest nadal aktualna? – upewnił się Kreol, ignorując jej słowa.

– Jaka moja propozycja? – burknęła Vanessa, rysując czubkiem buta linię, do której mógł dosięgnąć roślinny potwór.

– Żeby pójść do restauracji – wyjaśnił Kreol, bezczelnie przechodząc nad kreską i drapiąc mięsożerną roślinę u nasady płatków. Stwór zaszeleścił i wydał z siebie dziwny mruczący dźwięk. Najwyraźniej roślina była zadowolona. – Chodźmy teraz.

– Teraz? – zdziwiła się Van. – Dlaczego tak nagle?

– Nudzę się.

Dziewczyna obraziła się. Wyszło na to, że jest dla sumeryjskiego maga jedynie środkiem do walki z nudą. Z drugiej strony… ona sama zaprosiła go z innego powodu?

– Dobrze już, ty wężu, skusiłeś mnie. – Vanessa zdobyła się na blady uśmiech. – Poczekaj, przebiorę się… A propos, w czym ty pójdziesz.

– W tym co mam na sobie. – Mag wzruszył ramionami. – A co za różnica?

Vanessa sceptycznie zlustrowała go od stóp do głów. Tydzień temu, gdy znudziło jej się to, że Kreol cały czas chodzi w tych samych rzeczach, kupiła mu dwa zapasowe komplety ubrań i kilka innych drobnych części garderoby, ale mag nawet tego nie zauważył. Spał nago, jak prawdopodobnie było przyjęte w jego rodzimym Babilonie, a rano zakładał to, co mu pierwsze wpadło w rękę. Do współczesnego ubrania przyzwyczaił się bardzo szybko i już nie uważał, że jest niewygodne, ale do tej pory nie zorientował się, że ludzie ubierają się rozmaicie w zależności od okoliczności.

Teraz był ubrany w sportową koszulkę z logo „Adidas” na piersi, spodnie od dresu z napisami NBA wzdłuż szwów i parę sportowych butów z rozwiązanymi sznurówkami. Skarpetek Kreol nie nosił. Nie pocił się, nie bał się więc, że poobciera nogi – pewne cechy, związane z długim przebywaniem w stanie śmierci, pozostały mu na zawsze. No i, oczywiście, nie rozstawał się z torbą z narzędziami. Vanessa podejrzewała, że nawet śpi przytulony do niej.

– A co ci się nie podoba w moim stroju? – zażądał odpowiedzi Kreol.

– Nie, jak dla mnie jest w porządku… – powiedziała Van trochę niepewnym tonem. – Ale do ludzi tak się nie wychodzi.

– Ona ma rację, panie – wtrącił Hubaksis, wynurzając się ze ściany domu. Vanessa już przyzwyczaiła się do tego, że malutki dżinn co chwila wyskakuje nie wiadomo skąd, jak diabeł z pudełka, przy

czym zazwyczaj w zadziwiająco nieodpowiednich momentach, ale tym razem ucieszyła się z jego poparcia. – Nie spacerowałeś przecież po Babilonie w domowej szacie?

– To logiczne – przyznał Kreol. – No cóż, uczennico, niech będzie po twojemu… Przebiorę się. Ale musisz mi pomóc – nie wiem, w co należy się odziać.

– Ja pomogę, panie! – Hubaksis pospiesznie zaproponował swoje usługi. – Już się wszystkiego nauczyłem!

– Może lepiej ja to zrobię? – delikatnie zaproponował Mao, wyglądając zza drzwi. – Nie masz nic przeciwko temu, córeczko?

Vanessa w roztargnieniu pokiwała głową, dziwiąc się w duchu, jak bardzo w porę pojawił się tata. Z Hubaksisem sprawa była jasna, ale ojciec…? Czyżby podsłuchiwał?

Rzeczywiście, podsłuchiwał. Mao, nauczony przez życie, uważnie obserwował stosunki Kreola i Vanessy, i wszelkimi sposobami starał się sprzyjać ich rozwojowi. Gdyby tych dwoje rzeczywiście oznajmiło o zbliżającym się ślubie, szanowny Mao byłby obiema rękami za. W końcu jedyną wadą Kreola jako zięcia był jego wiek, ale czy to rzeczywiście jest takie ważne? Jeśli człowiek wygląda na trzydzieści lat z hakiem i nie zamierza się starzeć, co za różnica, ile ma naprawdę? Niestety, wyglądało na to, że biedny ojciec nie może za bardzo na to liczyć… Przynajmniej w ciągu najbliższego dwudziestolecia.

– Hubercie, bądź tak dobry, zamów nam stolik w Astorii! – krzyknęła w biegu Van.

– Tak jest, ma'am. – Skrzat ceremonialnie kiwnął głową, wybierając numer restauracji.

Kreol zszedł na dół po dziesięciu minutach. Wśród jego nowo nabytej odzieży znalazł się szary garnitur, jakby specjalnie uszyty na wielkie wyjścia. Do tego Mao udało się go przekonać, że grzebień jest bardzo przydatną rzeczą. Mag zdecydowanie nie zgodził się rozpuścić włosów, ale udało się je przynajmniej doprowadzić do porządku. Na krawat też się nie zgodził.

Vanessa dołączyła do niego po kilku minutach. Ubrana była w swoją najlepszą wieczorową suknię. Krytycznie obejrzała kawalera i niechętnie pokiwała głową.

– Może być – zgodziła się z oporami. – Szary pasuje ci do oczu. Ale to trzeba będzie zostawić w domu!

Vanessa miała na myśli torbę z narzędziami, wiszącą, jak zwykle, na ramieniu Kreola. Spróbowała nawet zabrać mu ten od dawna już denerwujący ją przedmiot, ale Kreol bronił go jak ukochanego syna i ryczał ze złością. Van zrozumiała, że z tym elementem stroju będzie musiała się pogodzić.

– Wszystko w porządku, ma'am, stolik będzie gotowy na wasze

przybycie – oznajmił urisk.

– Wspaniale, jedziemy.

Samochód stał na podwórzu. Jako że dom Katzenjammera zbudowano w odległej przeszłości, samo się przez się rozumie, że garażu tam nie było. Kolejni właściciele przebywali tu zbyt krótko, by zbudować coś większego niż psia buda. Najdłużej mieszkał tu ostatni, który doprowadził elektryczność i telefon, ale on akurat z jakichś powodów nie miał samochodu. Vanessa musiała zaprząc Sługę do roboty i zbudować tymczasową wiatę, dopóki nie znajdzie czasu, by wznieść coś lepszego. A Kreol zmajstrował jakąś magiczną ochronę przed złodziejami.

Kreol mruczał niezadowolony, gramoląc się na przednie siedzenie toyoty, w międzyczasie wyrzucił za okno Hubaksisa, który zdążył już schować się pod fotelem. Vanessa usiadła za kierownicą.

– Powinieneś też nauczyć się prowadzić samochód – zauważyła wesoło, wyprowadzając samochód za bramę. – Chcesz, nauczę cię. Dwa, trzy tygodnie praktyki i…

– Mogę się tego nauczyć w dwie, trzy godziny, uczennico – uśmiechnął się Kreol. – Słyszałaś o Zaklęciu Poznania Mechanizmu?

– No popatrz… – obraziła się Van. – Czy jest coś, czego nie umiesz?

– Śpiewać. Grać na instrumentach muzycznych. Tańczyć. Fechtować. Walczyć bez broni. Strzelać z łuku i samostrzału. Pisać wiersze. Prawić wyszukane komplementy…

– Starczy, starczy! – zaśmiała się Vanessa. – Żartowałam.

– A ja mówiłem poważnie. – Kreol zacisnął wargi.

– Niech ci będzie… Powiedz lepiej, co będzie, jeśli potwór zjawi się, gdy nas nie będzie?

– Człowiek-Skorpion powiedział, że yir wróci dopiero rano. – Kreol próbował rozwiać jej obawy.

– A jeśli się pomylił?

– Człowiek-Skorpion się nie myli.

– A jeśli?

– Nawet jeśli coś takiego się zdarzy – mag popatrzył na swą uczennicę ze zniecierpliwieniem – chociaż jest to absolutnie niemożliwe, nie stanie się nic złego. Nie pamiętasz? Przyszedł już raz, gdy byliśmy w Lengu i nie zrobił nic złego twojemu ojcu. Potrzebny mu jestem ja, nikogo więcej nie ruszy… A sam Troy na razie o mnie nie wie.

– Hmmm… – Vanessa nadal miała pewne wątpliwości, ale przecież absolutną gwarancję może dać tylko Pan Bóg.

Samochód podjechał do drzwi restauracji, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi. Vanessa wypuściła Kreola, podała kluczyki parkingowemu i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

– Czegoś nie rozumiem… – zwrócił się do niej zdziwiony mag, patrząc, jak chłopak wsiada do toyoty. – Przecież to twój rydwan!

Vanessa westchnęła ciężko i jak mogła najlepiej wyjaśniła, na czym rzecz polega. Kreol ze zrozumieniem pokiwał głową, ale i tak patrzył podejrzliwie na oddalający się samochód.

– Vanessa Lee. – Van przedstawiła się kierownikowi sali, patrzącemu na nią chłodnym wzrokiem karasia. – Zamawialiśmy stolik.

Kierownik sali, malutki człowieczek z rzadkimi wąsikami, obrzucił ją i Kreola wzrokiem pełnym pogardy, niechętnie przekartkował swój notes i jeszcze bardziej niechętnie przyznał:

– Tak, zgadza się… Niestety, te miejsca są teraz zajęte. Musicie państwo poczekać jakieś dziesięć – dwadzieścia minut.

Vanessa była oburzona do głębi duszy, już miała ochotę zademonstrować swoją odznakę policyjną i zażądać, aby natychmiast posadzono ją na najlepszym miejscu, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że przedmiot ten leży teraz na wystawie u jubilera albo jeszcze gdzie indziej. A nawet gdyby go miała przy sobie, żeton z czystego złota w najlepszym wypadku wywołałby zdumienie.

Trzeba było zastosować ogólnie dostępny sposób rozwiązywania problemów.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby znalazł pan nam od razu wolny stolik – z uprzejmym uśmiechem poprosiła Van, ściskając jednocześnie rękę kierownika sali.

Kierownik niezauważalnie włożył rękę do kieszeni i odwzajemnił uśmiech Vanessy. Na jego twarzy nie został ani ślad pogardy, spojrzenie było cieplejsze, a twarz dobra jak u Świętego Mikołaja.

– Macie państwo szczęście, właśnie zwolnił się jeden z naszych najlepszych stolików – oznajmił z radosnym uśmiechem. – Bardzo panią proszę…

Kreol, który nic nie zrozumiał z krótkiej sceny, milcząc podążył za towarzyszką. Bardzo uważnie obserwował otoczenie, zapamiętując drobne elementy miejscowej etykiety i obyczajów.

– Czy mogę wziąć pana torbę? – zaproponował kierownik sali.

– Po moim trupie! – zaryczał natychmiast rozjuszony Kreol. Biedny facecik, nie rozumiejąc, co się dzieje otworzył usta, wstrząśnięty taką niestandardową reakcją na drobną uprzejmość.

Kelner, zdążywszy wymienić kilka słów z kierownikiem sali, podskoczył do Vanessy, gdy tylko usiadła przy stole. Podał menu Kreolowi, ale ten ze zdziwieniem wpatrywał się w kartę, nic nie mówiąc. Kelner postanowił więc przyjąć zamówienie od damy.

– Tak… – powiedziała w zadumie. – Dla mnie bulion, wołowy befsztyk… tak, i czerwone wino. Beaujolais, rocznik osiemdziesiąty czwarty.

– Wspaniały wybór – ocenił kelner. – A dla pana?

– Wszystko to samo. – Mag bez emocji machnął ręką.

Garson skinął głową i oddalił się zrealizować zamówienie.

– Ładnie… – lakonicznie oznajmił Kreol, oglądając salę. – Czy będą występy?

– Występy?

– No tak, muzycy, bajarze, sztukmistrze… U nas nawet w najpodlejszej karczmie pokazywali coś takiego.

– To nie kabaret… – ze złością syknęła Vanessa. – Tu się przychodzi, żeby coś zjeść w romantycznej atmosferze.

– Romantycznej? A co to znaczy?

Van zamyśliła się. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że sama nie ma pojęcia, co to znaczy „romantyzm". Z wysiłkiem przypomniała sobie wszystko, co wiedziała na ten temat i wyłożyła wszystko Kreolowi. Z jej wersji wynikało, że romantyczna atmosfera, to taka atmosfera, w której odczuwa się nietypowe emocje. Na przykład, ich podróż do Lengu była bardzo romantyczna.

– I za coś takiego ludzie jeszcze płacą? – uniósł brwi Kreol. – Jesteście szaleni…

Vanessa znowu się obraziła. Na szczęście kelner przyniósł akurat zamówione dania i można było skoncentrować się na nich.

Na przekór obawom Vanessy pamiętającej, jak Kreol nazwał widelec „małym trójzębem", dość dobrze poradził sobie ze sztućcami. Cztery tygodnie treningu pod jej osobistą kontrolą nie poszły na marne.

Zupa nie przypadła Kreolowi do gustu. Zjadł wszystko, ale z takim wyrazem twarzy, jakby za chwilę miał zwymiotować. Za to befsztyk pochwalił, a wino pił z miną prawdziwego konesera, wystawiając na zewnątrz mały palec i uważnie obserwując grę światła w butelce.

Przy sąsiednim stoliku jadła kolację leciwa para – szacowny staruszek w okularach i pulchna dama z dużą ilością bransoletek na przegubach. Nieoczekiwanie starszy pan złapał się za pierś i zaczął się trząść. Dama ze strachem wpatrywała się w swego towarzysza.

– Aha, a jednak będzie rozrywka – zauważył Kreol z zadowoleniem, z wyraźnym zainteresowaniem obserwując cierpienia staruszka.

– Co masz na myśli? – zaniepokoiła się Van.

– Zawał serca – oznajmił mag. – Umrze za dwie, trzy minuty.

– I ty… i ty tak po prostu będziesz na to patrzeć?! – Oczy Vanessy zrobiły się okrągłe z oburzenia. – I do tego traktujesz to jako rozrywkę?!

– I co z tego? – wzruszył ramionami Kreol. – Przecież nie ja go zabiłem…

Van milczała, patrząc na wskroś Kreola, jakby był przezroczysty.

– Czego ty znowu ode mnie chcesz?! – nie wytrzymał mag.

– Pomocy! – Dama przy sąsiednim stoliku w końcu wpadła na pomysł, żeby krzyknąć. – Mój mąż źle się czuje! Czy jest tu lekarz?!

– Mój mąż jest lekarzem! – natychmiast odezwała się Vanessa, patrząc ze złością na maga. – Zaraz pomoże! Prawda…?

– Dobrze, dobrze… – wysyczał Kreol wstając od stołu. – Przytrzymaj mu głowę…

Vanessa posłusznie uniosła staruszka. Wokół zaczęli zbierać się gapie, żona umierającego histerycznie płakała. Okazało się, że Kreol ma rację – dla znacznej części gości okazało się to bezpłatną rozrywką.

– Nie żyje – skonstatował Kreol, badając puls. – Zabierzcie ode mnie tę idiotkę!

Ostatnie zdanie odnosiło się do starszej damy. Usłyszawszy, że jej mąż nie żyje, wpadła w histerię, wrzeszcząc Kreolowi prosto do ucha.

– Nic się nie da zrobić? – wyszeptała Vanessa.

– Dlaczego nie? – Uśmiechnął się mag. – Patrz uważnie, uczennico…

Kreol wyjął z torby swój ulubiony, ostry jak brzytwa, rytualny nóż, i zdecydowanym ruchem przeciągnął nim po piersi staruszka, rozcinając przy tym marynarkę, koszulę, skórę i żebra.

Przez tłum przetoczyło się ciche westchnienie grozy, jakaś kobieta zemdlała.

– Trzymaj go! – warknął Kreol, widząc, że Vanessa przestała się starać. – I nie dopuszczaj do mnie nikogo…

Odciągnął żebra na boki, poszerzając rozcięcie i wsunął rękę do środka. Krzyki przerażenia umilkły, żona chorego (a może należy powiedzieć: martwego?) już nie rzucała się w histerii, a tylko otwierała usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

Wydawało się, że Kreol nic nie robi, po prostu trzyma dłoń w piersi pacjenta. Jednak Vanessa, nasłuchując, zrozumiała, że cichutko wymawia jakieś zaklęcia. Na czoło Kreola wystąpił zabarwiony na czerwono pot, więc starła go rękawem swej pięknej sukni. Zresztą marynarka maga też była pochlapana i to nie potem, a krwią, jakby brał udział w bitwie.

Kreol wymamrotał ostatnie słowo i Vanessa poczuła, jak ciało, spoczywające w jej rękach bez czucia, drgnęło. Staruszek westchnął, otworzył oczy, dysząc ochryple. Kreol wyjął dłoń z rany i przeciągnął po niej ręką, szepcząc słowo Uzdrowienia. Van migiem zasłoniła go przed oczami napierających gapiów. Widok, jak świeża rana błyskawicznie się zrasta, z pewnością wywołałby lawinę zbędnych pytań. Pozostała tylko cieniutka szrama, która według zapewnień Kreola także powinna zniknąć po kilku tygodniach.

– Na łono Tiamat! – zaklął przez zęby mag, patrząc na

pobrudzoną odzież. – Nienawidzę leczyć ataki serca…!

– Moja droga, co to było? – odezwał się uratowany. Jego żona znowu zapłakała, ale tym razem z ulgi.

Mag wstał i zaczął kłaniać się teatralnie. Goście i personel restauracji bili brawo. A jakże by inaczej – nie co dzień zdarza się widzieć, jak ktoś wskrzesza umarłego, mając do dyspozycji tylko nóż.

Rozległo się pstryknięcie aparatu fotograficznego. Kreol drgnął, ale natychmiast zorientował się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, więc zaczął czyścić marynarkę.

– Proszę mnie przepuścić! Proszę mnie przepuścić! Jestem jego lekarzem prowadzącym! – rozległ się głos z tłumu. Z trudem łapiąc oddech, do staruszka zbliżył się leciwy mężczyzna z torbą lekarską. – Alec, co z tobą? Wszystko w porządku?

– Wiesz, John, czuję się tak, jakbym dopiero co zmartwychwstał… – słabym głosem odpowiedział pacjent Kreola.

Doktor, tym razem prawdziwy, zbadał go sprawnie, osłuchał serce stetoskopem, przeciągnął palcem po świeżej bliźnie, a potem powoli zapytał:

– Alec, miałeś przeszczep…?

– Co? – zdumiał się pacjent.

– Jesteś całkiem zdrowy, Alec – stwierdził lekarz, sam sobie nie wierząc. – Serce masz jak dzwon! Ani śladu choroby!

– Matko Przenajświętsza, to cud! – krzyknęła żona Aleca, rzucając się Kreolowi na szyję. Ten odsunął się z obrzydzeniem.

– Jak pan to zrobił? – zapytał doktor, zorientowawszy się w przebiegu zdarzeń. – Na Boga, jak?!

– Mój mąż jest genialnym chirurgiem! – odpowiedziała z dumą Vanessa, ujmując Kreola pod rękę. Tym razem się nie odsunął, chociaż popatrzył na nią nieco podejrzliwie.

– Ale to niemożliwe! – obstawał przy swoim zdaniu doktor. – Niemożliwe! I rana… Rany nie goją się tak szybko!

– Proszę nas przepuścić, spieszymy się – wykręciła się od odpowiedzi Vanessa, odpychając doktora na bok.

– Nie, nie puszczę pana! Nie wiem, jak to się panu udało, ale ta metoda może uratować tysiące… nie, dziesiątki, setki tysięcy istnień ludzkich! Pan nie ma prawa milczeć!

– Słyszałeś?! – wrzasnął wyprowadzony z równowagi Kreol, wyciągając zza paska laskę. – Precz z drogi, robaku, jeśli nie chcesz zmienić się w popiół!

Doktor cofnął się ze strachem. Kreol w przypływie wściekłości mógł wystraszyć każdego, a do tego z wyglądu magiczna laska wydawała się bardzo ciężka.

– Mój mąż i tak robi wszystko, co w jego mocy – powiedziała Van z godnością na pożegnanie. – Nie ma w tym żadnej tajemnicy, po

prostu ma złote ręce!

Taka odpowiedź wyraźnie nie zadowoliła lekarza, ale na więcej nie mógł liczyć.

– Zapomnieliśmy zapłacić rachunek… – z wyraźnym zadowoleniem zauważyła Vanessa, gdy już zbliżali się do domu.

– Niech płaci wyleczony – sucho powiedział Kreol. – W Sumerze takie uzdrowienie kosztowało dwanaście złotych monet!

Z opowiadań Kreola i Hubaksisa Vanessa mniej więcej dowiedziała się, jaki był kurs złotej sumeryjskiej monety, szybko obliczyła, ile byłoby to w dolarach amerykańskich i gwizdnęła ze zdziwienia.

– Moja dwumiesięczna pensja… – Pokiwała głową. – Ale mieliście ceny…

– Wyleczyć zawał serca PO tym, jak już się zdarzył, w całym Imperium Sumeryjskim umiało tylko pięciu magów – wyjaśnił Kreol z dumą. – Jednym z nich byłem ja. Magowie niższej rangi babrali się, łatali po kawałku, a i to nie zawsze im się udawało.

– W takim razie rozumiem… U nas takie operacje kosztują jeszcze drożej. A propos, ilu was było wszystkich… magów?

– Zależy kiedy… Tego roku, gdy umarłem, było nas trochę ponad cztery setki. W pełni wykształconych, oczywiście – wyjaśnił Kreol. – Z tego piętnastu arcymistrzów, pół setki mistrzów, a pozostali – czeladnicy. I oczywiście czterech arcymagów…

– Oprócz ciebie?

– Razem ze mną.

– Ale przecież mówiłeś…

– Mówiłem, że uzdrawiaczy najwyższego stopnia było pięciu – poprawił ją mag. – Nie wszyscy byli jeszcze arcymagami. Tylko dwóch.

– A w ogóle, dlaczego tak trudno jest wyleczyć serce? Według mnie, robiłeś trudniejsze sztuczki…

– Uczennico! – oburzył się Kreol. – Czy kiedykolwiek widziałaś serce, które na przykład przeszyła strzała? Czy wiesz, jak trudno doprowadzić je do poprzedniej postaci, zmusić, by znowu biło i zdążyć z tym wszystkim w ciągu kilku minut?! Najgorszemu wrogowi czegoś takiego się nie życzy… Łatwiej już wyhodować nową nogę! I w ogóle, ze wszystkich chorób trudniejsza jest tylko słabość rozumu. Za mojej pamięci był tylko jeden mag, zdolny dokonać takiego uzdrowienia…

– Ty? – Vanessa figlarnie trąciła go łokciem.

– Nie, nie ja – zaprzeczył Kreol niechętnie. – Dlatego, jeśli zobaczysz kogoś poszkodowanego na umyśle, nie proś mnie, żebym go wyleczył! Nie potrafię…

Rozdział 11

Po powrocie do domu Kreol przebrał się i natychmiast przystąpił do ostatniej fazy bitewnych przygotowań. Yir miał przybyć już za kilka godzin.

Butt-Krillachowi rozkazał siedzieć przy drzwiach frontowych i stróżować. Hubertowi – obserwować ściany i okna. Hubaksisa odprawił do Oka Ureja i nakazał prowadzić wraz z nim obserwacje.

– Patrzcie obojgiem oczu! – Kreol zachichotał, dziecinnie ciesząc się swym niezbyt wymyślnym żartem.

– Aha, rozumiem… – Mao z mądrą miną pokiwał głową. – Chodzi o to, że Hubaksis i Oko Ureja mają do spółki akurat dwoje oczu?

– Tato…! – jęknęła Vanessa. – Chociaż ty przestań!

– Jak chcesz, córeczko. A propos, jak tam wasza randka?

– Randka? – Kreol nastroszył się momentalnie. – Co znowu za…

– Tata żartuje! – Van ostro spojrzała na rodzica. – Idź spać, tato, co…?

– Ale może ja też się do czegoś przydam?

Kreol i Vanessa jednocześnie pokręcili głowami.

– Służyłem w wojsku! – Mao był urażony.

– Tato, pracowałeś w biurze, w magazynie! – westchnęła Vanessa. – Nie kłóć się, ja i Kreol sami damy sobie radę!

– Miałem nadzieję, że zapomniałaś… – zasmucił się Mao. – Może ty też lepiej…

– Co to, to nie! – zdecydowanie odmówiła dziewczyna. – Tato, to moja praca – służyć i bronić!

Mao, mając cały czas nadzieję, że zawołają go z powrotem, poszedł do swojego pokoju. Kreol i Vanessa zostali sami.

– No tak… – westchnęła Van. – Co teraz będziemy robić?

– Jeśli chodzi o mnie, pójdę spać – oznajmił Kreol ponuro. – Tutaj, na tej kanapie. Muszę porządnie odpocząć.

– A ja?

– A ty będziesz strzec mojego snu – odparł mag bezczelnie. – Obudzisz mnie, kiedy… zresztą zorientujesz się. Na razie możesz poczytać.

Tym razem Vanessa nie obraziła się. Mimo wszystko była policjantką i rozumiała, że w pewnych sytuacjach trzeba zapomnieć o wygodzie.

– No dobrze, poczytam… – zgodziła się niechętnie. – Jaką by tu wziąć książkę?

– Dopóki jesteś moją uczennicą, istnieje dla ciebie tylko jedna książka. – Kreol uśmiechnął się złośliwie, wyciągając swój ulubiony grymuar. Vanessie wydało się, że od ostatniego razu zrobił się jeszcze

grubszy. Było to całkiem prawdopodobne – Vanessa nieraz widziała, że Kreol nadal coś zapisuje.

Kreol usnął prawie natychmiast, odwrócił się nosem do ściany i cicho posapywał. A Vanessa rozsiadła się w najbardziej miękkim fotelu, wyciągnęła nogi w stronę kominka i pogrążyła się w lekturze.

Wampiry to jeden z najbardziej perfidnych rodzajów nieumarłych, a także najsilniejszy i najrozumniejszy. Znany od dawna, zarówno w naszym świecie, jak i w innych światach. Pochodzenia nienaturalnego, nie mogą rozmnażać się w żaden sposób, poza najohydniejszym – zamieniają zwykłych ludzi w sobie podobnych. Zasadniczo wampirem może zostać nie tylko człowiek, ale każde rozumne stworzenie, jednakże do naszych czasów na Ziemi nie dotrwały inne rasy, dlatego praktycznie wszystkie znane wampiry są człekokształtne.

Aby człowiek został wampirem, nie wystarczy jedno ugryzienie, jak wielu uważa. Gdyby tak było, świat dawno byłby zamieszkały wyłącznie przez wampiry, gdyż rozmnażałyby się ogromnie szybko. Nie, do takiej metamorfozy niezbędne jest kilka kolejnych ukąszeń, minimum trzy, w odstępach nie krótszych niż jedna doba. A nawet po tym człowiek nie zmienia się jeszcze w wampira, a staje się tak zwanym „wtajemniczonym". Jego skóra blednie, światło słoneczne drażni oczy, ale to wszystko. Czasami pojawia się jeszcze apetyt na krew, ale zdarza się to rzadko. „Wtajemniczony" może jeszcze na powrót stać się normalnym człowiekiem, w tym celu musi zwrócić się do doświadczonego maga albo chociaż do szczerze wierzącego kapłana jakiegoś Jasnego Boga. Jeżeli jednak nieszczęśnik nie zrobi tego za życia, po śmierci z pewnością zmieni się w wampira, zasilając szeregi nieumarłych. Jednakże to także nie dzieje się od razu, ale nie wcześniej niż czterdzieści dni po śmierci – taki właśnie okres potrzebny jest duszy, aby ostatecznie rozstała się z ciałem. W tym przypadku dusza nie zyskuje nieśmiertelności, tak jak powinna, a przechodzi metamorfozę, zmieniając się w okropne monstrum – krwiopijcę.

Przewaga wampirów jest oczywista. Nie starzeją się, nie chorują, są nieczułe na trucizny i bardzo trudno jest je zabić. Rany nie czynią im większej krzywdy i bardzo szybko się goją, a odcięte części ciała albo przyrastają, albo wyrastają od nowa. Jedyny wyjątek stanowi głowa. Gdy zostanie oddzielona od ciała, wampir nie ożyje, chyba że znajdzie się głupiec, który połączy je razem chociażby na kilka chwil. Siła fizyczna wampira też jest wielka, chociaż „nowo narodzony" wampir jest słabszy od człowieka. Jednakże szybko „hoduje mięśnie" i po kilku miesiącach może łamać drwa gołymi rękami. Mają także naturalne zdolności do magii, a szczególnie do transformacji ciała, metamorfoz, hipnozy i lewitacji. Te zdolności także zwiększają się z wiekiem, tysiącletni wampir może stawić czoła nawet arcymagowi.

Wampiry mają też słabe miejsca. Najważniejsze z nich to pragnienie krwi. Wampir nie potrzebuje ani jedzenia, ani wody, ani powietrza,

chociaż może przyjmować i jedno, i drugie, i trzecie. Ale bez krwi wampir nie może istnieć, przy czym preferuje krew sobie podobnych, czyli w naszym przypadku – ludzi. Wampir może pożywiać się zwierzętami, ale nie sprawia mu to przyjemności. Wampir może w ogóle nie pić krwi, ale od tego robi się coraz słabszy, a z czasem może nawet zamienić się w trupa. Co prawda, takiego trupa można łatwo ożywić – wystarczy, aby kropla krwi kapnęła na usta wampira.

Zabić wampira jest trudno, ale jest to w pełni możliwe. Niektórzy sądzą, że zabija je światło słoneczne, ale to nieprawda. Tak, słońce drażni ich oczy, a u młodych wampirów powoduje swędzenie, a nawet ból, ale mogą to spokojnie wytrzymać. Unikają światła słonecznego, ale głupio byłoby po prostu stać w świetle dnia i myśleć, że wampir cię nie dosięgnie. Najpewniejszym środkiem przeciw wampirom jest srebro – jeden gran tego metalu zamienia wampira, podobnie jak każdego innego nieumarłego, w martwe mięso, gdyż srebro ma moc zabijania żywych trupów. Mówi się, że najsilniejsze i najstarsze wampiry potrafią obronić się przed srebrem, ale ja takich nie spotkałem. Dobrym środkiem jest również osinowe drewno, przy czym nie jest konieczne stosowanie kołka, wystarczy zaostrzona drzazga, a nawet drewniana igła. Jednakże osinowe drewno nie zabija wampira, a jedynie wprowadza go w stan nieodróżnialnego od śmierci paraliżu. Z tego stanu można go bardzo łatwo wyprowadzić, wystarczy tylko wyjąć kołek z rany. Czosnek jest słabym środkiem. To prawda, że jego zapach jest dla wampira odpychający, ale może łatwo się obronić, zatykając po prostu czymś nos. Znacznie lepszy jest ogień – z popiołów wampir nie zmartwychwstanie.

Mówi się o wampirze, który odrodził się z popiołów, ale był to prawdziwy król wampirów, szeregowe osobniki nie mają takiej umiejętności. Pomocne są także niektóre poświęcone przedmioty, ofiarowane Jasnym Bogom, ale działają tylko na te wampiry, które oddały duszę Ciemności, a dotyczy to bynajmniej nie wszystkich. Potrzebna jest jeszcze prawdziwa wiara, a bynajmniej nie wszyscy ludzie szczerze wierzą w jakiegokolwiek Jasnego Boga.

O wampirach warto jeszcze wiedzieć, że nie mogą wejść do domu, dopóki nie zaprosi ich ktoś z domowników. Dzieje się tak dlatego, że między tymi nieumarłymi i rasą skrzatów trwa wojna, i te niezwykle pożyteczne duchy postarały się o to, aby nie wpuszczać wampirów na swoje terytorium. Niestety, we współczesnym świecie zostało już tak niewiele skrzatów, że głupio byłoby polegać na takiej ochronie, licząc na to, że w twoim domu mieszka skrzat.

– Kawy, ma'am? – uprzejmy głos skrzata przerwał Vanessie lekturę.

– Dziękuję, Hubercie. – Vanessa niechętnie oderwała się od stron księgi. Ku swemu zdziwieniu nie zauważyła, kiedy się zaczytała. – Czy Kreol nie nakazał ci czegoś pilnować?

– Mogę to robić z dowolnego miejsca, ma'am. – Urisk uśmiechnął się lekko. – Jestem przecież skrzatem, a to mój dom. Jeśli pani chce, proszę się zdrzemnąć, a ja w tym czasie popilnuję.

– Nie, dziękuję – odmówiła Van, nieco podejrzliwie patrząc na Huberta. – Nie jestem zmęczona. Lepiej poczytam…

– Jak pani sobie życzy, ma'am.

Vanessa popatrzyła na zegar. Była trzecia rano, ale wcale nie chciało jej się spać. Ukradkiem popatrzyła na odpoczywającego Kreola i mimowolnie zaczęła podziwiać jego spokojną twarz. Torbę z narzędziami nadal przyciskał do brzucha, jakby się bał, że mu ją ktoś ukradnie.

Po jakimś czasie dokończyła rozdział o wampirach, po raz kolejny dziwiąc się, ile różnych wiadomości zebrano w jednym tomie. Nie, zdecydowanie zrobił się grubszy. Vanessa przewróciła stronę i kontynuowała czytanie.

W tym samym czasie Hubaksis nudził się na czubku masztu. Było ciemno i zimno, a za jedyne towarzystwo miał Oko Ureja – zupełnie nieciekawe stworzenie. Gigantyczne oko powoli obracało się wokół swojej osi jak planeta, i za każdym razem, gdy w jego polu widzenia pojawiał się Hubaksis, maleńkiego dżinna przechodził dreszcz.

Jedynym pocieszeniem była paczka papierosów, którą uprzejmie podarował mu Mao. Dżinn nieoczekiwanie odkrył, że amerykańskie papierosy (i każde inne zresztą też) w pewnym stopniu mogą zastąpić haszysz i bardzo go to ucieszyło. W bardzo małym stopniu, ale nie miał raczej innego wyboru. Do tego nie powodowały halucynacji.

Prawdę mówiąc, do tej pory Hubaksis nie wypalił nawet jednego, jedynego papierosa. Trzymał go w obu rękach, jak niemowlę butelkę i ssał, ssał i ssał, od czasu do czasu wypuszczając maleńkie kółeczka. Cała paczka była większa od niego.

Nieoczekiwanie Oko Ureja znieruchomiało. Wpatrywało się w jeden punkt, a po chwili jego źrenica zrobiła się czerwona i zaczęła pulsować. Hubaksis popatrzył na nie ze strachem, a potem w kierunku, gdzie spoglądało i papieros wypadł mu z ust.

Maleńki dżinn poderwał się w powietrze, energicznie odwrócił się głową w dół i przeleciał prosto przez dach, uderzając się po drodze o miedziany gwóźdź. Miedź to jedyna spośród powszechnie dostępnych substancji, przez którą nie mogą przenikać dżinny, dzięki czemu można je zamknąć nawet w zwykłym miedzianym dzbanie, niebędącym Pochłaniaczem.

Kreol nadal spał, ale teraz przewracał się z boku na bok i mamrotał coś bez ładu i składu. Vanessa porzuciła czytanie i podejrzliwie mu się przyglądała. Hubaksis, nie tracąc czasu na powitania, z impetem wbił się w twarz pana i zaczął ciągnąć go za powiekę.

– Van, Van, obudź go, szybko! – zawołał, gdy odkrył, że Kreol nie ma zamiaru się obudzić. – Yir idzie!

– Już?! – podskoczyła Vanessa. – Przecież jest dopiero czwarta!

– Już, już! Widzisz, jak pan się kręci? To Oko Ureja przekazuje mu sygnały!

Vanessa przyłączyła się do dżinna, próbując obudzić Kreola, ale sumeryjski mag spał nadzwyczaj uparcie. Nie twardo, a właśnie uparcie – przewracał się, kręcił, klął po starosumeryjsku, ale nie chciał się obudzić.

Niewiele myśląc, policjantka wyjęła pistolet z kabury, nacisnęła spust i wystrzeliła tuż nad uchem maga. Kreol podskoczył jak oparzony i wrzasnął. Vanessa ze zdziwieniem uniosła brwi – nawet nie podejrzewała, że w języku sumeryjskim jest tyle ordynarnych przekleństw.

– Czego? – warknął Kreol ze złością.

– Idzie, panie, idzie! Zostało bardzo mało czasu! – wykrzykiwał podekscytowany dżinn, nadal szarpiąc maga za rzęsy. Kreol dopiero teraz zwrócił na to uwagę i stuknął Hubaksisa palcem w brzuch. Maleńki dżinn krzyknął i w końcu puścił.

Mag, ciągle jeszcze przeganiając mruganiem resztki snu, zabrał Vanessie księgę, włożył ją do torby, przeciągnął się aż mu w krzyżu trzasnęło i ruszył w stronę drzwi. Tuż przed nim zmaterializował się Hubert.

– Dzień dobry, sir. Czy są dla mnie jakieś polecenia?

– Tak, nie kręć się pod nogami.

– Tak jest, sir – kiwnął głową skrzat, nieporuszony. – Ma'am, jeśli pani pozwoli, wskażę miejsce, z którego może pani ochraniać pana ogniem.

Vanessa popatrzyła na niego z zaskoczeniem. Właśnie chciała o to poprosić – dziewczyna świetnie rozumiała, że nie powinna wychodzić na zewnątrz. Mimo wszystko, w takich sprawach jak ta, Kreol miał znacznie więcej doświadczenia.

– Pilnuj drzwi – rozkazał Butt-Krillachowi, który i tak właśnie się tym zajmował, i wyszedł na zewnątrz.

Była cicha listopadowa noc, wiatru było tylko tyle, by poruszał lekko liście na drzewach. Wszyscy sąsiedzi dawno poszli już spać – w ani jednym oknie nie paliło się światło. Yir pojawił się już w polu widzenia. Szedł wzdłuż ulicy, przy czym poruszał się bardzo wolno, ospale, jakby nie traktował swej ofiary poważnie. Zresztą, może tak właśnie było. Guy miał zbyt mało doświadczenia w postępowaniu z ludźmi, a w ciągu tygodnia, który spędził w naszym świecie, mimowolnie wyrobił sobie opinię, że zabić człowieka jest łatwo jak splunąć. Do tego po prostu nie widział żadnej przyczyny, by się ukrywać – yirowie wyczuwają się nawzajem na wiele kilometrów,

dlatego w ich świecie jakiekolwiek próby ukrycia swej obecności są czystym nonsensem. Guyowi jakoś nie przyszło do głowy, że ludzie nie mają takich zdolności.

Kreol obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, uniósł twarz ku niebu i wykrzyknął słowo-klucz Deszczu. Fioletowa chmura, ledwie widoczna po zachodniej stronie nieba, drgnęła i popełzła na wschód poganiana potężną wolą maga.

Furtka była zamknięta. Guy nie zastukał, ani jej nie wyważył. Po prostu uniósł się na dwa metry, przeleciał metr w poziomie i wrócił na ziemię. Zajęło mu to ze dwie sekundy.

Kreol przyglądający się temu z ironią, bez pośpiechu wyjął laskę. Pierścień-Pochłaniacz od dawna już tkwił na jego palcu wskazującym. Hubaksis szybował nad jego lewym ramieniem, na ganku siedział wyszczerzony Butt-Krillach.

– I co? – Mag ironicznie uniósł brwi.

Guy popatrzył na niego, skonfundowany. Wiedział, jak powinna wyglądać ofiara, ale rzecz w tym, że po zmartwychwstaniu Kreol bardzo się zmienił. Odmłodniał i przefarbował włosy. Yir nie był do końca pewien, czy jest to właśnie ten, za kogo zapłacono jego praprapraprapradziadkowi. Nie był też przekonany, że jest odwrotnie, jak to miało miejsce w przypadku spotkania z Mao. Tamten należał do innej rasy, nawet ślepy nie pomyliłby go z Kreolem.

– Twoje imię Kreol? – zapytał bez owijania w bawełnę.

– A kto pyta? – odrzucił piłeczkę mag.

– Ja. Moje imię Guy. Twoje imię Kreol.

– A jeśli powiem, że nie?

Yir zamyślił się. Zdolność ludzi do mówienia nieprawdy bez najmniejszego wysiłku doprowadzała go czasem do rozpaczy. To strasznie komplikowało mu pracę. Nawet jeśli ten człowiek przyzna się, że jest Kreolem, nie będzie to wcale oznaczać, że tak właśnie jest w rzeczywistości.

– Jeśli jesteś Kreolem, zabiję cię. Jeśli nie – to nie zabiję – wymyślił w końcu Guy, dość głupio zresztą.

– Możesz spróbować. – Kreol z zadowoleniem kiwnął głową, aktywując jedną z Wodnych Kopii.

Z magicznej laski trysnął silny strumień wody, jak z włączonego na pełną moc węża ogrodowego. Guy otrząsnął się i w następnej chwili znalazł się metr na lewo. No cóż, teraz przynajmniej rozwiały się wątpliwości. Ten człowiek był podobny do Kreola, do tego był magiem, a to znaczyło, że najprawdopodobniej jest ofiarą.

Yir, umknąwszy przed Wodną Kopią, wyciągnął ręce i w Kreola uderzył piorun. Moment wcześniej mag wykrzyknął słowo Elektrycznej Tarczy i na jego lewej ręce pojawił się mglisty dysk, który przyjął na siebie uderzenie.

Guy wypuścił jeszcze dwa pioruny, jeden za drugim. Magiczna tarcza odbiła je. Kreol wystrzelił jeszcze dwie Wodne Kopie, ale nadludzko szybki yir umknął przed nimi. Obaj przeciwnicy doszli do wniosku, że nadszedł czas na ciężką artylerię.

– Niewolniku, odciągnij jego uwagę – rozkazał Kreol, ledwie poruszając ustami i Hubaksis posłusznie rzucił się w stronę twarzy Guya. Równie szybki jak yir, dżinn umknął przed ładunkami elektrycznymi, a do tego jeszcze zdążył plunąć w niego ogniem. Nie przyniosło to żadnej korzyści – ogień nie zostawił na skórze yira nawet najmniejszego śladu oparzenia.

W tym czasie Kreol podniósł laskę i wypuścił Trąbę Wodną. Na podwórzu pojawiło się tornado, tyle że nie z wiatru, a z wody, zmierzające prosto w stronę yira. Guy rzucił okiem na to nowe zagrożenie, i zrezygnował z próby pochwycenia Hubaksisa. Odrzucił ciemne okulary, obnażył swe niesamowite białe oczy i otworzył usta. Wydobył się z nich oślepiająco jasny potok Czystej Energii – energii tak przewyższającej zwykłą elektryczność, jak elektrownia atomowa przewyższa bateryjkę-paluszek. Trąba Wodna i Czysta Energia spotkały się i zniszczyły nawzajem w błyszczącym wspaniałym wybuchu.

– Nieźle – pochwalił Kreol, strzelając Guyowi w plecy. W zwykłej walce byłoby to podłe zagranie, ale nie w walce magicznej. Gdy biją się magowie, jest im wszystko jedno, czy ich przeciwnik siedzi, leży czy jest odwrócony plecami albo w ogóle stoi na głowie. Czarować można w każdej pozycji.

Guy odwrócił się i w tejże chwili nieoczekiwanie poczuł ból w lewym boku. To dosięgła go kula w porę wystrzelona przez Vanessę z przygotowanego przez Huberta otworu strzelniczego. Dla yira rana była nieistotna, ale sprawiła, że stracił kilka sekund, a to wystarczyło, żeby wypuszczone przez Kreola zaklęcie dosięgło celu. Wodna kopia uderzyła Guya dokładnie w twarz, po której przebiegły iskry.

Aby przypieczętować zwycięstwo, Kreol wypuścił jeszcze dwie Wodne Kopie, a yir był zmuszony uciekać przed nimi. Nie miał już czasu, by strzelać samemu – ledwie nadążał chować się przed ciosami. Zamokła mu głowa, skóra pokrywała się pęcherzami i poczęła złazić z czaszki całymi płatami. Po chwili zaczęła pękać sama czaszka.

Zadowolony Kreol wypuścił Wodny Wał. Potężna fala przetoczyła się od maga w stronę płotu, oblewając Guya po łydki. Wyżej nie sięgnęła – yir zdążył na czas unieść się w powietrze. Ale teraz jego sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Głowa rozleciała mu się do końca, zamieniając się w dymiącą breję, a na jej miejscu pojawiło się coś przypominającego energetyczną fontannę. Właśnie tak wyglądają yirowie bez cielesnych skafandrów. Stopy też zaczęły się rozpadać, zostawiając na trawie cuchnące kawałki ciała.

Guy wściekle zaryczał. Z jednej strony, nie miał ochoty pozostać bez ciała. Z drugiej strony, w czystej postaci łatwiej mu było walczyć. Z rąk wyskoczyło mu coś w rodzaju mieczy Jedi; jednym skokiem rzucił się w stronę Kreola, chcąc przebić go celnym pchnięciem. Magiczna tarcza nie chroniła przed takim uderzeniem.

Mag, nie spodziewając się po Guyu takiej sztuczki, zagapił się na chwilę i w rezultacie stracił jedną Osobistą Ochronę – Guy zadał mu celny cios w pierś. Ale już w następnej sekundzie z rąk Kreola wyrosły takie same miecze i mag bardzo zgrabnie sparował następne uderzenie skierowane w gardło.

Vanessa oglądała przez okno pojedynek sumeryjskiego maga i bezgłowego ludzkiego ciała, z którego szyi biła fontanna błyskawic, a jej oczy robiły się coraz większe. Kreol powiedział, że nie umie fechtować, ale najwidoczniej przesadził ze skromnością. Być może po prostu nie próbował użyć zwykłych mieczy zamiast laserowych, bo teraz fechtował jak sam d'Artagnan.

Nie przynosiło to jednak żadnej wymiernej korzyści. Dwie pary energoszpad, wyrastające bezpośrednio z rąk rywali, błyskały w powietrzu już od kilku minut, ale żaden z uczestników pojedynku nie został do tej pory zraniony. Kreol wyraźnie przewyższał umiejętnościami przeciwnika i skutecznie blokował jego ataki, ale Guy miał inną przewagę – elektryczna klinga nie zostawiała na jego ciele nawet powierzchownych oparzeń. Wydawało się, że wręcz przeciwnie, staje się od tego silniejszy.

Kreol w duchu był zły na siebie. Zaklęcie Magicznego Miecza jest tak krótkie i lekkie, że każdy jako taki mag może aktywować je w ciągu kilku sekund, co zresztą zrobił właśnie Kreol. Zaklęcie Dwóch Mieczy jest analogiczne, i tylko odrobinę dłuższe.

Co więcej, istnieje wiele rodzajów Magicznego Miecza. Jest Miecz Energetyczny, Miecz Ogniowy, Miecz Świetlny, Miecz Powietrzny, Miecz Widmowy, a nawet pozornie zwyczajny Miecz Metalowy – za to tak ostry, że przecina nawet diamenty.

Istnieje również Miecz Wodny. Ten właśnie przydałby się teraz jak żaden inny, ale nie było czasu na zmianę broni.

Guy zatrząsł się nerwowo – na głowę spadły mu pierwsze krople deszczu. A dokładniej, na to, co w danej chwili zastępowało mu głowę. Chmura, wezwana przez Kreola przed walką, w końcu dopełzła do punktu przeznaczenia i otwarła swój bezdenny brzuch. Krople, najpierw nieliczne, bardzo szybko zaczęły spadać gęściej, a potem zamieniły się w prawdziwą ulewę.

Yir zaiskrzył. Po tym, co jeszcze zostało z jego ciała, przebiegły miniaturowe błyskawice, a potem jego skóra zaczęła rozpuszczać się jak zanurzona w kwasie. Hubaksis, rozsądnie trzymający się przez cały czas z boku, podleciał bliżej i ugryzł go w rękę. Jeden z

energetycznych mieczy rozsypał się w garść iskier. Kreol, wykorzystując przerwę, błyskawicznie aktywował Elektryczną Zbroję, a potem rzucił w stronę Guya zaklęcie Rezonansu Dźwiękowego. Yir poleciał w bok, tracąc w czasie lotu drugi z mieczy i Kreol wykorzystał zaklęcie wieńczące dzieło – Wodną Chmurę.

Gigantyczna kurtyna wodna, jakimś cudem utrzymująca się w pionowej pozycji, niczym miniaturowe tsunami ruszyła w stronę Guya i przeszła po nim. Yir wpadł w drgawki, czując, jak ostatki jego ciała rozpadają się na kawałki. Szkielet rozsypał się w kupkę dymiących kości, a nad nimi buszował piorun kulisty, wciąż jeszcze zachowujący formę ludzkiego ciała. Wszystko to odbyło się w całkowitym milczeniu – od chwili, gdy utracił język, Guy nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– No, i po wszystkim! – Kreol rozpłynął się w uśmiechu. Był mokry od stóp do głów, ale okropnie szczęśliwy. – A teraz chodź do nowego domu, kabbi ga hobb!

Ostatniej kombinacji słów Vanessa nie zrozumiała, ale sądząc po minie Hubaksisa, było to jakieś szczególnie paskudne przekleństwo.

Yir odwrócił się w stronę Kreola twarzą. A może na odwrót – plecami? W swej obecnej postaci wyglądał jednakowo ze wszystkich stron. Mag wycelował w niego pięść z Pierścieniem-Pochłaniaczem. Wszystko było gotowe do tego, by upchnąć w nim jakąś substancję energetyczną. Nie trwało to długo.

Vanessa jak zaczarowana patrzyła na miotającą się błyskawicę, znikającą w jej ulubionym pierścionku. Guy walczył do ostatka, starając się uderzyć Kreola energomackami, ale Elektryczna Zbroja dobrze chroniła przed takimi atakami i pierścień powoli, acz nieubłaganie wciągał swoją ofiarę. W taki to sposób myśliwy i ofiara zamienili się miejscami…

– No chodź tu, chodź… – przygadywał Kreol z miną zawziętego wędkarza, jednocześnie poganiając Guya magicznym łańcuchem. Teraz, gdy elektryczny demon utracił ludzkie ciało, łańcuch najwyraźniej sprawiał mu ból.

Ostatni ładunek błysnął na pożegnanie i Guy ostatecznie skrył się we wnętrzu magicznego pierścionka. Kreol przez chwilę podziwiał swoje dzieło, po czym zorientował się, że deszcz wciąż pada. Cicho zaklął i wypowiedział zaklęcie Deszczu od tyłu. Chmura majestatycznie zaczęła odpływać na swoje stare miejsce.

W drzwiach odważył pokazać się Hubert.

– Gratuluję, sir. Jeśli pan pozwoli, wyczyszczę pańskie ubranie?

Vanessa z piskiem zachwytu wybiegła na podwórko i zawisła Kreolowi na szyi. Mag był nieco zawstydzony tak burzliwą reakcją, na tak zwyczajne, z jego punktu widzenia, zdarzenie, ale nie sprzeciwiał się. Nieoczekiwanie złapał się na myśli, że sprawia mu to

przyjemność.

– Może pójdziemy do domu, uczennico? – zaproponował dziwnie nieśmiało. – Tutaj jest mokro i zimno… No i jestem głodny.

– Wszystko przygotuję, sir – potraktował to jako rozkaz Hubert i rozpłynął się w powietrzu.

Rozdział 12

Po dwóch godzinach Vanessa i Hubert wyszli z domu. Skrzat był w swoim „wyjściowym" ubraniu – długim płaszczu z kapturem głęboko naciągniętym na twarz. W tym stroju można było go wziąć za zwykłe dziecko, ewentualnie karła.

Kreol, który do tej pory nie przyzwyczaił się do tego, że we współczesnym świecie mag musi się ukrywać, jeśli nie chce dostać się do gazet ani w ręce służb specjalnych, nie interesował się zupełnie skutkami swego pojedynku z yirem. Vanessa musiała więc sama zająć się sprzątaniem. Oczywiście z pomocą Huberta i Sługi.

Walka trwała najwyżej kwadrans, ale śladów zostało tyle, że nawet ślepy zauważyłby, że odbyło się tu coś nielegalnego. Większa część trawy była zwęglona, na ścianach i na ogrodzeniu także zostały ślady uderzeń piorunów, a przede wszystkim wszędzie walało się spalone mięso i kości. Znaczna część ciała Guya po prostu rozsypała się w pył, ale tego co zostało, w pełni wystarczyłoby do wzbudzenia podejrzeń. Na dodatek wszystko wokół było zalane wodą. Wykop przeznaczony na basen wypełnił się prawie do połowy i pływały nim różne paskudztwa.

– Mam nadzieję, że nikt nas nie widział… – warknęła Van, patrząc, jak Sługa wybiera wodę z dziury.

– Moim zdaniem sąsiedzi po prostu pomyśleli, że w nocy rozszalała się burza, madam – powiedział Hubert.

– A co z tymi, którzy mieszkają bliżej?

– O ile wiem, pan Foresmith ma nadzwyczaj mocny sen. Jeśli chodzi zaś o panią Foresmith… O ile się nie mylę, pan zadbał o to, żeby nie zwracała uwagi na nasze… dziwactwa? Ośmielę się zauważyć, że było to bardzo dalekowzroczne posunięcie z pani strony, ma'am.

– A ten drugi…? – Vanessa nie zwracając uwagi na pochlebstwo, z troską popatrzyła na dom stojący z drugiej strony. Jeszcze ani razu nie widziała jego mieszkańca i właściwie nie była nawet pewna, czy ktoś tam mieszka.

– Pan Rex? – upewnił się urisk z pogardą. – Nawet jeśli widział wszystko od początku do końca, zupełnie bym się tym nie przejmował.

– A to czemu?

– Bo widzi pani… Pan Rex jest z tych, czyim słowom nikt nie uwierzy. On… niezupełnie adekwatnie przyjmuje rzeczywistość, jeśli mogę się tak wyrazić.

– Wariat?

– Nie, ma'am, niezupełnie.

– Narkoman?

– No właśnie. – Hubert pokiwał głową z ubolewaniem. – Trafiła pani w dziesiątkę, ma'am. Już od kilku lat żyje w świecie własnych fantazji i, jak sądzę, całkiem go to zadowala.

Vanessa zachmurzyła się. Od dawna nienawidziła narkotyków, tych, którzy je biorą i tych, którzy sprzedają. Zaczęło się to jeszcze na balu na zakończenie szkoły, gdy jej ówczesny chłopak pojawił się na haju. Już wcześniej podejrzewała, że się kłuje, ale tego wieczoru podejrzenia zamieniły się w pewność. Oczywiście, rozstała się z nim. Trzy lata temu Van przypadkiem dowiedziała się, że umarł z przedawkowania.

– Co to, to nie…! – wymamrotała z oburzeniem. – Nie zamierzam mieszkać w sąsiedztwie narkomana…

Kreol wciąż jeszcze siedział przy stole w towarzystwie Mao, Butt-Krillacha i Hubaksisa. Mao był nieco obrażony, że wzgardzono jego pomocą i, jak się okazało, nawet przez myśl mu nie przeszło, aby iść spać. Nie tylko obserwował całą walkę, ale nawet nagrał ją kamerą. W tej chwili Kreol z zachwytem obserwował na ekranie samego siebie fechtującego się z yirem energetycznymi mieczami.

– Dobry jestem… – uśmiechnął się półgębkiem, niezmiernie z siebie zadowolony. – Bardzo dobry… Najpiękniejsza zrobiła dobry wybór…

– Nawiasem, Kreolu, co zamierzasz zrobić z naszym więźniem? – zainteresował się Mao.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji. – Kreol z roztargnieniem popatrzył na pierścionek. – Pewnie zwiążę tego yira… Zrobię, na przykład, pierścień strzelający piorunami.

– Tak, zgromadził dużo energii – zgodził się Hubaksis z pełnymi ustami. – Dobra będzie z niego broń, potężna…

– Nikt cię nie pytał o zdanie – fuknął Kreol. – Mao, pokażesz mi jeszcze raz, jak się to otwiera?

Mao wziął od niego puszkę pepsi-coli, pociągnął za kółko. Kreol pociągnął łyk i pokiwał głową z szacunkiem.

– Sprytnie pomyślane. Do takiej puszki można wlać co dusza zapragnie, i będzie tam schowane nawet na wieczność…

– Tak, wiemy… – Mao uśmiechnął się lekko.

– Pe… psi… Psi? A, pepsi – przeczytał Kreol. – Nie znam takiego słowa… Co ono znaczy?

– Myślę, że nic – wzruszył ramionami Mao. – Po prostu nazwa napoju.

– Bardzo smacznego napoju – zabulgotał Hubaksis.

Kreol popatrzył w dół i z niemałą irytacją odkrył, że gdy on zachwycał się puszką, bezczelny do granic dżinn wsunął głowę przez aluminiowe denko i teraz łapczywie wysysa jego, Kreola, lemoniadę.

– Ach, ty draniu! – warknął oburzony mag, łapiąc Hubaksisa za skrzydła.

– Puść, panie, to boli! – zawył Hubaksis.

– Wiem! – wysapał Kreol, targając łobuza za lewe skrzydło. Oczywiście uważał przy tym, by go nie wyrwać – nie był mu potrzebny dżinn kaleka.

W samym środku egzekucji do jadalni weszła Vanessa w towarzystwie wiernego Huberta. Miała mokre włosy.

– Znowu pada deszcz – oznajmiła, nie patrząc na nikogo. – Wiesz, tato, okazało się, że nasz sąsiad jest narkomanem… – westchnęła ciężko, siadając obok Kreola.

– Mąż pani Foresmith? – zdziwił się Mao. – Cyryl? A może jej syn?

– To oni mają syna? – zdziwiła się z kolei Vanessa.

– Słyszałem, że jest teraz w college'u. – Ojciec zaprezentował zadziwiającą orientację. – Od tej jesieni. Zdaje się, że ma na imię Jerry… a może Gary… Nie pamiętam dokładnie.

– Nieważne – zmarszczyła się Van. – To nie on, tylko drugi sąsiad…

– A ja myślałem, że w tamtym domu nikt nie mieszka.

– Też tak myślałam… Kreolu, czy za twoich czasów byli narkomani?

– Kto? – zapytał mag nieuważnie. Wciąż jeszcze męczył swoją jednooką maskotkę.

– Byli, byli! – pisnął torturowany. – No ci tam, pamiętasz, panie…?

– Nie pamiętam.

– Ci, co palili haszysz! – Dżinna zirytował brak domyślności Kreola. – Albo trawkę faraona…!

– Aaaa! Tacy byli zawsze, nawet na Atlantydzie… – Mag wreszcie skojarzył.

– I co z nimi robiliście? – zapytała przygnębiona Van.

– A co z nimi można zrobić? – Wzruszył ramionami. – Głupich nigdzie nie brakuje… Przecież to bardzo szkodliwe – szybko się przyzwyczajasz, a potem chorujesz. Co najwyżej można zgłosić się do maga…

– Chwileczkę! – Vanessa natychmiast się ożywiła. – Chcesz powiedzieć, że umiesz leczyć uzależnienie od narkotyków?!

– To proste – oznajmił Kreol z zadowoleniem. – Krótkie zaklęcie, szczypta proszku i będzie jak nowo narodzony.

Vanessa przez chwilę patrzyła na niego, a potem przeraźliwie zapiszczała, dusząc go w objęciach. Kreol z niezadowoleniem pomyślał, że zaczyna jej to wchodzić w krew.

– TEGO – oznajmiła Van zdecydowanie – nauczysz mnie w

pierwszej kolejności!

– Jak chcesz. – Mag nie sprzeczał się. – Ale najpierw i tak musisz przerobić podstawy magii. W tej chwili nie jesteś w stanie opanować nawet zaklęcia Światła.

– Nie poganiam cię – zapewniła Vanessa pospiesznie. – Jak będzie można. Ale może w takim razie ty sam wyleczysz naszego sąsiada?

– A dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo w przeciwnym przypadku pani Lee bardzo się rozgniewa – cicho mruknął spod stołu Butt-Krillach.

Kreol zasępił się. Musiał przyznać, że jest to istotny powód…

Vanessa zadzwoniła do drzwi. Chwilę poczekała i zadzwoniła jeszcze raz. W środku panowała cisza, doszła więc do wniosku, że dzwonek może być popsuty i zaczęła stukać. Odpowiedzi nadał nie było.

– Nikogo nie ma w domu – wyraził przypuszczenie malutki dżinn. W gości do sąsiada wybrali się we trójkę: Kreol, Vanessa i Hubaksis.

Van nadal stukała – teraz nogą. Jednak w domu nie było słychać nawet lekkiego szmeru.

– Sprawdź, niewolniku – zwięźle rozkazał Kreol. Hubaksis, wbrew swym zwyczajom, ani jęknął, bez narzekania przeniknął przez drzwi. Kreol zamknął oczy, najwidoczniej przełączając się na wzrok swojego ducha-doradcy.

– Tak… tak… Skręć w lewo… Sprawdź w tym pokoju… Fuj, co za ohyda… Zajrzyj za róg… aha, tutaj jest, gołąbeczek! Wracaj!

– On cię słyszy? – upewniła się Vanessa.

– A jakże by inaczej…

Hubaksis wynurzył się z wizytówki na drzwiach i z oddaniem wpatrywał się w swego pana. Gdyby miał ogon, zacząłby nim merdać.

– Van, tam jest okropnie – podzielił się wrażeniami. – Do pana nic nie dociera, leży jak martwy…

– Coś ty powiedział, zarazo?! – rozzłościł się Kreol, natychmiast wyciągając laskę.

– Panie, ja nie o tobie, ja o panu tego domu! – Hubaksis oburzyło niesprawiedliwe oskarżenie.

– W takim razie dobrze, nie będę bić. – Kreol schował swoją ulubioną broń, cały czas jednak patrząc podejrzliwie na dżinna. – Czyli nie zamierza nam otworzyć…

Mag przykrył dłonią dziurkę od klucza, kilka sekund poruszał ustami i… voila! Zamek zgrzytnął, drzwi stanęły otworem.

– Do tego jeszcze jesteś włamywaczem… – Van z naganą pokiwała głową, przechodząc przez próg. Zresztą, gdy tylko weszła do środka, natychmiast zapomniała o umiejętnościach Kreola czyniących zeń potencjalnego przestępcę.

W środku było okropnie brudno. Nie po prostu nabałaganione – dom sprawiał wrażenie, jakby nikt tutaj nie sprzątał od pięćdziesięciu lat. Nawet w siedzibie Katzenjammera, gdy weszli tam po raz pierwszy, było czyściej. Co prawda, mieszkał tam pracowity Hubert, a tutaj, jeśli nawet kiedykolwiek mieszkał jakiś skrzat, to z pewnością dawno już uciekł.

Po meblach nie zostało nawet wspomnienie. Kiedyś pewnie mieszkańcy nie mogli narzekać na brak pieniędzy – sam dom nie był tani. Jednak teraz wątpliwe, czy obecny miał więcej gotówki niż na kolejną działkę – w żadnym z mijanych pokojów Vanessa nie zauważyła nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość.

Jedyny mebel, który jeszcze się ostał, znaleźli w ostatnim pokoju – była to na wpół rozwalona leżanka. Na niej właśnie leżał pan Rex.

Już na pierwszy rzut oka było jasne, że znajduje się w głębokiej nirwanie. Oczy miał otwarte, ale wywrócone tak, że źrenice celowały niemal we wnętrze czaszki, z ust kapała mu ślina. Obok na podłodze walała się strzykawka. Rex wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat, choć mógł mieć mniej, a do tego stopnia wyniszczyły go narkotyki. Włosy zwisały mu brudnymi pasmami po bokach twarzy, ubrany był w jakieś szmaty.

– Heroina – błyskawicznie oceniła Vanessa, rzuciwszy na nieszczęśnika tylko jedno spojrzenie. – No to, Hipokratesie, zaczynaj…

Kreol z obrzydzeniem trącił narkomana czubkiem buta i, burcząc z niezadowolenia, wyjął z torby magiczną czarę oraz buteleczkę z szarawym proszkiem. Wziął szczyptę, starając się nie rozsypać ani odrobiny i wrzucił ją do czary. Następnie naciął rytualnym nożem kciuk pacjenta i wydusił do naczynia kilka kropel krwi. Na zakończenie dwa razy pstryknął palcami i nad czarą zmaterializowała się niewielka kula zwyczajnej surowej wody. Powisiała tak przez chwilę, a następnie chlupnęła na pozostałe składniki. Kreol wymieszał wszystko pałeczką i wymamrotał nad miksturą:

– O Inanno, zwana Isztar, wygnaj zło z ciała śmiertelnego człowieka, aby naczynie było czyste, ciało łagodne, dusza z imieniem twym na ustach. W imię Isztar, niech tak się stanie, teraz i na wieki.

Hubaksis, który wcześniej pomagał panu przy leczeniu podobnych chorób, wbił pazur w podbródek narkomana, dzięki czemu półotwarte usta Rexa rozchyliły się tak, jakby ich posiadacz ziewał. Kreol przechylił czarę, z uśmiechem obserwując, jak czerwonawa ciecz wlewa się do gardła nieszczęśnika.

Rezultat był natychmiastowy. Pan Rex, dopiero co błogo wylegujący się na swej leżance, podskoczył jakby leżał na ogromnej sprężynie. Złapał się za gardło i zawył dziko, wytrzeszczając niewidzące oczy gdzieś w przestrzeń.

– Smak ma okropny – oznajmił Kreol ze złośliwą satysfakcją. – Ale

to szybko minie.

Minęło już po kilku sekundach. Uzdrowiony zamrugał, zbierając myśli, z głupim wyrazem twarzy gapił się na nieoczekiwanych gości i niepewnie wymamrotał:

– Kim jesteście? Przysłał was Greg? Przecież powiedział, że poczeka… Zapłacę, słowo daję, potrzebuję tylko jednej działki, bo… Chociaż nie, chwilę… – Zamyślił się, analizując nowe doznania. – Dziwne, dawno się tak dobrze nie czułem…

– Posłuchaj mnie, głupku… – Vanessa przyjaźnie poklepała go po ramieniu. – Dopiero co cię wyleczyliśmy. Nie potrzebujesz już narkotyków, zrozumiałeś? Reszta to już twój problem. I nie waż się zacząć od nowa, bo cię zastrzelę! Chodźmy, mój drogi… – zwróciła się do Kreola.

Pan Rex stał nadal na środku pokoju, patrząc bezmyślnie na plecy swych dobroczyńców i starając się zrozumieć: co się tu, u licha, wydarzyło?

– Mój drogi? – Kreol spojrzał na Van ciężko, gdy tylko znaleźli się za drzwiami. – Wydaje mi się, uczennico, że za dużo sobie pozwalasz…

– Dobrze, nie złość się już. – Van delikatnie wzięła go pod rękę. – Powiedz mi lepiej, co będzie, jeśli on rzeczywiście znowu zacznie ćpać?

– Po raz drugi tego świństwa nie da się wyleczyć – uśmiechnął się Kreol smutnawo. – Cierpliwość Najpiękniejszej jest ograniczona. Pozostaje tylko modlitwa do Nergala…

– I co, to pomaga?

– Oj, Van! – roześmiał się Hubaksis piskliwie. – Coś ty! Do Nergala modlą się o lekką śmierć! Przecież to władca Królestwa Zmarłych, nie wiesz tego?!

– Pierwszy raz słyszę.

– Dzikusy…

– No i co, wszystko w porządku? – przywitał ich na progu Mao.

– W jak najlepszym! – odpowiedziała Van. – Załatwione, tato, nie mamy już sąsiada narkomana!

– Mówiłem, że pan Kreol go zabije. – Zza drzwi wyjrzał Butt-Krillach. – Przegrał pan, Mao.

– Co za bzdury! – rozzłościła się dziewczyna. – Chodziło mi o to, że mamy teraz całkiem normalnego sąsiada! Kreol go wyleczył!

– Tak, bezpłatnie, i dwie złote monety przeszły mu koło nosa – wymamrotał Hubaksis z goryczą. – Och, panie, zbankrutujemy, pójdziemy na żebry…

– Milcz, niewolniku!

– W pewnym sensie ma rację – powiedział Mao w zadumie. –

Kreolu, nie zastanawiałeś się nad ponownym otwarciem praktyki? Mógłbyś ratować tych, wobec których medycyna jest bezradna…

– Tato, co za bzdury! – Zmarszczyła się Vanessa. – Chcesz dać ogłoszenie „Mag zawodowiec uzdrowi beznadziejnie chorych”?

– A co w tym dziwnego? Córeczko, poczytaj gazety, tam aż roi się od wszelkich czarowników. Tyle że nasz jest prawdziwy, ot i cała różnica.

Vanessa zamyśliła się. W zasadzie pomysł nie był wcale taki zły… Oczywiście, mogli nadal sprzedawać magicznie stworzone złoto, ale ostatnio taki sposób zdobywania pieniędzy przestał jej się podobać. Było w nim coś takiego… czuła się jak fałszerz. Sumienie to straszna rzecz.

– Nie! – momentalnie rozwiał jej plany sam Kreol. – Co za głupota! Dorabiałem w ten sposób, gdy byłem młodym magiem, ale potem zostałem osobistym magiem imperatora, a potem Pierwszym Magiem całego Sumeru! A wy proponujecie mi znowu zająć się uzdrawianiem za pieniądze?! Na Marduka, jeszcze tak nisko nie upadłem! Już lepiej wyczyszczę skarbiec waszego króla!

– Tak, lepiej! – wyszczerzył się uszczęśliwiony Hubaksis. – Pamiętasz, panie, jak ograbiliśmy grobowiec Mummy?

– Po pierwsze, nie mamy króla, tylko prezydenta – przypomniała Vanessa lodowato. – Po drugie, nikogo nie będziecie grabić!

– Nie będziemy grabić, tylko ukradniemy! – pisnął dżinn.

– Kraść też nie będziecie! – jeszcze bardziej oburzyła się Van. – To jest zakazane!

– Przez kogo? – zainteresował się Hubaksis.

– Przez prawo!

– A kto ustanowił to prawo? Bogowie? Imperator?

– Nie… – zastanowiła się Vanessa. – Po prostu ludzie… Senat.

– To niech te twoje senaty żyją zgodnie ze swoim prawem – wyciągnął wniosek Hubaksis. – A my nie będziemy.

– I w ogóle, to magowie stoją ponad prawem – burknął Kreol.

– Nikt nie stoi ponad prawem! – oburzyła się Van.

– Uczennico… – westchnął Kreol. – Za moich czasów istniało prawo, zgodnie z którym kobieta nie mogła pierwsza odezwać się do mężczyzny. Jakoś nie bardzo go przestrzegasz!

– Ale to wasze prawo! – zaoponowała Van jeszcze energiczniej. – Nie mam żadnego obowiązku…

– W takim razie ja nie mam obowiązku podporządkowywać się twojemu – zakończył Kreol.

Vanessa znowu się obraziła. Ostatnimi czasy zaczęła podejrzewać, że Kreol specjalnie się z nią drażni – wyglądał przy tym na zbyt zadowolonego.

Nieoczekiwanie zabrzęczał dzwonek i kłótnia natychmiast

zamarła. Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na siebie.

– Kto to może być…? Hubercie, nie otwieraj! – pospiesznie krzyknęła Van.

– Tak jest, ma'am. – Urisk ukłonił się sztywno.

Drzwi otworzył Mao. Vanessa i Kreol stali z tyłu, a nieludzcy mieszkańcy domu pochowali się gdzie popadło. Hubert zrobił się niewidzialny, Hubaksis wlazł na żyrandol, Butt-Krillach po prostu wyszedł do drugiego pokoju, sir George… jego w ogóle mało kto widział. Vanessa prawie z nim nie rozmawiała. Na dźwięk dzwonka zjawiły się zaciekawione kocięta Alicja, Nadine, Czarnul oraz Fluffi. Płomyczek i Dymek pewnie bawili się gdzieś dalej.

– Dzień dobry… – nieśmiało przywitał wszystkich nieoczekiwany gość. Ku wielkiemu zdumieniu Vanessy, był nim dopiero co wyleczony narkoman!

– Co za spotkanie! – ucieszyła się. – Pan Rex?

– Albert Augustyn Rex – przedstawił się gość.

– Augustyn? – Dziewczyna uniosła lekko brwi.

– Mama się uparła… Proszę mnie nazywać po prostu Albert.

– A więc, w czym mogę pomóc… Albercie? – zagaił Mao delikatnie. Kreol zachowywał lodowate milczenie, ściskając rękojeść laski.

– Pomyślałem sobie, że… – nieskładnie zaczął Albert. – Ja… widzicie… jestem bardzo wdzięczny za to, co zrobiliście… chociaż nie wiem, jak wam się udało. Jeśli jakoś mógłbym…

– Przejdźmy do rzeczy – poprosiła Vanessa.

– A więc ja… w ogóle… no…

Albert schylił się i podniósł coś z ziemi. Coś okazało się młodą i, prawdopodobnie, ładną dziewczyną. Prawdopodobnie, bo w obecnym stanie mogła spodobać się tylko zboczeńcowi – w naszych czasach niektóre trupy wyglądają lepiej.

– Cz…czeeeeeść! – wybełkotała panienka.

– Co to? – Vanessa cofnęła się z obrzydzeniem. – To znaczy, kto to? Boże, Albercie, co z nią zrobiłeś?!

– Wygląda jak ja zaraz po zmartwychwstaniu – oznajmił Kreol zimno. Na szczęście Albert nie zwrócił uwagi na jego słowa albo po prostu ich nie zrozumiał.

– To prawda… – zgodziła się Vanessa.

– To… moja dziewczyna… – nieśmiało przyznał się Albert. – Widzicie, zaczęła ćpać jeszcze wcześniej i mnie wciągnęła… ale mimo wszystko… Proszę… bardzo proszę…

– Przepraszam, ma'am, nie wiedziałem, że pan Rex nie mieszka sam – wyszeptał Van do ucha niewidoczny Hubert.

– A dlaczego nie widzieliśmy jej eee… tam… w domu? – Vanessa podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Była w łazience… ona przez cały czas… rozumiecie? Pomożecie?

– Jego zapytaj. – Vanessa pokazała ręką Kreola. – To on leczy…

Albert wbił w maga tak błagalne spojrzenie, że ten nie wytrzymał.

– Dobrze! – warknął. – Posadź ją gdzieś…

Nową pacjentkę dość długo próbowano usadowić na kanapie, a potem bezskutecznie namówić, by z niej nie schodziła i wytarła usta. Vanessa patrzyła na to wszystko z obrzydzeniem, myśląc, że z wielką przyjemnością wystrzelałaby wszystkich dilerów narkotyków.

– Kiedyś – Kreol bez pośpiechu wyjął magiczną czarę – do Wielkiego Ur przyszedł święty pielgrzym z północy. Był bardzo dobry i umiał leczyć wszystkie choroby, oznajmił więc, że będzie bezpłatnie pomagał wszystkim potrzebującym. I rzeczywiście, nigdy nie odmawiał i nikt nie wracał od niego chory. Wieści o nim rozeszły się bardzo szybko… – mag nasypał do czary szarego proszku -…i z każdym dniem przychodziło coraz więcej, i więcej chorych. Z czasem święty mąż okazał się tak potrzebny, że wokół jego siedziby dniem i nocą tłoczyli się ludzie. Błagał, by pozwolili mu się chociaż przespać, ale chorzy odpowiadali przekleństwami i pogróżkami. – Kreol przejechał nożem po palcu dziewczyny. Albert rzucił się w jego stronę, ale spojrzał na własny palec ze świeżą raną i uspokoił się. – A potem jeden z chorych umarł w trakcie uzdrawiania. Był bardzo stary i cierpiał na niezliczone słabości, tak że cała wiedza świętego nie mogła mu pomóc. Jednak miał wielu krewnych, którzy go kochali… – tym razem Kreol nie tracił many na stworzenie wody z niczego, a po prostu skorzystał ze stojącej na stole karafki -…dlatego od razu oskarżyli uzdrawiacza o spowodowanie śmierci i zapragnęli zemsty. Jak już mówiłem, święty pielgrzym był bardzo dobry. Umiał nie tylko uzdrawiać, ale i ranić, jednakże nie chciał czynić szkody żywym stworzeniom, dlatego po prostu uciekł. Tej samej nocy opuścił nasze miasto, ale przedtem odwiedził moją skromną siedzibę i przyznał się, że obszedł pół ekumeny, ale nigdy i nigdzie nie spotkał się z taką czarną niewdzięcznością.

– Pouczająca historia… – powiedział Albert z wahaniem, obserwując, jak Kreol mamrocze zaklęcia nad cudowną mieszaniną.

– Pouczająca… – zgodził się mag. – A jaki z niej płynie morał?

– Morał? Nie wiem…

– Morał jest taki, że jeśli przyprowadzisz do mnie jeszcze kogoś takiego jak ona, to wsadzę ci nóż w brzuch. – Kreol rzucił mu lodowate spojrzenie, wlewając przy pomocy Vanessy eliksir do gardła pacjentki.

Przestraszony Albert głośno przełknął ślinę, patrząc na zakrwawione ostrze rytualnego noża. Z pewnością nie wyróżniał się nadmierną odwagą.

W tym czasie jego dziewczyna podskoczyła jak oparzona, otwarła oczy i dziko wrzasnęła. Zachowywała się dokładnie tak samo, jak wcześniej Albert. Kreol obserwował to z nadzwyczaj zadowolonym wyrazem twarzy.

– Działa, jak zawsze – mruknął. – Możesz zabrać swoją kobietę, robaku, jest całkiem wyleczona. I pamiętaj, o czym cię uprzedzałem.

– Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! – powtarzał uszczęśliwiony Albert, wypchnięty za próg wspólnymi siłami Vanessy i Kreola. W oczach dziewczyny, której imię pozostało nieznane, powoli zaczynały odbijać się myśli, a otaczająca jej umysł mgła po prostu rozpływała się.

– Jutro idę do pracy… – ze smutkiem w głosie powiedziała Vanessa, gdy już za gośćmi zamknęły się drzwi.

– Ach tak! – fuknął Kreol. – W takim razie ja też pójdę popracować. Leng sam z siebie nie padnie… Niewolniku, za mną!

Rozdział 13

Po raz pierwszy od czterech tygodni Vanessę obudziło pikanie budzika. Po długiej przerwie znienawidzony dźwięk był jeszcze bardziej nienawistny. Z obrzydzeniem pomyślała, że będzie musiała jeszcze jakoś wytłumaczyć „zgubienie" odznaki, przekopać się przez zaległe sprawy… Koledzy mieli okropny zwyczaj nie wykonywać pracy za osoby przebywające na urlopie, po prostu odkładali papiery na biurko delikwenta, by tam sobie czekały na załatwienie. Oczywiście, nie dotyczyło to rzeczywiście pilnych spraw, ale i tak zwykle gromadziła się ogromna sterta wszelkich drobiazgów. Zresztą sama Vanessa zawsze postępowała tak samo, a więc nie miała powodów żeby się skarżyć. Do tego jej dotychczasowa partnerka dwa tygodnie temu przeprowadziła się do innego miasta i szefowa obiecała poszukać kogoś innego. A nowy partner zawsze oznacza mnóstwo kłopotów…

Vanessa zastanawiała się nawet, jakby tu sprytnie namówić na tę pracę Kreola. Mieć za partnera prawdziwego maga – o czymś takim można tylko pomarzyć…

Przed bandycką kulą osłoni magiczną tarczą, przypadkową ranę wyleczy od razu na miejscu… Może sparaliżować przestępcę, uśpić go albo zahipnotyzować, by ten przekazał wszystkie potrzebne informacje. Mag może iść po śladach lepiej niż pies myśliwski, może określić do kogo należała ta albo inna rzecz, spojrzawszy tylko na aurę… Do tego potrafi otworzyć każdy zamek, umie latać, stawać się niewidzialny, i wiele, wiele więcej… A i Hubaksis mógłby się przydać – maleńki dżinn potrafi przechodzić przez ściany, może kogoś śledzić, sam pozostając całkiem niezauważonym…

Ale, przerwała sama sobie, Kreol za nic nie zgodzi się na coś takiego. Z jego opowiadań wynikało, że w starożytnym Sumerze magowie czasami zajmowali się wykrywaniem przestępstw, ale robili to wyłącznie na polecenie wysoko postawionych osób i za wysoką opłatą. Ani jeden mag nie zniżył się do tego, żeby zostać policjantem, czy jak się tam oni nazywali w Babilonie. Poza tym Kreol nie ma do tego głowy – wypełnia kolejny punkt Wielkiego Planu.

Skądinąd zbytnio się nie spieszy… w ogóle nie lubi się spieszyć.

– Dzień dobry, ma'am – przywitał się Hubert, gdy tylko otworzyła oczy.

Vanessę początkowo krępował jego zwyczaj pojawiania się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach w najbardziej zaskakujących momentach, także wtedy, gdy nie była ubrana, ale gdy Kreol się o tym dowiedział, postukał tylko palcem w czoło i oznajmił, że wstydzić się skrzata nie ma sensu, bo on i tak widzi wszystko, co dzieje się na

terytorium jego domu. Do tego anatomicznie różnią się od ludzi bardziej niż gady, dlatego Vanessa jest dla Huberta równie straszna, jak on dla niej. I w ogóle, wstydzić się skrzata to jakby wstydzić się własnego kota.

– Herbata, kawa? – Lekko skłonił głowę urisk. – Co pani życzy sobie na śniadanie?

– Dzisiaj poproszę herbatę… – odpowiedziała Van po namyśle. – I bułeczkę z dżemem.

– W tej chwili, ma'am – rzekł skrzat uprzejmie, rozpływając się w powietrzu.

Vanessa błogo się przeciągnęła. Bułeczki Hubert piekł sam i wychodziły mu rzeczywiście wspaniale – miękkie, puszyste, po prostu rozpływały się w ustach. A gdy on szykuje śniadanie, ona akurat zdąży się ubrać.

Od razu pierwszego dnia Vanessa wpadła na pomysł, aby przekazać Hubertowi Sługę. W końcu jemu był on potrzebny bardziej niż komukolwiek innemu. Jednakże Hubert grzecznie odmówił, wyjaśniając, że skrzaty nie mogą korzystać z ludzkiej magii, więc Magiczny Sługa jest dla niego zupełnie nieprzydatny.

– Dziękuję, Hubercie – podziękowała po kilku minutach, gdy taca z zamówieniem pojawiła się na stoliku. Z powodu takiego drobiazgu skrzat nie zrobił się nawet widoczny.

– Obudziłaś się, uczennico? – Kreol wszedł bez pukania. Akurat jego Vanessa niejeden raz starała się nauczyć pukania, ale tylko patrzył na nią tępo, nie rozumiejąc, dlaczego ma pukać we własnym domu. – Mam dla ciebie niewielki prezent…

Vanessa o mało co się nie udławiła, tak nieoczekiwane to było. Ale jednocześnie ucieszyła się – oznaka zainteresowania ze strony Kreola nie mogła jej nie ucieszyć.

– Prezent? – wykrztusiła z trudem, przełykając to, co miała w ustach. – Jaki?

– Najpierw weź z powrotem swój pierścionek – zaproponował Kreol, wyciągając w jej stronę pierścionek, który pożyczyła mu, gdy polował na yira.

– Zabrałeś z niego to stworzenie? – zainteresowała się, wkładając ozdobę.

– Nie.

Vanessa znowu o mało co się nie udławiła i zaczęła nerwowo zdejmować pierścionek. Bez względu na to, jak bardzo go lubiła, nie zmierzała nosić przy sobie energetycznego demona.

– Zamieniłem go w artefakt – ciągnął Kreol. – Popatrz, z lewej strony pojawiła się na nim niewielka wypukłość. Jeśli naciśniesz na nią opuszkiem kciuka i wypowiesz w myśli słowo „Piorun!" z pierścionka wystrzeli piorun. Moim zdaniem to bardzo przydatna

rzecz.

– No tak… – zgodziła się Van, zostawiając pierścionek w spokoju. Bez względu na to, jak nieprzyjemnie było nosić COŚ takiego na ręce, sama myśl o tym, że może teraz strzelać piorunami z palca sprawiła, że niemalże oblizała się z zadowolenia. Vanessa od dziecka lubiła komiksy, a w przeważającej większości głównymi bohaterami tych zeszycików byli odważni młodzieńcy o nadprzyrodzonych zdolnościach. A teraz coś takiego trafiło w jej ręce!

– Bardzo sprytne, dziękuję. A co jeszcze?

– Jeszcze to. – Była to jej własna puderniczka. – Otwórz.

Vanessa posłusznie otworzyła, ciekawa, w jaką superbroń Kreol zmienił niewinny przedmiot damskiej toalety. Jednak w środku nie było nic ciekawego.

– I co dalej? – zapytała, nieco rozczarowana.

– Dotknij lusterka i pomyśl moje imię.

Vanessa tak zrobiła. Jej odbicie w malutkim lusterku zakołysało się, rozpłynęło, a jego miejsce zajęła podobizna Kreola. Popatrzyła na niego, potem znowu na lusterko, potem znowu na niego… Jak miniaturowa kamera.

– Co to takiego? – zaczęła już się powoli domyślać, ale wolała upewnić się.

– Lusterko-rozmównica. – Kreol uśmiechnął się z satysfakcją. Głos dobiegł jednocześnie i z jego ust i z puderniczki. – Jeśli zechcesz coś mi powiedzieć albo o coś mnie zapytać… A jeśli z tobą będzie coś nie tak, ja też to poczuję.

Vanessa była wzruszona. Czyżby rzeczywiście dbał o nią?

– I co jeszcze?

– To wszystko! – oburzył się Kreol. – Ty co, uczennico, myślisz, że rodzę te artefakty czy co? Zrobić przez jeden wieczór aż dwa, to i tak bardzo dużo, może tego dokonać tylko arcymag!

– Dobrze, dobrze! – Van wyciągnęła w jego stronę obie ręce. – Nie szalej, tak tylko zapytałam!

Na posterunku, gdzie służyła Vanessa nadkomisarzem była kobieta. Przodkowie Florence Iovich pochodzili z Odessy, ale było to tak dawno, że nawet ich nazwisko zmieniło się nie do poznania.

– O, Van, co u ciebie? – przywitała się z Vanessą uprzejmie. – Dobrze odpoczęłaś?

– Jak by to powiedzieć… – zająknęła się Van.

– Wyjeżdżałaś gdzieś? – zapytała Florence bez szczególnej ciekawości.

– Do Lengu i do Inkwanok – odpowiedziała Vanessa, zanim ugryzła się w język.

– No, proszę… A gdzie to jest?

– W Kanadzie. To kurort narciarski. – Vanessa odzyskała rezon.

– No, nie wiem… Ja wolę plażę. Na Hawajach jest teraz bardzo przyjemnie… ale dobrze, nieważne. Wezwałam cię, żeby przedstawić ci nowego partnera. Gdzież on się podział…?

Florence otwarła szufladę biurka, jakby tam właśnie spodziewała się odnaleźć zagubionego policjanta, postukała palcem w blat, zdjęła i przetarła okulary… Nie wiadomo, co miała zamiar zrobić dalej, bo ktoś cichutko zastukał do drzwi.

– O, to właśnie on! – ucieszyła się Florence. – Poznajcie się…

Vanessa starannie obejrzała młodzieńca. Ten z kolei obejrzał ją.

No cóż, egzemplarz nie był taki zły. Trochę więcej niż średniego wzrostu, rudawy, znaków szczególnych brak, twarz miał nieco bez wyrazu.

– Vanessa Lee – przedstawiła się Van. – Dla przyjaciół po prostu Van.

– Michael Shepard Jackson – odpowiedział jej nowy partner. – Lub po prostu Mike, ale lepiej Shep – tak mi się bardziej podoba.

– Nie jestem z *nim* w żaden sposób spokrewniony – pospiesznie dodał Shep, uśmiechając się szeroko. – Po prostu zbieżność nazwisk.

– To co, poznaliście się? – zapytała znudzona Florence. – W takim razie proszę przystąpić do pełnienia obowiązków.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Shep rzekł z niepokojem:

– Jestem w San Francisco dopiero trzeci dzień, w ogóle to… Żonie zaproponowali nową pracę i awans, więc się przeprowadziliśmy. Przedtem służyłem w Detroit, co prawda niedługo, bo tylko pół roku… Tak więc z doświadczeniem u mnie krucho – przyznał się szczerze.

– Jesteś żonaty? – zdziwiła się Van. Wydawało jej się, że Shep jest na to zdecydowanie za młody.

– Dopiero kilka lat… – wzruszył ramionami. – A ty od dawna tu jesteś?

– Urodziłam się tu… A niech to diabli, co znowu?

Ostatnie zdanie wykrzyknęła, bo coś dziwnego działo się w jej kieszeni. Coś tam szurało jak rozzłoszczony kociak, dygotało… dobrze chociaż, że nie drapało.

Okazało się, że to puderniczka zmieniona przez Kreola w wideofon. Vanessa otworzyła ją i na gładkiej powierzchni lustra pojawiła się twarz maga.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytał. – Wywołuję cię już od dziesięciu minut!

– A niech mnie! – zachwycił się Shep, zaglądając jej przez ramię. – Kapitalna rzecz! Co to, telefon z kamerą?,!

– Mniej więcej… Po co dzwonisz?

– Tak po prostu… A kto to stoi obok ciebie? – Kreol zmarszczył brwi.

– Mój partner. A co? Jesteś zazdrosny? – kokieteryjnie mrugnęła Van.

– I co jeszcze?! – prychnął mag, wyłączając się.

Obrażona Vanessa pociągnęła nosem, chowając puderniczkę do kieszeni. Jak zwykle, wycisnąć z Kreola jakieś ciepłe słowo było niezwykle trudno…

– To twój… – Shep szukał odpowiedniego słowa.

– Coś w tym rodzaju – zgodziła się Van. – Dobrze, idziemy, pokażę ci naszą komendę. A potem pójdziemy na próbny patrol…

Po drodze Vanessa niezgrabnie przeprosiła, wpadła do toalety i natychmiast wyciągnęła puderniczkę.

– Po co dzwoniłeś? – wyszeptała, gdy tylko twarz Kreola pojawiła się w lusterku.

– Możesz przyjąć, że po nic – burknął obrażony mag. Sam Kreol do nawiązania kontaktu nie korzystał z żadnych artefaktów, więc w lusterku odbijała się tylko i wyłącznie jego twarz – jakby płynęła samotnie w ciemnym kosmosie. – A ty po co dzwonisz?

– Zapytać, po co ty dzwoniłeś – odparła zdezorientowana Vanessa. – Tfu, całkiem mnie skołowałeś. No więc?

– Niepokoiłem się – niechętnie burknął Kreol, spuszczając oczy.

– O mnie?! – zachwyciła się dziewczyna. – Oj, Kreolu, jakie to miłe…

– Nie ma w tym nic miłego! – wybuchnął mag. – Jesteś moją uczennicą, jestem twoim nauczycielem, więc się niepokoję. Co w tym dziwnego?!

Van uśmiechnęła się skromnie. Kreol zawstydził się jeszcze bardziej.

– A w ogóle, dlaczego mówisz „dzwoniłeś” – spróbował zmienić temat. – Nie widzę żadnych dzwoneczków.

– Tak się mówi – zbagatelizowała Van. – Co porabiasz?

– Podlewam kwiaty. Obok stoi twój ojciec, przekazać mu coś?

– Nooo… Zawołaj go, sama z nim porozmawiam.

– Uczennico… – Kreol uśmiechnął się z wyższością. – Jak mam go zawołać, jeśli nie włada magią? Nie ma takiego artefaktu – zrobiłem tylko jeden. Możesz rozmawiać tylko ze mną.

– Szkoda… No dobrze, słuchaj, muszę już lecieć, jak by nie było – jestem w pracy… I w ogóle – nie naruszaj konspiracji! Umówmy się, że będziesz dzwonił tylko wtedy, gdy będziesz miał coś naprawdę ważnego do powiedzenia, okej? No to świetnie, na razie!

Kreol chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył – Vanessa zatrzasnęła wieczko.

– Ej, Van, weź trzeci radiowóz i pędź pod ten adres; mamy morderstwo! – wesoło zawołał do niej dyżurny.

– Masz ci los, właśnie chciałam pokazać partnerowi komendę… – powiedziała rozczarowana Vanessa.

– Nic się nie stało, potem zobaczymy – wzruszył ramionami Shep.

– Co, Van, rozleniwiłaś się? – Dyżurny chytrze zmrużył oczy. – W kurorcie pewnie lepiej niż w pracy, co? No cóż, przyzwyczajaj się, przyzwyczajaj…

Vanessa spojrzała na niego złym wzrokiem. Miał na imię Lester, nie znosiła go. Kiedyś próbował ją podrywać, ale szybko zorientował się, że nic z tego nie będzie i dał sobie spokój. Ale wzajemna niechęć została, chociaż zazwyczaj nie przekraczali przyjętych norm.

– Dawaj no to. – Wyrwała Lesterowi kartkę z adresem, obrzucając go na pożegnanie pełnym pogardy spojrzeniem. – Jedziemy, Shep.

– Jak chcesz, ty tu jesteś szefem. – Shep uśmiechnął się blado.

Uspokojona Vanessa westchnęła z zadowoleniem, sadowiąc się za kierownicą policyjnego samochodu. Lubiła swoją toyotę, ale wozy policyjne przewyższały ten model pod każdym względem. Szkoda, że nie można mieć ich na własność.

Po dziesięciu minutach byli na miejscu. Zabójstwa dokonano w domu czynszowym, w jednym z odnajmowanych mieszkań. Praca szła tam już pełną parą – starannie oglądano ciało i miejsce zbrodni, specjaliści od medycyny sądowej próbowali z grubsza określić czas śmierci.

– Co my tu mamy? – rzeczowo zapytała Vanessa. Shep, jako młodszy w patrolu, posłusznie trzymał się z tyłu, bacznie przyglądając się zabitemu.

– O, Van, wróciłaś? – uśmiechnął się ekspert. – Jak odpoczęłaś?

– Nie odchodź od tematu, Lucas.

– Mężczyzna, biały, wiek czterdzieści dziewięć lat – wyrecytował Lucas monotonnie. – Nazwisko: Carlo Toscani, włoski imigrant. Rozwiedziony, dwoje dzieci, mieszkają z matką. Zabity strzałem w pierś. Kula przeszła na wylot, przeszyła lewe płuco i serce. Biorąc pod uwagę, że w chwili wystrzału ofiara siedziała przy stole, a przestępca, sądząc po ranie wlotowej, naprzeciwko, musieli się znać. Sądząc po stężeniu i plamach opadowych, śmierć nastąpiła jakieś dwa dni temu, na razie nie mogę powiedzieć dokładniej. Łapiduchy wyciągną więcej przy sekcji.

– Kto znalazł ciało?

– Siostra zamordowanego. Przyjechała odwiedzić brata, a tu…

– Rozumiem. Podejrzani?

– Na razie brak. Nieboszczyk pracował jako kierownik dostaw w firmie kosmetycznej, prowadził spokojne, ustabilizowane życie.

– Rozumiem. – Vanessa kiwnęła głową. – Muszę zadzwonić. Jest tu jakiś spokojny kąt?

– Możesz iść do łazienki. Technicy już tam skończyli –

odpowiedział Lucas.

– Aha… Shep, poczekaj tu chwilę, zaraz wracam.

Vanessa świetnie rozumiała, że proszenie Kreola o pomoc byłoby bezczelnością. Nie w stosunku do Kreola – w końcu miał wobec niej spory dług wdzięczności. Chodziło o konspirację. Zachowanie tajemnicy i inne takie… Ale mimo wszystko strasznie ją korciło!

W łazience wszędzie był porozsypywany proszek do zdejmowania odcisków palców. Vanessa zamknęła się od środka i otworzyła puderniczkę. W lusterku pojawiła się niezadowolona twarz Kreola. Najwyraźniej Van oderwała go od czegoś ważnego.

– Czego? – zapytał nieprzyjaźnie. Vanessa szybko naświetliła sytuację.

– Masz jakiś pomysł?

– Czego właściwie ode mnie chcesz? – zdziwił się Kreol.

– No, oczywiście dowiedzieć się, kto to zrobił… Nie mógłbyś go wskrzesić?

– A kiedy umarł?

– Jakieś dwa dni temu.

– W takim razie nie. Mózg już zaczął się rozkładać. Mógłbym tylko częściowo.

– Czyli jak?

– Zombi – krótko wyjaśnił mag.

– Nie, dziękuję! – przestraszyła się Van. – Jeszcze mi tylko zombi tu brakuje! Inne propozycje?

– Przynieś mi jego głowę, uczennico – zażądał Kreol. – Ożywię ją i sam wszystko opowie.

– Aha! A jak ty to sobie wyobrażasz? „Przepraszam chłopaki, potrzebna mi głowa tego gościa. Mój znajomy mag chce poznać imię zabójcy bezpośrednio z ust ofiary. Nie macie czasem piły?" Natychmiast zamknęliby mnie w psychiatryku!

– U nas zawsze tak robiono i nikt się nie dziwił – burknął Kreol. – To najpewniejszy sposób…

– A u nas nie! Potrafisz jakoś inaczej?

– Wiesz, jak się nazywa?

– Oczywiście.

– W takim razie przynieś mi kilka kropli krwi. Albo chociaż włos. Wywołam jego ducha – niechętnie zaproponował Kreol. – Ale to jest trudniejsze niż ożywienie głowy!

– Za to mnie będzie łatwiej. – Vanessa uśmiechnęła się złośliwie. – Jak długo to potrwa?

– Jeśli zacznę się szykować od razu, to jakieś dwadzieścia pięć minut.

– Świetnie, czekaj na mnie.

Vanessa wyszła z łazienki w świetnym humorze.

– Lucas, przygotuj mi szybciutko próbkę na wzór DNA, co? – poprosiła.

– Po co? – spytał ekspert. – Nasi już wzięli do labu. Wyniki będą jutro…

– No, pobierz trochę krwi pipetką. Co ci szkodzi? – Van zaczęła się denerwować. – Słuchaj, ja się nie wtrącam do waszej roboty…

– Dobrze, dobrze… Tylko po co ci to?

– A tak, potrzebne mi… Shep, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli podskoczymy na pół godziny w jedno miejsce?

Shep tylko rozłożył ręce – na Boga, dlaczego by nie.

– Ej, Van, sprawa jest twoja! – krzyknął w ślad za nią Lucas. – Nie marudź za bardzo, Iovich nie lubi czekać!

– Wiem! – zbagatelizowała Vanessa. – Lucas, założysz się, że za godzinę będę wiedziała, kto zabił?

– Za godzinę? Van, nie wygłupiaj się… A o co się założymy?

– O dwadzieścia baksów.

– Stoi. Czas start, jeśli nie zadzwonisz w ciągu godziny – przegrałaś.

– A dokąd jedziemy? – zainteresował się Shep, gdy już siedzieli w samochodzie.

– Do jednego znajomego. Jest specjalistą w takich sprawach.

– Ktoś w rodzaju Nero Wolfe'a? Rozwiązuje zagadki kryminalne bez wychodzenia z domu?

– Nie, to już szybciej ktoś w rodzaju Nostradamusa… Dobrze, potem ci opowiem, jesteśmy na miejscu.

Shep, jak wiele osób przed nim, patrzył na dom Katzenjammera z niemym zachwytem. Dzięki wysiłkom Vanessy i Huberta wstrętna willa stała się trochę mniej wstrętna, ale niestety, tylko trochę.

– Kto tu mieszka? – zapytał, oszołomiony. – Doktor Frankenstein?

– Prawie… – wymamrotała Vanessa. – Wiesz, lepiej poczekaj na mnie w samochodzie. Ten facet… ma dość nieprzyjemny charakter.

– A czy on w ogóle jest normalny? – upewnił się zaniepokojony Shep. – Może to wariat?

– Absolutnie normalny! – ucięła Van. – Czekaj!

Shep wzruszył ramionami i sięgnął po papierosa.

Kreol czekał na Vanessę w progu. Hubaksis, jak zwykle, siedział mu na ramieniu.

– Jestem gotowy – oznajmił, nie tracąc czasu na powitania. – A ty?

– Tutaj. – Van pokazała szklaną rurkę z krwią.

– Świetnie. – Pokiwał głową Kreol, rzucając okiem na czerwoną ciecz. – Chodźmy na strych.

Zdążył przygotować wszystko do planowanego wywołania ducha.

Narysował na podłodze niewielki okrąg, w którym mógł się

zmieścić człowiek, a wokół niego pięć symboli: trzy faliste linie, płomień, dwa trójkąty – jeden częściowo nachodził na drugi, trzy równolegle kreski i koło z boku, a także dwie gwiazdki i prostą linię między nimi. W środku okręgu narysował stylizowaną ludzką czaszkę.

– Jak się nazywa? – zapytał Kreol, stając obok kręgu.

– Carlo Toscani.

– Dobrze… Patrz i zapamiętuj, uczennico.

Kreol głośno westchnął, rozłożył ręce na boki, potem skrzyżował je na piersi i wyrecytował śpiewnie:

– Wzywam cię i zaklinam, duchu, przyjdź rozmawiać ze mną! Twoim imieniem – Carlo Toscani, twoją krwią – Kreol wylał kilka kropel do środka kręgu – swoją mocą spirytualisty i nekromanty wywołuję cię i zaklinam, duchu!

Nad rysunkiem czaszki powietrze zgęstniało, a potem wewnątrz kręgu zmaterializowała się ludzka postać – przezroczysta, ale całkiem dobrze widoczna.

W rysach twarzy widoczne było niewątpliwe podobieństwo do trupa, którego Vanessa oglądała nie więcej niż pół godziny temu.

– Co się stało? – spytał duch ledwie dosłyszalnym szeptem. – Co się stało?

– Carlo Toscani? – Van podeszła bliżej. – Funkcjonariuszka Lee, policja San Francisco. Mam do pana kilka pytań…

– Nieźle! – zachichotał duch. – Gliniarzom całkiem odbiło, nawet po śmierci wzywają na przesłuchanie!

– To dla twojego dobra. – Vanessa zmarszczyła brwi.

– Dla mojego dobra? – zdziwił się duch. – Jakoś mi wszystko jedno…

– Czyżbyś nie chciał wsadzić swego zabójcy do więzienia?

– Tak, byłoby nieźle… – zgodził się Toscani po krótkim namyśle. – Jak myślicie, ile może dostać?

– Trudno w tej chwili powiedzieć… – wykręciła się od odpowiedzi Vanessa. – Znasz go?

– Oczywiście! To Abe… bydlę, zawsze wiedziałem, że nie można mu ufać! Pani władzo, proszę powiedzieć Dorothy, jaki z niego drań! Po prostu nie mogę… jak tylko pomyślę, że wpadnie teraz w jego łapy, to aż się w grobie przewracam! A propos, kiedy mnie pochowają? Bo nie chcą mnie wpuścić…

– Proszę opowiedzieć szczegółowo o morderstwie. – Vanessa sięgnęła po dyktafon. – Proszę mówić do tego.

– Nie uda się – po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy Kreol. – Z duchami te techniczne sztuczki nie przejdą.

– Szkoda… W takim razie proszę po prostu mówić, a ja będę zapisywać. – Vanessa schowała dyktafon i wyjęła notes. – Bardzo proszę.

– Zacznę od początku…

Znudzony Shep nadal obijał się koło samochodu, gdy nadszedł Mao. Dowiedział się, że niedaleko jest wypożyczalnia wideo i postanowił wybrać się tam, wziąć coś do pooglądania. Teraz wracał z kasetami.

– Dzień dobry, panie władzo – ukłonił się. – Pan do mnie?

– Nie, towarzyszę partnerce… – powiedział Shep.

– A czy ona nie ma przypadkiem na imię Vanessa? – uśmiechnął się Mao.

– Zna ją pan? – zdziwił się policjant.

– Oczywiście, że znam. To moja córka.

– Ach, tak? To tutaj mieszkacie?

– Nie, jestem po prostu gościem. To ona tu mieszka. Van nie mówiła panu o tym?

– W takim razie czegoś nie rozumiem… – skonfundowany Shep podrapał się w głowę. – Powiedziała, że chce naradzić się z jakimś ekspertem… To jest związane ze śledztwem, rozumie pan?

– Ach, więc to tak… – Mao pokiwał głową ze zrozumieniem. – Widzi pan, mieszka tu także niejaki Kreol… Mam wielką nadzieję, że zostanie moim zięciem, ale bardzo proszę nie mówić Vanessie, że o tym wspomniałem. No tak, ma pan rację, to nadzwyczajny ekspert. Potrafi wszystko… – Mao z zachwytem pokiwał głową, ze szczęśliwym wyrazem twarzy dotykając lewego oka.

– Cześć, tato. – Drzwi otwarły się i Vanessa wyszła na zewnątrz. Wyglądała na nadzwyczaj zadowoloną. – Wybacz, muszę uciekać, wpadłam dosłownie na chwilkę. To mój nowy partner… Shep, tata. Tata, Shep. A może już się poznaliście?

– Jeszcze nie zdążyliśmy… – zaśmiał się Mao. – Młody człowiek opowiedział mi co nieco o waszym śledztwie… Kreol był w stanie pomóc?

– I to jak! – uśmiechnęła się Vanessa, wyjmując telefon komórkowy. – Hallo, Lucas? Cześć! Spójrz na zegarek, mam jeszcze czas? Super! Zapisuj… Zabójca nazywa się Abraham Fletcher, pracuje w tej samej firmie co nasz klient. Pokłócili się o kobietę, niejaką Dorothy Clarence, pracującą w tym samym miejscu. Fletcher postanowił zastosować radykalne środki. Szykuj kasę!

– Rzeczywiście, ekspert… – Shep z uznaniem pokiwał głową.

Rozdział 14

Przyznaj się, przyznaj się, bydlaku!

Vanessa i Shep stosowali starą sztuczkę z dobrym i złym policjantem. Van wrzeszczała na podejrzanego, a Shep szeptem namawiał go, aby się przyznał, zanim „ta wariatka całkiem nie oszaleje". Ale nie dawało to żadnego efektu.

– Słuchajcie, nie wiem, o czym mówicie! – odpowiadał zdenerwowany Fletcher. – Tak, znałem Carla, i bardzo mi żal, że go zabili, ale to nie ja, rozumiecie? I w ogóle będę rozmawiał tylko w obecności adwokata!

Van zostawiła go w pokoju przesłuchań i wyszła za drzwi. Po chwili przyłączył się do niej Shep.

– Nie puszcza farby… – zauważyła, nie patrząc na partnera.

– Właśnie – zgodził się Shep. – Pistoletu nie znaleźliśmy, alibi ma żelazne… Zupełnie nie ma się do czego przyczepić! Ale czuję przez skórę, że to on! Słuchaj, a ten twój ekspert nie może dać nam jakichś dowodów?

– Móc to może, tylko że żaden sąd ich nie uzna – przyznała Van ze smutkiem. – Chociaż nie, poczekaj chwilę… Zaraz wracam.

Vanessa odeszła na kilka kroków, wyjęła puderniczkę i szeptem naświetliła Kreolowi sytuację.

– Nic nie umiesz sama zrobić… – stwierdził Kreol z satysfakcją. Nie wiadomo dlaczego miał na głowie kucharską czapkę. – Za moich czasów zeznania zdobywało się za pomocą dwóch rzeczy: metalu i ognia stosowanych razem lub osobno. Więc tak, słuchaj instrukcji: na początek weź kilka igieł i wbij mu pod paznokcie. Najlepiej zacznij od małego palca, tam boli najbardziej…

– Ostatni raz powtarzam: tortury są u nas zakazane! – wysyczała Vanessa.

– W takim razie nie ma się co dziwić, że nikt się nie przyznaje! Na jego miejscu też bym milczał jak głaz! W takim razie przywieź go do mnie. Potrafię odróżnić prawdę od kłamstwa.

– Tak oczywiście można, ale… – zawahała się Van -…może jeszcze coś wymyślisz?

– Można jeszcze zastosować proszek prawdy. – Kreol nie podjął dyskusji. Wyglądało na to, że nie chciało mu się wysilać. – Nie jest zbyt efektowny, ale też działa. Masz?

– Zasadniczo to też nie jest dozwolone… – męczyła się Vanessa. – Jeśli ekspertyza wykaże, że podejrzanego naszpikowano jakiś świństwem nieźle mi się oberwie… A poza tym nie mam takiego środka…

– Już dobrze, pomogę. – Kreol uśmiechnął się pod nosem. – Mój

proszek jest magiczny, nieszkodliwy dla zdrowia, wasi specjaliści za nic na świecie go nie wykryją. Czekaj, przyślę niewolnika z przesyłką.

– Wspaniale!

Vanessa przerwała połączenie i z radosnym wyrazem twarzy wróciła się Shepa. Ten popatrzył na nią uważnie, ale natychmiast odwrócił wzrok. Na pewno coś podejrzewał, lecz jakie mógł snuć teorie?

Vanessa poleciła partnerowi kontynuować próby wydobycia zeznań z podejrzanego, a sama wyszła do sąsiedniego pomieszczenia, usiadła przy biurku i próbowała podnieść zszywacz. Oczywiście, nie rękami, ale siłą woli. Nic z tego nie wyszło. Westchnęła i spróbowała zrobić to samo z długopisem. Rezultat pozostał niezmienny. Nawet spinacz nie zareagował na wysiłki początkującej magini, nawet malutka zszywka ze wspomnianego zszywacza, nawet kawałeczek papieru niewiele większy od płatka stokrotki.

Porzuciwszy bezowocne wysiłki, Vanessa ze smutkiem pomyślała, że z każdą minutą coraz trudniej będzie przetrzymywać tego całego Fletchera – wszystkie dopuszczalne terminy dawno już minęły, należało go wypuścić jak najszybciej, inaczej mógł oskarżyć ich o niezgodne z prawem ograniczenie wolności. Van znała takich typów – stać go na to. Chociaż nie, oczywiście, że nie zaryzykuje – jeśli rzeczywiście jest zabójcą, byłoby to skrajną bezczelnością… A jest zabójcą – duch Toscaniego wyraźnie go wskazał. Niby po co duch miałby kłamać? Zresztą nie mógłby, jeśli wierzyć Kreolowi…

Rozmyślania Vanessy przerwał słaby, ledwie dosłyszalny pisk dochodzący z szuflady biurka. Vanessa wysunęła ją i z trudem powstrzymała okrzyk zdziwienia. Wewnątrz siedział Hubaksis.

– Cześć, Van! – pisnął cichutko. – Nie spóźniłem się?

– Nie, zdążyłeś. – Vanessa odwróciła się mimowolnie w stronę okna z weneckim lustrem. Shep i Fletcher przeszywali się nawzajem pełnymi złości spojrzeniami.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Dzięki lusterku. Pan wbudował w nie nadajnik. A więc to tutaj pracujesz?

– Tak, tak – przytaknęła dziewczyna niecierpliwie. – Gdzie serum?

– Co takiego? – zdziwił się dżinn.

– Serum prawdy! Kreol mi obiecał!

Hubaksis fuknął, zdejmując z grzbietu ogromny plecak. Ogromny jak na jego filigranowe rozmiary, oczywiście. Vanessa szczerze się zdziwiła, że nie zauważyła go w pierwszym momencie.

– Serum… – wymamrotał posłaniec, przekazując ładunek. – Nie ma tu żadnego sera, do czego mógłby się przydać? A więc tak: proszek prawdy jest bezbarwny i nie ma zapachu. Można go podać w jedzeniu,

w piciu albo podpalić i dać dym do powąchania. Osoba, która zje proszek lub wchłonie dym, nie może kłamać ani przemilczeć niczego, co wie i wygada wszystko. To wszystko? – zapytał sam siebie Hubaksis, niepewny, czy wystarczająco dokładnie przekazał instrukcję.

– Dziękuję. – Van uśmiechnęła się, oglądając proszek. Z wyglądu przypominał najzwyklejszą drobnoziarnistą sól kuchenną, tyle że trochę ciemniejszą.

– Van, mogę zostać tu trochę? – poprosił Hubaksis. – Jestem zmęczony, chce mi się spać, a w domu pan znowu mnie gdzieś pośle…

– Zostań, tylko nie wyłaź z szuflady, bo nie daj Boże, ktoś cię zobaczy! – pozwoliła Vanessa i zaczęła majstrować przy ekspresie do kawy, który na szczęście stał w zasięgu ręki. – A ile tego dać? – zaniepokoiła się, szykując swoją ulubioną kawę bez cukru.

– Wystarczy szczypta – oznajmił dżinn, oceniając wielkość styropianowego kubeczka. – Nie musi działać długo?

– Nawet lepiej jeśli się szybko ulotni. Najważniejsze, żeby zdążył się przyznać, a potem niech się dzieje co chce…

– Słuchajcie, to już przechodzi wszelkie granice! – Podejrzany z oburzeniem podniósł głos, gdy Vanessa weszła do pokoju przesłuchań. – Albo mnie wypuścicie, albo przynajmniej wezwijcie mojego adwokata! Zdaje się, że mam prawo do jednego telefonu, a może demokracja już nic nie znaczy w naszym kraju?!

– Nie ma co się denerwować bez powodu. – Vanessa uśmiechnęła się przymilnie. – Lepiej napijmy się kawy.

– Dziękuję – burknął Fletcher ze złością, biorąc kubek. – Wydaje mi się, że wypadła pani z roli.

– To znaczy?

– O ile zrozumiałem, pan – wskazał na Shepa – jest dobrym gliną, a pani – przesunął palec w kierunku Vanessy – złym. Jeśli wcześniej podzieliliście role, to przynajmniej trzymajcie się ich konsekwentnie…

– Dobrze, dobrze… – Van nie kontynuowała sporu, z radością obserwując, jak pochłania napój z niespodzianką. – A teraz proszę powiedzieć, czy to pan zabił Toscaniego?

– Tak, to ja. – Fletcher pokiwał głową. Rozległ się trzask włącznika dyktafonu. – Przecież uprzedzałem, żeby trzymał się z daleka od Dorothy! Mówiłem, że ten kozioł jest dla niej za stary! Ale nie chciał mnie słuchać – czyli sam jest sobie winien… Co tu się wyrabia, do diabła?

– Proszę nie zmieniać tematu – zażądała Van tonem ostrym jak brzytwa. – Proszę opowiedzieć wszystko szczegółowo.

Fletcher zaczął mleć językiem. Wypaplał wszystko: jak obmyślił cały plan, jak kupił u jakiegoś czarnoskórego nastolatka pistolet –

gówniany, sklecony byle jak gdzieś w Tajlandii, ale wystarczający dla jego celów, jak zorganizował sobie alibi – bardzo sprytnie, trzeba przyznać, jak zabił Toscaniego i zadbał o to, by nikt go nie zauważył, jak pozbył się pistoletu, i tak dalej, i tak dalej… Przez cały czas miał przy tym oczy pełne strachu i zdziwienia, a Shep patrzył na Vanessę z niemym zachwytem.

– Policja San Francisco dziękuje za współpracę i życzy miłego dnia – przyjaźnie uśmiechnęła się Van. – Szczere przyznanie się do winy zostanie uwzględnione przez sąd. Ej, chłopaki, zaprowadźcie go do celi! Myślę, że nie będzie się pan nadal upierał przy natychmiastowym zwolnieniu.

Vanessa już zbierała się do domu, gdy wezwano ją do gabinetu szefowej. Dziewczyna zmełła w ustach przekleństwo, wpychając Hubaksisa do kieszeni. Malutki dżinn uparł się, że nie opuści pomieszczenia inaczej, jak tylko z nią, i przez cały czas siedział w szufladzie. Najwyraźniej coś tam palił – Van doskonale czuła zapach dymu.

– Wzywała mnie pani? – zapytała Vanessa wsuwając głowę przez uchylone drzwi.

– Tak, Van, wejdź – kiwnęła głową Florence. Na biurku leżały dokumenty sprawy Fletchera. – Siadaj.

Vanessa usiadła. Komendantka uparcie nie odrywała wzroku od papierów i napięcie w gabinecie powoli rosło.

– Taaa… – westchnęła w końcu. – Wiesz, dzwoniła dziś do mnie moja daleka kuzynka, zdaje się, że szwagierka krewnego mojego teścia, czy coś w tym rodzaju… nieważne. Skarżyła się, że jej przyjaciółkę zahipnotyzował jakiś podstępny kosmita i od tego czasu nie jest już sobą. A przejawia się to tym, że nie chce się zadawać z nią – swoją najlepszą przyjaciółką. Według mnie, ta jej przyjaciółką, wręcz przeciwnie, wyzdrowiała, ale… co o tym sądzisz?

– A co mogę o tym sądzić? – Van wzruszyła ramionami. – Co to ma wspólnego z policją?

– Nie, oczywiście… – Zmarszczyła się Florence. – W ogóle to już się przyzwyczaiłam, bo ta wróżka co tydzień wyskakuje z czymś… takim. A to UFO jej ląduje w ogródku z tyłu domu, a to Yeti grzebie w śmietniku, a to wampir ofiaruje rękę i serce, a to leprechaun podrzuci garnek ze złotem… Ale chodzi o to, że tym razem wskazała konkretny adres, pod którym zamieszkuje „kosmita”. Twój adres! To ty wprowadziłaś się niedawno do domu Katzenjammera? Już kiedyś przyszła do nas w tej sprawie…

Vanessa szybko zamknęła usta, które już zaczęła otwierać, by wygłosić kolejną replikę. Paniusia-medium okazała się kuzynką jej szefowej. Jaki ten świat mały…

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała ostrożnie.

– Oczywiście, nic… – wzruszyła ramionami Florence. – Kto zwraca uwagi na takie skargi? Absolutnie nic, ale… Van, nie chcesz mi czegoś powiedzieć?

Vanessa powoli pokręciła głową.

– Dobrze… – Florence pokiwała głową, cały czas patrząc jej podejrzliwie w oczy. – W takim razie przejdźmy do bardziej namacalnych zagadnień. Jak ci się to udało?

– Ale co? – Van niewinnie zamrugała oczętami.

– Fletcher złożył na ciebie skargę. Utrzymuje, że naszpikowano go jakimś świństwem i zmuszono do złożenia obciążających zeznań. Możesz mieć kłopoty.

– Więc to tak? – Wargi Vanessy ścisnęły się w cieniutką kreskę. – A co wykazały badania?

– Kompletnie nic. Żadnych psychotropów. Znaleźli nawet szklankę whisky, którą wypił wczoraj, ale…

– Ale?

– Sama słyszałam jego przyznanie się do winy. Van, powiedz szczerze, jak ci się to udało? Hipnoza? Pranie mózgu? Według mnie ustanowiłaś rekord – przestępstwo bez żadnego punktu zaczepienia, sprawca wykryty w ciągu dwóch i pół godziny… Niczego takiego nie pamiętam, jak długo tu pracuję.

– Nie rozumiem, o co chodzi – odparła Vanessa sztywno.

– Dobrze. – Florence wzruszyła ramionami. – Ale musisz wiedzieć, że taśma z nagraniem nie jest dowodem w sądzie i każdy adwokat natychmiast udowodni, że to podróbka. Dlatego mam do ciebie tylko jedno pytanie.

– Tak?

– Czy możesz zmusić tego bydlaka, żeby jeszcze raz to powtórzył? Przed ławą przysięgłych?

– Jeśli to konieczne… – Van zrobiła buzię w ciup. – Przyzna się, aż miło.

Florence po raz pierwszy podniosła głowę i popatrzyła prosto na rozmówczynię. W oczach igrały jej wesołe iskierki.

– Może jednak powiesz? – zapytała z nadzieją w głosie. – Chociaż tyle: hipnoza czy serum?

– Serum… – westchnęła Van. – Ale jest zupełnie nieszkodliwe! Po prostu zmusza do mówienia prawdy.

– Zupełnie nieszkodliwe… – rozmarzyła się szefowa. – I badanie nic nie wykazało… Tak, widziałam takie rzeczy, ale potem nie trzeba było ich nawet szukać – na kilometr było widać, że gościa czymś nafaszerowano… A gdzie można zdobyć takie cudo?

Vanessa milczała.

– Dobrze, nie chcesz – nie mów, proszę bardzo! – rozzłościła się

Florence. – Mogłabyś chociaż dać jakąś wskazówkę. Mnie by się też przydało parę funtów…

– Wystarczy szczypta – nie wytrzymała Van.

– No to parę funtów wystarczyłoby na długo… – uśmiechnęła się rozmarzona Florence. – No cóż… Dobrze, Van, możesz iść, ale gdybyś miała ochotę się podzielić jakimiś informacjami, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Zapamiętam. – Van poważnie kiwnęła głową, wstając od stołu. Miała szczerą nadzieję, że szefowa nie słyszała, jak w kieszeni chichocze dżinn. Hubaksis zdecydowanie nie umiał siedzieć cicho.

Wychodząc z gabinetu Van żałowała, że nie odgryzła sobie języka. Przez cały czas krzyczała na przybyszów z przeszłości za to, że nie przestrzegają konspiracji, a teraz masz ci los! Sama wszystko wypaplała! Zachciało jej się pochwalić – wykryć przestępstwo w rekordowym czasie! A teraz na pewno rozejdą się plotki na jej temat, i nie wiadomo, do czego może to w końcu doprowadzić.

– Głupia, głupia, głupia… – mamrotała Vanessa, zła na siebie.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Van, w drodze z gabinetu szefowej do wyjścia, aż trzy razy zatrzymywali ją koledzy. Powód za każdym razem był ten sam – wszyscy strasznie chcieli poznać tajemnicę napoju odkrywającego prawdę, i jeśli to możliwe, zdobyć dla siebie chociaż odrobinę. Tak, plotki rozchodzą się po komisariacie bardzo szybko.

– Kreol…? – Vanessa otwarła puderniczkę, sadowiąc się za kierownicą.

– Co znowu, uczennico? – odburknął mag. – Co tym razem? Może jeszcze mam popracować jako kat, czy jednak sami wykonacie wyrok?!

– Na kim? – przestraszyła się Van.

– No, na tym… Dla którego zamawiałaś proszek prawdy. A propos, jak go zabiją? Ogień? Sznur? Topór? Wbiją na pal?

– W ogóle go nie zabiją, panie! – wtrącił się do rozmowy obrażony Hubaksis. – Wyobraź sobie, że po prostu wsadzą go do lochu na kilka lat!

– Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi? – westchnął Kreol. – Szalony świat, szaleni ludzie…

– Dość! – wybuchnęła Vanessa, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Powiedz lepiej, czy możesz przygotować mi jeszcze trochę takiego proszku?

– Jeszcze trochę? – zmrużył oczy Kreol. Vanessie wydawało się, że za chwilę wyskoczy z lusterka. – A ile konkretnie?

– No… kilka funtów. Na zapas.

– Nie mąć mi w głowie, uczennico – zmarszczył się mag. – Ile to jest funta?

– Nie funta, tylko funt. Mniej więcej tyle.

Vanessa na sekundę oderwała ręce od kierownicy i pokazała, jaką objętość miałby worek z dwoma funtami proszku. Kreol aż zakaszlał ze zdumienia.

– Żartujesz? – wychrypiał. – Po co ci tyle? Zamierzasz przesłuchać całą armię imperium?!

– Chce nim handlować, panie! – pisnął dżinn.

– Aaaa… To co innego! – Kreol momentalnie się uspokoił. – Za moich czasów też nim handlowali, to przydatny środek… Tylko nie sprzedawaj za tanio, to droga rzecz!

– Jak droga? – z niewinną miną zapytała Van.

– To zależy, kto go robił! – Z dumną miną uniósł palec Kreol. – Im silniejszy mag, tym lepszy proszek mu wychodzi. Nie jestem Mistrzem Eliksirów, ale wychodzi mi nieźle, myślę, że półtora miarki złota będzie w sam raz…

– Jak to?

– Przypomnij mi, jak się nazywa ta wasza miara?

– Funt, panie! – życzliwie oznajmił Hubaksis.

– Właśnie. Czyli, jeśli będzie go potrzebował – chociaż komu może być potrzebne aż tyle?! – funta proszku prawdy, będzie musiał zapłacić półtora funta złota.

– Ale masz wymagania! – fuknęła Van. – Zamierzasz handlować z arabskimi szejkami?

– Nikt nie będzie potrzebował aż tyle! – Wzruszył ramionami Kreol. – W Sumerze ten proszek zawsze podawano w małych dozach. Woreczek, taki jak ten, który ci posłałem, kosztuje dwie złote monety. Szczyptę można było kupić za srebrnika…

– Słuchaj, a czy nie masz nic przeciwko temu, że stosuję magię na oczach wszystkich? – próbowała uspokoić sama siebie Van. – Rozumiesz, u nas z tym nieco…

– Mam to w nosie! – rozzłościł się Kreol. – Magia to największa ze sztuk, uczennico! Nigdy nie powinnaś wstydzić się swoich umiejętności!

– A jeśli rozejdą się plotki? – Vanessa cały czas nie mogła pozbyć się wątpliwości. – FBI, na przykład…

– Jeśli ktoś spróbuje… – twardo przerwał Kreol – chociażby spróbuje zabronić mi praktykowania magii… lub choćby nakaże robić to w tajemnicy! Oooo… Czy macie prawo, które tego zabrania?

– Nie, to nie jest zakazane…

– W takim razie mam to w nosie! Imperator Hettia, rządzący jeszcze przed moim narodzeniem, spróbował kiedyś ograniczyć prawa magów… Wiesz, co z tego wynikło?

– Co?

– Jeden bardzo martwy imperator, ot co! – warknął Kreol. – Jeśli wasz król… jak ty go tam nazywasz? Zydent… prodent…?

– Prezydent.

– Jeśli ten twój prezydent spróbuje wydać takie prawo, waszą stolicę nawiedzi dżuma, szarańcza, huragany i trzęsienia ziemi! – pieklił się mag. – Jestem arcymagiem, nie pozwolę…

– A skąd wziąłeś taki zgrabny plecaczek? – przerwała dziewczyna mocno już znudzona jego groźbami. – Obrabowałeś lalę Barbie?

– Woreczek? Sługa uszył… chwilę… jaki znowu lalos?! – najeżył się Kreol z niewiadomego powodu. – To one jeszcze istnieją?

– Kto? Lalki? A co niby się z nimi mogło stać?

– Skąd tu się wzięły, panie?! – zaniepokoił się Hubaksis. – Wszystkie wytępiono, nieprawdaż?!

– Tak sądziłem… – zazgrzytał zębami mag. – Gdzie mieszkają, uczennico? Szykuj się niewolniku, czeka nas nowa bitwa… O Potężny Toporze, czyżby nie starczyło ci, że zaczynam wojnę z Lengiem?! Nie starczy, że napuściłeś na mnie Troya?! Na łono Tiamat, dlaczego jeszcze i to?!

– O czym wy mówicie? – Vanessa z trudem powstrzymała się od śmiechu. – Co macie przeciwko lalkom?!

Kreol i Hubaksis zaczęli mówić jednocześnie, ze wzburzeniem gapiąc się na Vanessę – jeden z kieszeni, drugi z lusterka. Już po pięciu minutach Van zrozumiała, że zaszło banalne nieporozumienie między przedstawicielami różnych kultur. Po kolejnych pięciu minutach wyjaśniła to Kreolowi i wytłumaczyła, jakie lalki miała na myśli.

Okazało się, że w starożytnym Sumerze, istniały lalki, kukiełki i inne zabawki, ale słowo „lalka” dla przedstawicieli różnych cywilizacji oznaczało coś zupełnie innego: „Lala”, a dokładniej, „lalos” było w starożytnej Grecji i Mezopotamii określeniem przedstawicieli siły nieczystej: pół demonów pół ludzi, którzy w swoim czasie bardzo dali się we znaki sławnemu Babilonowi. Stworzenia te rozpełzły się po całej ówczesnej Mezopotamii, bez ustanku zmieniając ludzi w sobie podobne stwory. Były czymś w rodzaju wampirów, tylko o znacznie bardziej odpychającym wyglądzie i nieco innych obyczajach. Nie piły krwi, wolały wysysać duszę. Jej miejsce zajmował jakiś eteryczny surogat, a człowiek zmieniał się w okropne stworzenie – lalosa. Zewnętrznie lalosy przypominały trędowatych w ostatnim stadium choroby. Skołowanej Vanessie mimowolnie przyszedł do głowy Laos, jako kraj zapełniony po brzegi lalosami.

Kreol był jeszcze całkiem młodym magiem, gdy krucjata przeciwko lalosom zakończyła się całkowitym zwycięstwem ludzi, lecz mimo to wziął udział w tej legendarnej wojnie i wyniósł z niej ogromną nienawiść do lalosów i tych, którzy nimi rządzili – związku potężnych nekromantów oraz Dagona, arcydemona Lengu, stojącego na czele tego stowarzyszenia. Hubaksis też widział kilka lalosów –

niewielkiej grupie udało się uniknąć zagłady.

– Nieśli śmierć i zniszczenie – ponuro zakończył opowieść Kreol. – Dwanaście miast zostało doszczętnie zniszczonych, a ich mieszkańcy zamienili się w stwory duszożerców. Wszyscy wojownicy i wszyscy magowie Sumeru walczyli z nimi, i w końcu zwyciężyliśmy, ale jakże drogo zapłaciliśmy za to zwycięstwo! Ostatni z tych stworów ukrywał się w katakumbach Babilonu – wyławialiśmy je po jednej sztuce…

– Najważniejsze podczas spotkania z lalosem – modlić się ze wszystkich sił – podzielił się swym doświadczeniem Hubaksis. – Lalos nie może zrobić krzywdy komuś, kto szczerze wierzy…

– Dlatego to dziesięciolecie było okresem swoistego oczyszczenia – skrzywił się mag. – W czasie wojny wiara w bogów bardzo się umocniła – tylko ona mogła uratować przed losem gorszym od śmierci.

– A to ci dopiero… – z trudem wykrztusiła Vanessa.

Niczego sobie – a ona myślała, że takie koszmary zdarzają się tylko w okropnych horrorach typu „Noc żywych trupów”. Co prawda, jeśli wierzyć Kreolowi, na długo przedtem miała miejsce krwawa wojna z wojskami Lengu, w porównaniu z którą potyczki z lalosami wyglądały jak konflikt izraelsko-palestyński przy drugiej wojnie światowej. A jeszcze wcześniej była wojna z jaszczuroludźmi. A jeszcze wcześniej… W końcu Van doszła do wniosku, że trafiła się jej wcale nie najgorsza epoka, bo przez ostatnie wieki ludzie bili się tylko z sobie podobnymi. Ze swoimi.

Obcy się skończyli.

Rozdział 15

Minęło kilka dni. Agnes Lee w końcu wróciła z Europy, ale natychmiast znowu umknęła, zabierając z sobą męża, mimo że ten stawiał opór. Bo wiecie, wypatrzyła w Bostonie zachwycający domeczek idealny dla dwóch osób i trzeba go jak najszybciej obejrzeć. Kiedy zdążyła się tym zająć i w czym bostońskie domki są lepsze od tych w San Francisco, pozostało zagadką. W domu Katzenjammera zatrzymała się tylko na chwilę, by wypytać Vanessę, co u niej słychać i zażądać, by w końcu określiła datę wesela. Dobrze, że Kreol tego nie słyszał… i dobrze, że Agnes go nie widziała. Sumeryjski mag wciąż robił się coraz młodszy. Wyglądał teraz na niewiele starszego od Vanessy – nawet najbardziej nieprzychylne oko nie dałoby mu więcej niż trzydzieści lat. Van zaczęła nawet się martwić, czy w końcu nie zmieni się w dziecko, ale Kreol uspokoił ją. Za dzień lub dwa proces odmładzania powinien zakończyć się ostatecznie.

W tym czasie zdarzyły się dwa drobne, ale nieprzyjemne incydenty. Pewnego razu pocztą przyszła niewielka przesyłka bez adresu zwrotnego. Na pierwszy rzut oka zupełnie niewinna. Dobrze się stało, że Vanessa nie rozpakowała jej sama, ale poczekała na swego domowego maga! Wystarczyło mu raz wciągnąć powietrze, żeby wyniuchać podstęp. Zamiast zabrać się do otwierania nieoczekiwanej przesyłki, Kreol najpierw obwiązał ją magicznym łańcuchem, a potem przebił nożem. Z wnętrza dobiegł dziki wrzask, a potem ze wszystkich otworów pociekło coś gęstego i czarnego. Kreol posępnie oznajmił, że jest to krew demona.

Za drugim razem było jeszcze gorzej. Tym razem alarm podniosło Oko Ureja – w środku nocy Kreola obudziły wysyłane przez nie sygnały. Van, oczywiście też się obudziła – zaspany Kreol potknął się o krzesło i zaczął głośno przeklinać. Zresztą prawie natychmiast się zamknął, gdy podszedł do okna i zobaczył, dlaczego „pilnujący pies” zaczął warczeć. Na trawniku pod oknem pluskało niewielkie jeziorko jakiejś srebrnej cieczy. Jezioro rosło w oczach, bulgotało i strasznie śmierdziało. Kreol nie tracił czasu na schodzenie po schodach – po prostu wyskoczył z pierwszego piętra przez okno. Potem zapachniało jeszcze gorzej – przez dziesięć minut mag smażył dziwną ciecz, dopóki nie została z niej tylko wypalona plama.

To *coś* Kreol nazwał Rtęciowym Przekleństwem i zaklinał się, że jest to ulubiona zabawka Troya. Demona w pudełku najprawdopodobniej też on przysłał. Wyglądało na to, że stary wróg pierwszy odszukał Kreola, ale na razie nie zdecydował się na otwarty atak – obwąchuje przeciwnika tak, jak robił to kiedyś. Kreol nie mógł się powstrzymać i nie pochwalić tym, jak mocną ochroną otoczył dom

– tak, gdyby nie ona, Troy dawno już uderzyłby czymś poważniejszym. Na przykład, tornadem albo Niewidoczną Śmiercią… No, a na razie należy oczekiwać jeszcze paru drobnych złośliwości, a potem… potem Troy może tego gorzko pożałować. Wszystko zależy od tego, jaką siłą dysponuje teraz, w dwudziestym pierwszym wieku. Kreol poważnie się zaniepokoił – do tej pory nie udało mu się odnaleźć starego wroga i nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób przez ten czas zmienił się Troy i do czego szykuje się w tej nowej bitwie.

Vanessa czuła się winna wobec Kreola. Rzecz w tym, że strasznie brakowało jej czasu na naukę – zbyt wiele pochłaniała służba. Te nieliczne godziny, które udało jej się wykroić z napiętego grafiku, dawały tyle korzyści, co umarłemu kadzidło, a Kreol nie omieszkał wytykać tego za każdym razem. Nie przestawał powtarzać, że magia jest trudną sztuką i trzeba jej poświęcić tyle czasu, ile ma się do dyspozycji. Czyli każdą chwilę.

Każdego ranka Vanessa z poczuciem winy wzruszała ramionami i wyruszała do komisariatu. Kreol obrażał się i szedł, a to do piwnicy, a to na strych, a to na balkon. Na balkonie zainstalował, nie wiadomo po co, koło sterowe jak na statku i jeszcze jakieś inne, nieznane przedmioty. W piwnicy i na strychu też coś majstrował – szykował coś tajemniczego i niepojętego, ale monumentalnego, bo znowu przestał spać – za to pochłaniał litrami kawę z proszkiem odpędzającym senność. Vanessa wielokrotnie pytała, co takiego szykuje, ale za każdym razem odmawiał wyjaśnień i tylko mamrotał, że wszystko idzie zgodnie z planem.

A dzisiaj sam ją zaprosił. Vanessa zeszła do piwnicy po raz pierwszy od tygodnia i z wrażenia aż krzyknęła.

Piwnicy nie było. A mówiąc ściśle: była, ale przypominała wnętrze łodzi podwodnej – wszędzie dookoła był tylko metal. Wcześniej była murowana. Do tego metal, który teraz pokrywał wszystkie ściany, wyglądał jakoś dziwnie – miał niezwykły kolor odbijający świetlne refleksy. W dotyku przypominał zamarznięty aksamit.

Piwnica zmieniła też kształt – zamiast wielu komórek powstało tylko jedno pomieszczenie, ale za to idealnie okrągłe i nawet dość przytulne. Na samym środku był wycięty krąg ze skomplikowanymi wzorami, a w centrum leżał śnieżnobiały kamień z wgłębieniem na szczycie. Kreol klęczał obok niego na jednym kolanie i starannie nacinał metal wokół kamienia. Okazało się, że magiczną laską można posługiwać się także do spawania. Wierny Hubaksis siedział mu na ramieniu i wygłaszał zjadliwe komentarze. Butt-Krillach też był tutaj – wtykał w sufit jakieś płaskie gwoździki.

– Coś ty tu zmajstrował? – zapytała oszołomiona Van. – Jak to się nazywa?

– Kocebu – odpowiedział jednym słowem Kreol, chytrze spoglądając na nią zmrużonymi oczami. – Nieźle, co? To właśnie jest czwarty punkt mojego planu – własny kocebu!

– Kreolu, chyba zapomniałeś, z kim rozmawiasz – cierpliwie przypomniała dziewczyna. – Jestem Vanessa, pamiętasz? Zwyczajna, amerykańska dziewczyna. Nie mieszkałam w starożytnym Sumerze, nie zawierałam umów z demonami i nie walczyłam ze strasznymi lalosami. Co to jest kocebu?

– Kocebu, nie kocebu – z niezadowoleniem w głosie poprawił Kreol. – Akcent na drugiej sylabie.

– Rozumiem. – Van w zamyśleniu pokiwała głową. – Ale mimo wszystko, co to takiego?

– To… to taki artefakt. Latający artefakt. Bardzo duży, latający artefakt!

– Jak duży? – zapytała Vanessa nieufnie.

– Wystarczająco duży, żeby podnieść ten dom – uśmiechnął się mag.

– Poczekaj chwilę… – Vanessa podniosła rękę. Nie, jednak Kreol jest pełen niespodzianek. Sądziła, że zna go już mniej więcej dobrze, ale on nie przestawał jej zadziwiać. – Zamierzasz zrobić latający dom?!

– Tak w ogóle, to już zrobiłem. – Kreol rozciągnął usta w uśmiechu. – Prawie. Zostało tylko kilka drobiazgów… Znudziło mi się być przykutym do ziemi, uczennico. Chcę latać!

Vanessa aż usiadła na podłodze. Nie miała siły mówić na stojąco.

– I jak to wszystko… no… jest zbudowane?

– Wytopiłem ogromny dysk – z dumą zaczął opowiadać Kreol. – Z czarnego brązu, na latające artefakty najlepiej nadaje się ten stop, jest mocny i lekki. Dokonałem transmutacji całej ziemi wokół domu – została tylko cienka warstwa na wierzchu, poniżej jest lity brąz. Piwnicę też prawie w całości zalałem metalem – inaczej rozsypałaby się podczas lotu. Po bokach ustawiłem magiczne kołki – tworzą pole ochronne. Pamiętasz, pytałaś o nie.

Vanessa pamiętała. Kilka dni temu odkryła koło płotu dziwne pałki, ale wtedy Kreol nie chciał wyjaśnić, co to takiego. Powiedział tylko, że są mu potrzebne. Teraz przypomniała sobie, że były zrobione z tego samego dziwnego metalu co i piwnica.

– Teoretycznie, można wystartować choćby jutro. Tutaj zostanie tylko solidna, okrągła dziura…

Hubaksis cicho zachichotał, a Butt-Krillach uśmiechnął się uprzejmie.

– Powiedz no, geniuszu, czy zastanowiłeś się, co powiedzą ludzie, gdy zobaczą latający dom? – sucho zapytała Van. – Nie boisz się, że zaczną nas ostrzeliwać z helikopterów?

– Właśnie dlatego ustawiłem obktameron – spokojnie powiedział Kreol. – Widzisz?

– A cóż to takiego? – Najwyraźniej nazwał obktameronem biały kamień.

– Generator niewidzialności. Jednostronny – wewnątrz dom zostanie taki, jak dotąd, a z zewnątrz będzie niewidoczny.

Vanessa powoli pokiwała głową. Plan Kreola stopniowo rozwijał się przed nią w całej krasie. Co więcej, ożyło jej marzenie z dzieciństwa! Latający dom – o czymś takim Van nie czytała nawet w bajkach (o „Czarnoksiężniku z krainy Oz" chwilowo nie pamiętała). Co prawda było jedno „ale". Niezbyt ważne, ale zawsze…

– Chcesz być włóczęgą? – niepewnie zapytała Van. – Jak Cyganie…? Nie, to oczywiście super, ale mimo wszystko…

– Po pierwsze, potrzebuję tego nie dla zabawy – tylko patrzeć jak dopadnie mnie wojna! Po drugie, możemy nigdzie nie lecieć – rozsądnie odpowiedział Kreol. – Jak widzisz, ten maleńki zameczek stoi tam, gdzie stał i, jeśli tak bardzo tego chcesz, może tu zostać. Mam nadzieję, że strata części piwnicy nie zmartwi cię za bardzo? Po trzecie, nikt nas nie zmusza, byśmy zawsze prowadzili taki tryb życia – przynajmniej ja nie mam takiego zamiaru. Zrealizuję plan… mam nadzieję, że zrealizuję… Zdaje się, że nie protestowałaś, gdy podróżowaliśmy po Lengu? O ile pamiętam, sama się wprosiłaś.

– A jeśli nie uda nam się tu wrócić? – Van popatrzyła na niego rozkojarzonym wzrokiem.

– Dokładnie tutaj na pewno się nie uda – zgodził się mag. – Ale co takiego atrakcyjnego jest w tym akurat punkcie? Możemy zatrzymać się o milę stąd, na miejscu jakiegoś zburzonego domu.

– A co powiedzą ludzie, gdy zobaczą dom, który pojawił się w ciągu jednej nocy, do tego stojący na ogromnej, brązowej monecie? – sceptycznie zapytała Van.

– To akurat zupełnie mnie nie martwi, są po temu trzy powody. Pierwszy – dom może pozostać niewidoczny. Właściwa osoba znajdzie drzwi. Drugi powód – kocebu można pogrążyć w ziemi i będzie się wydawało, że dom zawsze tu stał…

– Aha, a jakże! – Vanessa postukała się palcem w czoło. – Kogo chcesz w ten sposób nabrać?

– Uczennico… – Kreol pokiwał głową z politowaniem. – Gdybyś zobaczyła dom, którego jeszcze wczoraj nie było, co byś pomyślała?

Vanessa zastanowiła się. Potem odpowiedziała bez przekonania:

– Pewnie… Prawdopodobnie pomyślę coś takiego: dziwne, że wcześniej go nie zauważyłam.

– Bardzo dobrze, uczennico, idealnie – rzekł Kreol z aprobatą. – Dziewięć osób na dziesięć tak właśnie pomyśli. A nawet jeśli nie – kto zgadnie, co się naprawdę zdarzyło? Nie, ludziom znacznie łatwiej jest

uwierzyć we własny brak spostrzegawczości niż w rzeczy niezwykle i nadprzyrodzone. Tak było za moich czasów, tak jest i teraz.

– Dobrze, przekonałeś mnie. A jaki jest trzeci powód?

– Trzeci… – Kreol uśmiechnął się z ironią. – Trzecim powodem jest to, że mam w nosie co sobie pomyśli pospólstwo!

– Van, przecież to jest super! – pisnął Hubaksis. – Jeszcze w tamtych czasach pan próbował zrobić kocebu, ale nie miał dość sił na Szachszanor – był za duży. A potem zajęliśmy się projektem „Tymczasowa Śmierć"…

– Cicho, niewolniku… – leniwie rozkazał mag.

– I Butt będzie mógł wrócić do domu! – Dżinn nie chciał się uspokoić.

– Jak to? – nie zrozumiała Van, wspominając, dlaczego Ten-Który-Otwiera-Drzwi-Nogą nie może wrócić do swojego wymiaru. – W czym może tu pomóc twoje kocebu?

– Ha! – Kreol uniósł palec. – Całkiem zapomniałem wspomnieć o jednej bardzo przydatnej właściwości kocebu. Tej właściwości, która pomoże mi w wojnie. Pamiętasz Kamień Wrót?

Wyjął z kieszeni dysk z gwiazdą, który podarował mu Yog-Sothoth i pozwolił Vanessie jeszcze raz go obejrzeć.

– Stworzyłem związek między tym dyskiem a tym. – Mag postukał obcasem w podłogę. – Teraz mogę przemieszczać się między wymiarami razem z moim domem!

– Świetnie! – zachwyciła się Van.

– Właśnie tak. Istnieje tyle światów… tyle światów, a ja byłem tylko w ośmiu… a może jednak w dziewięciu?

– W dziewięciu, panie. Pamiętasz Ejszę?

– Tak, w dziewięciu. Teraz rozumiesz jak Butt-Krillach może wrócić do domu, uczennico?

– Na razie nie bardzo.

– No, przecież to proste – zniecierpliwił się Kreol. – Nie może opuścić naszego wymiaru dlatego, że jest związany z pentagramem na strychu. Jednak jeśli pentagram wyruszy w podróż razem z nami, wszystko się zmieni! Na miejscu wytniemy kawałek podłogi i zostawimy tam.

– Jestem bardzo wdzięczny, panie Kreolu – skłonił się demon.

– Wystarczy – skrzywił się mag. – Jesteś z Kvetzol-Inn?

– Słusznie!

– Pewnie, że słusznie! – fuknął Kreol. – W takich sprawach się nie mylę!

Vanessa obeszła pokój dookoła. Teraz rozumiała, po co było potrzebne koło sterowe na balkonie. – Kreol zamierzał sterować domem tak, jak zwykłym okrętem.

– Oko Ureja zainstaluję na bocianim gnieździe – rozmyślał na głos

Kreol. – Nie może się lenić, nie przynosząc żadnej korzyści… Ducha postawię za kołem sterowym – specjalnie zrobiłem takie, by mógł go używać… Na strychu umieszczę bojowe kryształy, i to jak się da najwięcej… Jeden już tam ulokowałem…

– A Hubert wie o tym wszystkim? – zaniepokoiła się Van.

– Jest z tego powodu szczęśliwy! – uspokoił ją Hubaksis. – To najszczęśliwszy skrzat na świecie.

– W takim razie, wszystko w porządku.

– Oczywiście, że w porządku, uczennico! Ha! Jeśli nie mogę zostać Pierwszym Magiem w tym świecie, zostanę nim w innym! Mój pierwszy nauczyciel Hałaj Dżi Besz zawsze powtarzał, że nie zostaje się dobrym magiem, siedząc na miejscu. A dla prawdziwego maga nie ma większego szczęścia, niż zwiększyć jeszcze trochę swoją moc…

– A dlaczego nie możesz tutaj zostać Pierwszym Magiem? – obraziła się Vanessa.

– A kim by tutaj rządził? – fuknął Hubaksis.

– Niestety, ma rację… – skrzywił się Kreol. – Co za przyjemność być Pierwszym, jeśli podlega ci tylko żałosna garstka dyletantów? Załóżmy, że założyłbym swoją Gildię. Ile dziesięcioleci musiałbym czekać, zanim napełniłaby się mistrzami i czeladnikami? Wasz świat jest prawie pusty – prawdziwych magów można w nim policzyć na palcach… Prawdę mówiąc, nie zamierzam ogłaszać się Pierwszym Magiem! Mam teraz na głowie ważniejsze sprawy – dokończę kocebu i natychmiast przystępuję do piątego punktu planu… W naszym świecie, niestety, nie da się go wypełnić. A muszę się spieszyć! Troy żyje, Cthulhu się budzi… Nie, muszę stąd odejść…

– A dokąd to?

– Najpierw muszę zajrzeć do pewnej starej znajomej. Wypytać o nowiny, zasięgnąć rady, no i po prostu dowiedzieć się, czy nie zmieniła zdania… A ty jesteś ze mną czy nie? – zapytał mag, nie mogąc ukryć lęku. Najwyraźniej nie chciał stracić jedynej uczennicy. – Dopiero zaczęłaś naukę. I w ogóle jesteś mi potrzebna.

– Pomyślę nad tym… – wymijająco odpowiedziała Vanessa.

Ostatnie zdanie brzmiało bardzo pochlebnie, ale ton wyraźnie wskazywał, że Kreol nie miał na myśli nic romantycznego. Czysty pragmatyzm, nic więcej – Vanessa mimo wszystko mogła okazać się przydatna w jego krucjacie. Mówiąc szczerze, do tej pory nie rozumiała, jak Kreol zamierza zabrać się do tego, wyglądającego na niewykonalne, zadania – zniszczenia całego świata. Bo jak można zrobić coś takiego? Gdy pytała wprost, Kreol tylko chrząkał i mówił wymijająco, że na wszystko znajdzie się sposób… Jako przykład przytaczał biblijną opowieść o Dawidzie i Goliacie – czasem wystarczy jedno celne uderzenie, żeby zwalić z nóg potężnego giganta. A jeśli jest to kolos na glinianych nogach, taki jak Leng… Nic więcej Van nie

mogła z niego wydobyć i w końcu dała mu spokój.

Wychodząc z domu, Vanessa potupała w ziemię. Rzeczywiście, gleba zrobiła się twardsza. Wykopała w niej dołek czubkiem buta – spod kilkucentymetrowej warstwy prześwitywał metal. Kreol wykonał fantastyczną pracę, zmieniając w czarny brąz tony ziemi i kamieni.

Po drodze wstąpiła po Shepa. Wczoraj rozbił samochód, a drugiego nie miał.

Przy okazji Kreol zaproponował przerobić toyotę tak, by mogła latać w powietrzu, ale Vanessa odmówiła. Na komendzie i tak dziwnie na nią patrzyli – wszyscy starali się zgadnąć, skąd wzięła proszek prawdy. Ostatnio zbyt dużo dziwnych rzeczy działo wokół prostej amerykańskiej dziewczyny. Rzeczywiście, niegłupio byłoby gdzieś się przeprowadzić, bo może się nią w końcu naprawdę zainteresować FBI…

– Cześć, Van! – Machnął ręką jej partner. Czekał już na ganku. – Jak leci?

– Powiedz mi, Shep, czy podoba ci się praca w policji? – zapytała Van w zamyśleniu, gdy wsiadał do samochodu.

– Zwyczajna praca, nie gorsza niż każda inna. – Pytanie to wcale nie zdziwiło Shepa. – A o co chodzi?

– Być może niedługo się zwolnię…

– Czemu tak nagle? Znalazłaś coś lepszego?

– Nie… Wybieram się w podróż.

– Poślubną? – zażartował Shep.

– A idźże ty! – parsknęła.

– A poważnie?

– Daleko, Shep… Bardzo daleko…

– Do Chin? Albo do Australii? Byliśmy z żoną w zeszłym roku w Australii…

– I jak było?

– Gorąco. Morze. Kangury… – Shep wzruszył ramionami. – Tak samo jak tutaj…

Dzień minął tak samo jak wszystkie poprzednie. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy zatrzeszczał policyjny radiotelefon.

– Van, jesteś tam? – rozległ się przytłumiony głos komisarz Florence. – Podjedź z partnerem do starego magazynu koło przystani, pamiętasz, mieliśmy wczoraj informację, że leży tam jakiś przemyt. Sprawdź to, okej? Dacie radę we dwójkę?

– A co, może być niebezpiecznie? – wyburczała niezadowolona Vanessa. – Szefie, dzień pracy już się skończył! Odstawię Shepa do domu i znikam!

– Nie szkodzi, mały spacer przed snem nie zaszkodzi – w głosie szefowej pojawiły się metaliczne nuty.

– Powinni tam pojechać Rob i Clif! Jeszcze wczoraj, zresztą…

– Nie dali rady, mają po uszy roboty z „koksem”. Dobrze już, Van, szybciutko podjedziecie, sprawdzicie i wracajcie. Nie będzie żadnych problemów – myślałby kto, trochę szmatek z Hongkongu… A w ogóle to rozkaz, a o rozkazach się nie dyskutuje! Bez odbioru!

– Rozkaz… – żachnęła się Van, sprawdziwszy najpierw, że przełożona się wyłączyła. – Wypchaj się swoimi rozkazami! Pozamykam moje sprawy i zwalniam się! Na łono Tiamat!

Ulubione przekleństwo Kreola w jej ustach zabrzmiało jakoś nienaturalnie i nie przyniosło ulgi. Rzuciła szybkie spojrzenie na ostentacyjnie odwróconego tyłem Shepa i postanowiła wrócić do dobrego starego amerykańskiego słownictwa.

Adres magazynu Vanessa pamiętała. Sam magazyn też – w zeszłym roku była z nim związana sprawa bandy fałszerzy pieniędzy. Ta sterta cegieł świetnie nadawała się dla wszelkich wyrzutków – od czasu, gdy ten ogromny labirynt przeszedł na własność miasta, nie udało się go wykorzystać w żadnym pożytecznym celu. Oczywiście, wykorzystywał to na całego element przestępczy – przejażdżki do tej części miasta stały się już tradycją.

– To co, wezwiemy wsparcie? – zapytał Shep dla zasady, wysiadając z samochodu.

– Sami damy radę – zdecydowała Van. Jakże pogromczymi demonów miałaby się bać jakichś żałosnych przemytników?

– Jak chcesz… – Jej partner leniwie wzruszył ramionami.

Zostawili samochód za rogiem i tak ostrożnie ruszyli w stronę bramy. A dokładniej, w stronę miejsca, gdzie kiedyś była brama – to, co obecnie służyło do zamykania magazynu, można by nazwać bramą tylko przy bardzo dużej dozie dobrej woli.

– Van, chciałbym z tobą porozmawiać… – niezdecydowanie zaczął Shep po drodze. – Widzisz, wiele razy zauważałem różne… dziwactwa. Serum prawdy, ten dziwny wideotelefon… Twój ekspert… Kreol… chciałem sprawdzić go naszymi kanałami, ale nic nie znalazłem. Wygląda tak, jakby pojawił się znikąd.

– Śledzisz mnie? – Vanessa z gniewem odwróciła się w jego stronę. – Lepiej tego nie rób, Shep!

– Nie, nie rozumiesz, ja po prostu… I Florence też mnie poprosiła, żebym ci się przyjrzał. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, niepokoimy się…

Zamek, na który bramę zamknięto, też był lichy – z łatwością dał się otworzyć pierwszym z policyjnego zestawu wytrychów. Wewnątrz było bardzo cicho. „Brama”, przez którą weszli, nie była głównym wejściem, lecz tylnym wejściem do pakamery, dostali się więc nie do głównego pomieszczenia, a do korytarza na zapleczu. Światło słoneczne z trudem przebijało się przez brudne okna, dookoła wisiały

pajęczyny i unosił się zapach pleśni. Idealne miejsce, żeby coś schować… Cokolwiek.

Van gestem nakazała partnerowi milczenie, ostrożnie wyglądając za róg.

Na zakurzonym fotelu siedział niewysoki chłopak z obrzynem na kolanach. Z zadowoleniem przeglądał czasopismo, którego błyszczącą okładkę zdobiło praktycznie nagie dziewczę z nieludzko ogromnymi piersiami. No cóż, wiadomo, że na warcie nie będzie czytał „Przeminęło z wiatrem".

– No już, szybciutko ręce do góry! – cicho powiedziała Van, robiąc krok w jego stronę.

Chłopak ocknął się, a gdy dostrzegł skierowany w swoją stronę policyjny pistolet, z wrażenia upuścił gazetę. Na szczęście, nie zaczął robić głupot i posłusznie poniósł ręce, nawet nie próbując sięgnąć po broń.

– Shep, zabierz mu tę zabawkę – wskazała głową Vanessa.

Partner zabrał strażnikowi obrzyn, rutynowymi gestami obmacał kieszenie, założył mu kajdanki, a na zakończenie zrobił z chustki do nosa coś w rodzaju knebla i wepchnął mu do ust.

– Policja San Francisco. Ktoś tam jest? – cicho zapytała Van, nachylając się nisko nad wystraszonym chłopakiem.

Nerwowo pokiwał głową i wymamrotał coś niezrozumiałego, wskazując odległy koniec korytarza. Tam, o ile Van się orientowała, znajdowało się największe pomieszczenie w magazynie.

– Dobra. Leż tutaj i nie waż się drgnąć, rozumiesz?

Więzień znowu posłusznie pokiwał głową, pokazując, że świetnie zrozumiał.

Jeszcze ostrożniej Van i Shep przekradli się korytarzem i zobaczyli to, co działo się w magazynie. A dokładniej, zobaczyła to Van – Shep stał z tyłu zżerany przez ciekawość.

– I co? – wyszeptał.

– Jacyś ludzie – odgryzła się partnerka równie cicho. – Przemytnicy. Co najmniej piętnaście osób albo i więcej… Jakieś skrzynki, pudełka… Mają broń.

– Uzbrojone pudełka? – mruknął Shep ironicznie.

– Zamknij się głupku! – objechała go Van. W pracy traciła poczucie humoru. – A Florence mówiła, że nie będzie kłopotów…

– Może wezwiemy wsparcie? – zaproponował partner.

– Można… Tylko że radiotelefon zostawiłam w samochodzie.

Vanessa wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy.

– Cholera… nie ma zasięgu – szepnęła.

– Zobacz, z tego okna widać twoją toyotę, pobiegniemy szybko, wezwiemy pomoc? – zaproponował z lekka wystraszony Shep.

– Do diabła z nimi, sami damy radę – odmówiła Vanessa. Nigdy

nie była strachliwa. – Czyli tak: wyskakujemy szybko i od razu strzelamy w powietrze. Potem ja na nich nawrzeszczę, a ty odczytasz im ich prawa. I żeby ci czasem głos nie zadrżał! Jeśli poczują, że się boisz – przepadłeś… Zrozumiałeś?

– Aha… – Shep z wysiłkiem przełknął ślinę.

– No to ruszamy…

I wtedy na zewnątrz rozległ się wybuch. Vanessa szybko jak błyskawica rzuciła się w stronę okna i zdążyła zobaczyć, jak jej ulubiona toyota rozlatuje się w kawałki, a na jej miejscu rozrasta się ognista kula. Z ognia wyleciała potworna figura, podobna do poskręcanej jaszczurki wielkości człowieka. Potwór był pokryty łuską i śluzem, jego skórę pokrywała warstwa migoczącego ognia, a w ogromnych oczach buzowały najprawdziwsze płomienie. Stwór zawył, wydając z siebie nieludzkie dźwięki, napotkał wzrok Vanessy i skoczył wprost na nią. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Nanghsibu był zły. Zarówno jego, jak i jego rodaka Ozoga, wezwał do tego żałosnego świata jeden z tych nędznych ludzików – niejaki Troy. Oczywiście, początkowo k'ule chcieli rozerwać czarnoksiężnika, ale ten okazał się niezłym demonologiem i zmusił ich, by poddali się jego woli. Dobrze chociaż, że po wykonaniu rozkazu mogli wrócić do Lengu.

K'ule to ogniste uttuku, demony żyjące w ognistych rzekach Lengu. Należą do średniej klasy nadzorców i nie potrafią nic więcej poza rozrywaniem na kawałki tych chodzących kawałków mięsa, zwących siebie ludźmi. Ich żywiołem jest ogień, wszystko, czego dotknie k'ul natychmiast się zapala. Ale tylko wtedy, gdy demon jest w swej cielesnej postaci – w eterycznej formie k'ul pozostaje niewidzialny i niewyczuwalny, ale sam też nie może wyrządzić nikomu krzywdy.

Kreol, potencjalna ofiara Nanghsibu i Ozoga okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Już trzy dni obserwowali jego siedzibę, rozsądnie pozostając w eterycznej postaci. Mag otulił swój dom tak szczelną warstwą zaklęć, że do środka nie można było się dostać w żaden sposób. Demony nawet nie próbowały – życie było im miłe.

Najpierw po prostu czekały, aż ofiara opuści chronione terytorium. Potem czekanie znudziło im się i zaczęły szukać sposobu, który pozwoliłby im przeniknąć do środka. I w końcu wymyśliły pewien plan.

Przez te dni ogniste uttuku zrozumiały, że kobieta Kreola (stworzenie rodzaju żeńskiego, żyjące w jednym domu ze stworzeniem rodzaju męskiego, według k'uli, mogło mieć tylko jeden status) codziennie wsiada do ohydnego, żelaznego powozu i gdzieś jedzie. A potem wraca. Demony postanowiły, że Nanghsibu będzie ją śledził,

poczeka na stosowny moment, schowa się w pojeździe, przeniknie na zamknięte terytorium i ukryje się tam. Następnego dnia to samo zrobi Ozog i razem zaatakują Kreola. W powozie oprócz demonów znajdować się będzie także kobieta Kreola, więc system ochronny go nie zatrzyma. Zrobiliby to od razu we dwójkę, ale w stanie eterycznym demony nie mogły przeniknąć do domu maga nawet wewnątrz tego powozu, a w formie cielesnej były za duże.

Właśnie teraz Nanghsibu starał się schować wewnątrz żelaznego pojazdu. K'ulowi wydawało się, że najlepiej do tego celu nadaje się pudło umieszczone z przodu. Co prawda, leżało tam jakieś ohydne żelastwo, które trzeba było wyrzucić. Ku wielkiemu zaskoczeniu Nanghsibu, okazało się to znacznie trudniejsze niż się spodziewał. W końcu dotarł do żelaznej butli, napełnionej brzydko pachnącą cieczą.

Skąd nieszczęsny demon mógł wiedzieć, że ten śmierdzący mocz shoggotów tak łatwo się zapala?! Jak niby miał przewidzieć, że nie tylko łatwo się zapala, ale też bardzo szybko płonie, wywołując koszmarny hałas i tworząc przy tym ogromną, ognistą kulę?! Nanghsibu nie miał nic przeciwko ogniowi, lubił ogień, lecz fala uderzeniowa bardzo boleśnie uderzyła nim o ziemię, a odłamki rozerwanego żelaznego pojazdu mocno go poraniły.

Nanghsibu uporał się z bólem (zajęło mu to dokładnie jedną sekundę) i zobaczył za szybą przestraszoną twarz kobiety Kreola. To ona była winna temu, że tak go boli, a skórę ma pełną dziurek!

Zobaczywszy lecącego ku niej demona, Vanessa wykonała najbardziej imponujący skok w życiu, który pozwolił jej umknąć przed potwornymi pazurami. Otarła się o nią ognista skóra uttuku, nie czyniąc jej krzywdy. Zdążyła jeszcze poczuć, jak wstrętnie śmierdzi pysk Nanghsibu. Jej magiczna Osobista Ochrona rozsypała się.

Zobaczywszy Nanghsibu, Shep zawył dziko i zaczął strzelać, nerwowo naciskając spust. Kilka kul dosięgło celu, wyrywając w pokrytych śluzem łuskach k'ula dziury, z których wylewała się czarna ciecz, przypominająca ropę, ale demon nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Ryknął groźnie na Shepa, ale natychmiast odwrócił się w drugą stronę, gdzie stała Vanessa. Postanowił, że najpierw zabije ją.

Dziewczyna także wyjęła pistolet, ale gdy zauważyła, że nawet dziura w czole zostawiona przez jedną z kul Shepa nie niepokoi demona, rozmyśliła się. Nanghsibu wyszczerzył się, roztaczając wokół duszący smród i energicznie uniósł całe ciało w powietrze, lecąc prosto na Vanessę. Dziewczyna nerwowo łyknęła ślinę, rozumiejąc, że nie zdąży umknąć.

Dalsze zdarzenia rozegrały się w ciągu jednej, jedynej sekundy. Gdy k'ul pokonywał kilka metrów dzielących go od policjantki, ta zdążyła przypomnieć sobie o pierścionku podarowanym przez Kreola,

nacisnąć, tak jak ją nauczył, palcem malutką wypukłość i wykrzyknąć w myślach słowo „Piorun!”. Prawdę mówiąc, myśli brzmiały tak: „Piorun, piorun, piorun, piorun, pioru-uuuuuun!!!”.

Nanghsibu zdziwił się niepomiernie. Ofiara jakimś sposobem wystrzeliła w jego stronę całe mnóstwo potężnych ładunków elektrycznych. Zdziwienie było jego ostatnim życiowym doświadczeniem – pięć piorunów uderzających niemal jednocześnie, zmieniło go w stertę zwęglonego mięsa. Co prawda, zdążył jeszcze rzucić Vanessą o ścianę, niszcząc jeszcze jedną Ochronę Osobistą. Dobrze, że Kreol zadbał o swą uczennicę, otaczając ją aż trzema warstwami.

Vanessa z trudem podniosła się na nogi. Shep z przerażeniem patrzył na to, co zostało z demona i na nią. Niepewnie podniósł pistolet, w którym została jedna, jedyna kula – pozostałe tkwiły w trupie Nanghsibu i w pobliskich ścianach.

– Van, co… – powiedział z trudem.

– Daj mi spokój, nie mam do ciebie głowy! – odpędziła go Vanessa, wyjmując z kieszeni puderniczkę. – Kreol, mamy poważny problem! Nie wiem, co to by…

Przerwało jej uderzenie w głowę. Podczas krótkiej, ale pełnej akcji walki z demonem, policjanci zapomnieli zupełnie, że dosłownie o kilka kroków od nich znajduje się cała banda uzbrojonych bandytów, którzy po prostu nie mogli nie usłyszeć całego tego hałasu – wybuchu samochodu, brzęku rozbijanego szkła, wycia demona, wystrzałów Shepa i bynajmniej nie bezgłośnego pioruna. Więc teraz…

Uderzenie nie zrobiło Van krzywdy – została jej jeszcze jedna Ochrona Osobista, ale mimo to nie była w stanie utrzymać się na nogach – mężczyzna, który zadał cios, wyglądał jak Herkules. Puderniczka wypadła jej z ręki i natychmiast zmieniła się w okruchy, żałośnie trzeszczące pod butami drugiego członka bandy, Vanessa z przerażeniem pomyślała, że teraz, gdy wbudowany w artefakt nadajnik został zniszczony, Kreol nie będzie mógł jej odnaleźć. A to znaczy, że o pomocy można zapomnieć…

Zanim siłacz, wyraźnie zaskoczony, że nie straciła przytomności, uderzył ją po raz kolejny, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Shep strzela ostatnią kulą prosto w pierś jednego z bandytów. Ten pada trupem, a drugi, stojący z nim ramię w ramię, wściekle coś krzyczy, odruchowo starając się go podtrzymać. Potem dziewczyna straciła przytomność.

Przebudzenie było powolne i męczące. Mdliło ją, miała zawroty głowy, ręce nie chciały jej słuchać. Przyczyny nie trzeba było długo szukać – była mocno przywiązana do krzesła. Z prawej strony Vanessa dostrzegła Shepa, smętnie patrzącego na nią z takiego samego krzesła. Był związany jeszcze mocniej.

Van obrzuciła wzrokiem miejsce, w którym się znaleźli. Było to pomieszczenie, do którego z taką pewnością siebie zamierzała wpaść i wszystkich aresztować – wzdłuż ścian piętrzyły się skrzynki i pudła, przemytnicy w pośpiechu ładowali je do niewielkich busików.

– Obudziłaś się [piiip…]? – chamsko zapytał jeden z nich, potężny jak czołg, z ciemnymi włosami obciętymi na jeża i tatuażem na policzku. Był to jakiś skomplikowany zygzak, nieco przypominający arabski napis. Vanessa poznała mężczyznę od razu – to on krzyczał, gdy Shep postrzelił jednego z bandytów. – No co, [piiip…], porozmawiamy, póki jest czas…

– Szefie, ładować roleksy?! – krzyknął niewysoki chłopak. – Niedużo ich zostało…

– Powiedziałem, ładować wszystko! – wrzasnął na niego. – Ty, [piiip…], czego nie rozumiesz [piiip…], co? Mętownia siedzi nam na ogonie, trzeba natychmiast [piiip…] wszystko i [piiip…] stąd!

– Eeee… szefie, co nam siedzi na ogonie? – niepewnie dopytywał się malutki przemytnik.

– Męty, [piiip…]! – Wyszczerzył się duży. – Psy! Oni! – Wskazał na związaną Vanessę i Shepa.

– Aaaa, gliny… – Ze zrozumieniem pokiwał głową mały.

– [piiip…] [piiip…]! – Z oburzeniem postukał się palcem w czoło duży. – Tak, gliny! Amerykańcy [piiip…], prostych słów nie [piiip…], wszystko trzeba tłumaczyć jak [piiip…]!

– Rozumiesz coś z tego? – wyszeptał Shep, nachylając się w stronę Vanessy. – Czy oni w ogóle mówią po angielsku? Jeśli to slang, to jakiś nowy…

– Przypomina mi to wkurzoną Florence – mruknęła Van pod nosem.

– Wróćmy więc do was. – Duży uśmiechnął się nieprzyjemnie, odwracając się z powrotem do policjantów. – Pozwólcie, że się przedstawię – Arkadij Kiriłłowicz Polakow, Amerykańcy [piiip…] cały czas przekręcają moje nazwisko…

– Wpadliśmy w ręce rosyjskiej mafii? – zdziwiła się Vanessa.

– Nieee! – zachichotał Polaków. – Nie jesteśmy z mafii, my tylko tak, zajmujemy się drobiazgami… Ci dookoła to sami Amerykańcy. Ja jestem Rosjaninem, dlatego jestem tu szefem. A wszystko dlatego, że w waszej [piiip…] Ameryce nie ma normalnych kryminalistów, ze świecą nie znajdziesz, nawet [piiip…] nie potraficie. Z tymi [piiip…] [piiip…] można co najwyżej sprzedawać podróbki zegarków…

O tym, że dookoła są wyłącznie „Amerykańcy" Vanessa już zdążyła sama się przekonać. Czterech spośród obecnych było czarnoskórych, jeden – skośnooki typ, być może taki sam pół-Chińczyk jak ona.

Polakow energicznie zacisnął pięść, wziął zamach i rąbnął Shepa

w twarz. Ten zazgrzytał zębami, ale milczał, z nienawiścią patrząc na przywódcę bandy. Lewe oko policjanta szybko puchło. Prawego już nie było widać – najwidoczniej bandyta zaczął egzekucję, zanim Shep odzyskał przytomność.

– Myślę, że ciekawi cię, [piiip…] Amerykańcu, dlaczego ja ciebie tak? – znudzonym głosem zapytał Polakow. – A dlatego, [piiip…], że ty, [piiip…], dopiero co załatwiłeś mojego brata! I teraz w tej waszej [piiip…] Ameryce, zostałem sam jeden, ostatni normalny gość! No i po [piiip…] musiałeś strzelać, psie [piiip…]? Wszystkich bym was pozabijał, jankesów [piiip…]!

– Jestem półkrwi Chinką – oznajmiła Van na wszelki wypadek.

– Nieważne – odparł Polaków. – W trumnie wszyscy leżą tak samo: i Amerykańcy, i Chinole, i Żydzi, i Czukcze. A więc tak, z tobą sprawa jest jasna. – Jeszcze raz uderzył Shepa. – Żyjesz tylko dlatego, że jeszcze nie zdecydowałem, jak mam cię zabić. Chcę, rozumiesz, żebyś [piiip…], pomęczył się przed śmiercią. Są jakieś propozycje? Powinno bardzo boleć i trwać długo, ale czysto – nie będę [piiip…] [piiip…] zostawiać dowodów.

– Cóż za oszczędność! – ironicznie zachwyciła się Van. – A może w takim razie przerobisz nas na nawóz, po co ma się dobro marnować?

– Podoba mi się twój sposób myślenia, madame – fuknął Polaków. – Gdybym miał tu daczę, tak bym właśnie zrobił. Ale obawiam się, że trzeba będzie wepchnąć was do betonu. Tu niedaleko jest budowa – zawieziemy was tam w nocy i zakopiemy pod fundamentami… Szybko i pewnie… Przykro mi, ale musimy się spieszyć, przez was, psy [piiip…] wszystkie plany [piiip…]. Więc nie narzekajcie.

– A gdzie mój pierścionek? – nie wytrzymała Vanessa, cały czas bezskutecznie obmacująca palec wskazujący. Miała straszną ochotę postąpić z tym draniem tak samo jak z demonem, który zniszczył jej toyotę, ale strzelająca piorunami biżuteria rozpłynęła się bez śladu.

– Co znowu za [piiip…] pierścionek? – nie zrozumiał Polaków. – Nie zmieniaj tematu, madame. Ten [piiip…], bez wątpienia będzie się męczył przed śmiercią, ale ty masz niewielką szansę pozostać przy życiu albo przynajmniej umrzeć szybko. Wybór jest prosty: albo współpracujesz ze mną i to od razu, a wtedy zabiję cię szybko… a może nawet wypuszczę na [piiip…], albo… Albo nie współpracujesz i wtedy zabawię się z tobą [piiip…]. I wtedy [piiip…] cię [piiip…], aż [piiip…] nie [piiip…]…

Vanessa nie całkiem zrozumiała, co obiecał jej ten Rosjanin, ale sądząc po jego gębie, nie było to nic przyjemnego.

– Biorąc pod uwagę, że nie krzyczysz: „Strzelaj faszysto, i tak nic nie powiem!”, myślę, że postanowiłaś współpracować? – złośliwie upewnił się Polakow. – W takim razie, pytanie pierwsze: ile mamy

czasu? Biorąc pod uwagę, że nie słyszę wycia syren, mamy go jeszcze trochę, prawda? Dawno byśmy stąd [piiip…], ale widzisz, nawalone tu jest towaru, nie [piiip…] zostawić… Chciwość mnie kiedyś zgubi… I nawet nie myśl, żeby mnie [piiip…]; bez względu na wszystko, zdążę was zastrzelić [piiip…].

Vanessa wzruszyła ramionami, a potem uczciwie odpowiedziała, że nie ma pojęcia, kiedy nadejdzie pomoc. I czy w ogóle nadejdzie – wygląda na to, że Florence szczerze wierzyła, że posyła Vanessę i Shepa do prostego zadania i nie ma się czym przejmować. Na Kreola też nie było co liczyć – jak miał ich znaleźć, skoro puderniczka z wbudowanym nadajnikiem rozbiła się w drobny mak?

– Odpowiedź niepoprawna, kara: śmierć. – Polakow zacisnął wargi. – Druga szansa. Z czego strzelałaś w korytarzu?

– Z pistoletu… – odpowiedział za nią Shep.

– Nie ciebie pytam [piiip…]! – warknął bandyta, uderzając go kolejny raz. – Twój [piiip…] pistolet nie [piiip…] mnie! Pytam, co to był za fajerwerk z porażeniem prądem?!

Vanessa znowu wzruszyła ramionami. Pierścionek z yirem gdzieś wyparował i nie miała pojęcia, co się z nim stało. A nawet jeśli nadal miałaby go na ręce i tak nie powiedziałaby o tym temu typowi. Zresztą wątpliwe, czy by uwierzył, że była to najzwyklejsza magia…

– Drugi błąd… – Polakow z udawanym smutkiem pokiwał głową. – Trzecia i ostatnia szansa. Co TO jest?

Gestem sztukmistrza zerwał zasłonę z czegoś dużego, na co Vanessa do tej pory nie zwracała w ogóle uwagi. Przedmiot okazał się demonem, którego spopieliła piorunem. Teraz k'ul wyglądał jeszcze gorzej niż przedtem – zgasł jego naturalny ogień, ciało sflaczało, jakby ktoś spuścił z niego powietrze, a z otworów po kulach nadal powolutku ciekła gęsta, czarna krew.

– Daję ci jeszcze kilka [piiip…] minut, madame – mrocznie obiecał Polakow. – A póki się zastanawiasz, zrobię porządek z twoim [piiip…]. Może zrobisz się bardziej skora do współpracy…

Polakow z nieukrywaną przyjemnością znów uderzył Shepa, popatrzył na niego z radością i oznajmił:

– Wygląda na to, że wymyśliłem. Założę ci [piiip…] na głowę foliową torbę i będę patrzył, jak się dusisz. Powoli, boleśnie i nikt się nie będzie nudził. Ej, Pitt, daj mi [piiip…] reklamówkę!

– Już się robi, szefie – wychrząkał jeden z czarnoskórych, tłusty chłopak o niskim czole. – Nie szkodzi, że brudna?

– To nic, nawet lepiej. – Polaków uśmiechnął się złośliwie, nakładając broniącemu się rozpaczliwie Shepowi torbę na głowę. – Śpij spokojnie, drogi [piiip…], na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci…

W tym samym momencie podłoga pod nogami zadrżała, z półek

posypały się rzeczy, dwóch bandytów nie zdołało utrzymać się na nogach, jakby część magazynu wyleciała w powietrze. Shep także się przewrócił wraz z krzesłem. Vanessa z trudem zachowała równowagę.

– A to co znowu? – burknął Polakow z lekkim niezadowoleniem. – Trzęsienie ziemi? Zobacz, jaki masz fart, pożyjesz kilka minut dłużej. Najwyraźniej Bóg cię kocha…

Magazyn zatrząsł się ponownie, tym razem jeszcze silniej. Polakow cierpliwie podniósł krzesło z Shepem, podniósł foliówkę i zaczął znowu wkładać ją na głowę ofiary. Całą procedurą wykonania wyroku zajmował się sam, nie chcąc dzielić tej przyjemności z pomocnikami.

Shep tylko zaklął niezrozumiale, starając się ugryźć swojego kata. Natomiast Vanessa, ku jego ogromnemu zdumieniu wyglądała na nad wyraz uradowaną. Nie było się czemu dziwić – od razu zrozumiała, co znaczy to nieoczekiwane trzęsienie ziemi – Kreol mimo wszystko nadszedł z pomocą. Dowiedział się jakimś sposobem, co się z nią dzieje i przybył w najbardziej odpowiednim momencie.

Na zewnątrz rozległ się huk i łoskot. Coś uderzyło w jedną ze ścian tak, że z sufitu posypały się resztki tynku, stojąca w pobliżu sterta skrzynek rozsypała się na wszystkie strony, a po cementowej posadzce rozpełzła się siatka pęknięć. Jednak ściana wytrzymała. Kreol, jak zwykle, nie pomyślał nawet, żeby poszukać drzwi, a po prostu włamywał się najkrótszą drogą.

– Ej, co to za [piiip…] się tam dzieje? – warknął Polakow, wyjmując pistolet.

– To jednak mocna ściana! – na zewnątrz rozległ się zdziwiony, lekko stłumiony głos. – No, niewolniku, rozwal ją, bo mnie boli brzuch…

Pozostali członkowie bandy też zaczęli wyciągać broń. Ci, którzy nie mieli pistoletów, wyjęli noże. Ci, którzy nie mieli noży, złapali łomy. Jeden chłopak uzbroił się w cegłę – najwidoczniej nie znalazł nic lepszego.

Nastąpiło kolejne uderzenie – pęknięcie rozszerzyło się, a potem poleciały cegły i część ściany runęła. Przez otwór wleciał Hubaksis. W pierwszej chwili Vanessa go nie poznała – dżinn powiększył się do rozmiarów człowieka.

– Gdzie jesteś, Van?! – zawołał basem, wodząc swym jedynym okiem po znieruchomiałych bandytach. Głos też mu się zmienił – ani trochę nie przypominał mysiego pisku, którym zazwyczaj się posługiwał.

W ślad za Hubaksisem w otworze pojawił się Kreol. Vanessa nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Ściągnięte brwi łączyły się u nasady nosa, usta miał zaciśnięte w wąziutką kreskę, a w oczach płonęły mu nienawiść i okrucieństwo. Mag-niszczyciel. W prawej ręce

trzymał laskę, lewą przyciskał do brzucha, z którego cienką strużką ciekła krew. Kreol zapewne odczuwał silny ból, ale znosił to ze stoickim spokojem.

– Jeden [piiip…] krok i ją zabiję! – oznajmił Polakow, przystawiając Vanessie pistolet do skroni.

– Doprawdy? – zdziwił się Kreol. – Atakuj, demonie.

Zza jego nóg wyskoczył Butt-Krillach. Czteroręki demon przeciął powietrze jak błyskawica, celując w gardło Polakowa. Przywódca bandy szybko skierował lufę w jego stronę i nacisnął spust. Rozległ się wystrzał, ale tam, gdzie przeleciała kula, elwena dawno już nie było – zahaczając po drodze o trzymającą nóż rękę jednego z bandytów. Chłopak dziko zawył – ostre zęby Tego-Który-Otwiera-Drzwi-Nogą właśnie zrobiły zeń kalekę. Hubaksis okładał pięściami drugiego – teraz dżinn mógłby się zmierzyć z samym Tysonem.

– Nie zrozumiałeś, co powiedziałem?! – szczeknął Polakow, z przerażeniem patrząc na wstrętnych przybyszów. Jego pistolet znowu był skierowany w stronę Vanessy. – Przestań, bo inaczej ją zabiję!

– Proszę bardzo – obojętnie pozwolił Kreol. – A ja ją wskrzeszę.

– Kim ty jesteś [piiip…] twoja mać?! – wrzasnął Polakow, strzelając do Kreola.

Resztę Vanessa zapamiętała kiepsko. Strzelali wszyscy. Jednak Butt-Krillach przemykał po magazynie jak żywe srebro i nikt go nie zdołał trafić, a przez Hubaksisa kule przelatywały na wylot. Jak to zrobił, by jego pięści były materialne, a cała reszta ciała – nie, wiedział tylko sam dżinn.

Kreola ochraniało coś na kształt połyskującej kuli – jej powierzchnia była cienka niczym bańka mydlana, ale wszystkie pociski odbijały się od niej, jak od stalowej ściany. Jeden z bandytów wystrzelił z winchestera i kula prawie przebiła osłabioną magiczną ochronę. Kreol podniósł tylko nonszalancko brew i rzucił w napastnika Stalowym Ostrzem – cieniuteńkim, metalowym dyskiem, wystrzelonym bezpośrednio z dłoni. Broń wypadła z martwych rąk chłopaka, a potem upadł on sam. Jego głowa została równiutko odcięta. Jeszcze jeden bandyta wściekle zawył i rzucił się na maga, wymachując łomem. Kreol zrobił jeden ruch ręką i napastnik upadł jak ścięty, rzucając się w strasznych konwulsjach. A potem walka szybko zamarła. Hubaksis znowu zmniejszył się do rozmiarów wróbla i uciekł pod ochronę swego pana. Butt-Krillach ze zdumieniem znieruchomiał tam, gdzie stał. Wszyscy przemytnicy, którym udało się przeżyć (a zostało ich równo dwunastu – pozostali z jakiegoś powodu leżeli i nie oddychali) też znieruchomieli. Nawet Polakow ze zdumienia opuścił pistolet.

Przyczyną takiego zachowania było pojawienie się na scenie nowego aktora.

Z korytarza, gdzie godzinę wcześniej zginął Nanghsibu, wyleciała ogromna ognista błyskawica. Tylko jej rdzeń kształtem bardziej przypominał człowieka byle jak ulepionego z gliny – niekształtne ręce, nogi i głowa. Od błyskawicy co chwila odrywały się cienkie, energetyczne macki, niepewnie obmacując ściany i podłogę, zostawiając przy tym czarne plamy spalenizny.

– Uczennico?!! – Kreol spojrzał na nią wściekle. – Wypuściłaś kilka piorunów naraz?!

– A co, tak nie wolno? – wyszeptała ze strachem Van.

– O głupoto ludzka! – załamał ręce mag. – Pochłaniacz nie jest przewidziany do takiego obciążenia, został zniszczony. A yir uwolnił się razem z twoimi piorunami, ty bezmózga dziewczyno! Na łono Tiamat, za co ja tak cierpię?!

Uwolniony yir przez kilka chwil niepewnie wisiał w miejscu, jakby przyglądał się zgromadzonym ludziom i jednemu demonowi, a potem najwyraźniej rozpoznał Kreola. W każdym bądź razie piorun wystrzelony z miejsca, które umownie można nazwać jego piersią, był skierowany właśnie w maga. Kreol wykazał się refleksem, natychmiast otoczył się Elektryczną Zbroją i skontrował Rezonansem Dźwiękowym, zastanawiając się przy tym nerwowo, czego by tu jeszcze można użyć. Na yira w naturalnej postaci woda nie działa, a drugiego Pochłaniacza Kreol nie miał w zapasie. Istnieją specjalne zaklęcia przeciwko energoidom, ale mag nie miał w pamięci ani jednego, a szykować je od początku, gdy atakuje cię rozjuszony yir, to po prostu samobójstwo.

Guy, odrzucony nieco do tyłu przez Rezonans Dźwiękowy, znowu uderzył ładunkiem elektrycznym. Potem jeszcze jednym. Pierwsze dwa przyjęła Elektryczna Zbroja, ale trzeci…

Przed trzecim Kreol uciekł. A dokładniej, rzucił się na podłogę, bo amulet ochronny oparzył mu skórę, prawie krzycząc o nowym niebezpieczeństwie.

Piorun Guya uderzył w ścianę, powodując nowe zniszczenia, a w chwilę później, z tej samej ściany wyleciał k'ul, przechodząc ze stanu eterycznego w cielesny. Ozog, pobratymiec Nanghsibu, przez cały czas śledził Kreola, utrzymując odpowiednią odległość, a teraz, gdy nadarzyła się stosowna chwila, nie omieszkał zaatakować.

Kreol energicznie odwrócił się na plecy, wysyłając mu na powitanie Ognistą Kopię. Nie zdążył przyjrzeć się, kim jest nowy napastnik, inaczej za nic na świecie nie skorzystałby z tego zaklęcia – wiedział, oczywiście, że łatwiej jest utopić rybę niż spalić k'ula.

Snop ognia odrzucił Ozoga do tyłu. A Kreol znowu musiał dokonywać cudów zręczności, albowiem w miejsce, gdzie dopiero co leżał, znowu uderzył piorun. Mag rzucił się w stronę zrobionej przez Hubaksisa wyrwy w murze, wyjmując jednocześnie łańcuch. Jeden z

przemytników, dziko wrzeszcząc, nieoczekiwanie uniósł się w powietrze i poleciał prosto w iskrzącego yira – Kreol bezlitośnie wykorzystał go jako żywą tarczę.

– Suruk ha, pomiocie Lengu! – obiecał, wysyłając w stronę Ozoga zaklęcie Pioruna, a w ślad za nim Kopię Marduka.

Ozog przyjął na pierś pierwsze zaklęcie, ale udało mu się umknąć przed drugim. Ranny, ale wciąż żywy, skoczył na Kreola – prosto na spotkanie rozkręconego w powietrzu łańcucha. Łańcucha, którego jedno zaklęcie mogło zabić szeregowego demona, takiego jak k'ul.

Uttuku uratował Guy. Oczywiście, wcale nie miał zamiaru pomagać nieoczekiwanemu sojusznikowi – yir strzelił w Kreola, a przypadek sprawił, że między elektrycznym pociskiem a magiem pojawił się Ozog. Tym niemniej, piorun uratował życie demona, zmieniając trajektorię jego lotu. Ozog przeleciał obok Kreola i jego łańcucha, po czym ze wstrętnym mlaśnięciem wbił się w ścianę. I natychmiast odskoczył.

Uttuku nie wyróżniają się inteligencją. Potwierdził to Ozog, gdy zamiast zaatakować Kreola – odsłoniętego, zajętego zrzucaniem sufitu na Guya, napadł na yira. To prawda, że piorun nie sprawił Ozogowi przyjemności, ale jednak uratował mu życie.

Yir zmienił spadającą belkę w stertę drzazg i zaczął z niezadowoleniem wibrować, rozbryzgując wokół siebie oślepiająco białe kłaczki energii. Od chwili, gdy uwolnił się z pierścionka Vanessy, minęła już ponad godzina. Jego ciało, które i bez tego nie było specjalnie trwałe, coraz bardziej chciało rozsypać się na cząsteczki. Ten świat absolutnie nie nadawał się dla biednego energoida. A tu jeszcze na domiar złego rzucił się na niego uttuku, pragnący rozerwać na strzępy to, co go tak boleśnie ukąsiło. Głupi jaszczur zdawał się zupełnie nie pamiętać, że w bójce yira z k'ulem zazwyczaj sromotnie przegrywa właśnie k'ul…

Ale i tym razem Ozog nie dotarł do celu. Zaatakował go niewielki, różowy kłębek, który wczepił mu się w ramię. Butt-Krillach zostawił niezagrażających obecnie nikomu bandytów i przerzucił się na bardziej niebezpieczny cel. K'ul zaryczał i próbował przycisnąć do podłogi czterorękiego demona, ale ten z małpią zwinnością wskoczył mu na grzbiet i wgryzł się w kark. Uttuku są większe i silniejsze, za to elweny poruszają się szybciej i mają lepszy refleks. Z boku wyglądało to jak pojedynek niewielkiego, ale zwinnego leoparda z niezgrabnym niedźwiedziem.

– Mało ci było jednego razu?! – wychrypiał Kreol, nie wiadomo który już raz odbijając elektryczny pocisk Guya i wysyłając w jego stronę Gwiazdę Tęczy – jedyne zaklęcie w jego dzisiejszym arsenale, które było w stanie jakkolwiek zagrozić yirowi.

Guy nieprzyjemnie zatrzeszczał, gdy wbiła się w niego kula

mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy. Gwiazda Tęczy nie mogła go zabić, ale dała magowi kilka bezcennych sekund.

– Odwróć jego uwagę, uczennico! – warknął Kreol, jednocześnie wyciągając zza pazuchy Hubaksisa i rzucając go w stronę Guya.

– Jak?! – histerycznie krzyknęła Vanessa, która przez cały czas rzucała się jak w konwulsjach, próbując się uwolnić.

Mag, który dopiero teraz zauważył, że dziewczyna jest przywiązana do krzesła, a obok niej stoi zupełnie skołowany bandyta z pistoletem, skrzywił się z niezadowoleniem i wykonał szybki gest, rzucając na Polakowa zaklęcie Zawału. Bandyta upadł jakby mu ktoś podciął nogi, zdążył jednak nacisnąć spust. Rozległ się huk wystrzału, ale Vanessa pozostała nietknięta. W tej samej chwili pętające ją sznury zajęły się błękitnym płomieniem.

Me-Kerreta, magiczny ogień Isztar, w mgnieniu oka niszczy to, na co został rzucony i nic więcej. Ogień ten można spokojnie trzymać w rękach, gdyż – podobnie jak jego pani – nie może skrzywdzić żywego stworzenia. Van zerwała się z krzesła i okrągłymi ze zdziwienia oczami zobaczyła, że obok niej w powietrzu wisi kula wystrzelona przed śmiercią przez Polakowa – Kreol w porę zauważył, że jego uczennica straciła już wszystkie Ochrony Osobiste i zatrzymał ołowianą śmierć. Zatrzymała się jakiś centymetr od celu…

Po chwili pocisk z cichym brzęknięciem upadł na podłogę, za to w powietrze uniosły się dwa pistolety – ten, który jeszcze przed chwilą trzymała martwa ręka Polakowa i drugi, wyrwany z dłoni drugiego bandyty, ciągle jeszcze żywego. Rozstał się z bronią bez protestów, zbaraniałym wzrokiem patrząc na to, co się wokół niego dzieje. W zasadzie był jedynym, który ciągle stał na widoku – reszta bandy dawno już pochowała się między skrzynkami. Najchętniej uciekliby gdzie pieprz rośnie, ale jedno wyjście zagradzał Guy, drugie – Kreol, a obok samochodów bili się Butt-Krillach i Ozog.

Vanessa złapała pistolety i uśmiechnęła się drapieżnie, z trudem powstrzymując się, by nie posłać pierwszej kuli w martwego już Polakowa. Wokół niej pojawił się błękitnobiały blask Elektrycznej Zbroi.

– Do ataku! – krótko rozkazał Kreol, nie patrząc już na nią. Ochronił swą uczennicę przed piorunem, a teraz kartkował magiczną księgę, szukając zaklęcia, które zniszczyłoby yira.

Dziewczyna posłusznie rzuciła się na Guya, strzelając z obu pistoletów jednocześnie. Oczywiście, kule przeleciały przez energoida na wylot, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy, ale główny cel udało się osiągnąć – yir, uporawszy się z Gwiazdą Tęczy, nie atakował Kreola. Teraz uderzał prądem w dziewczynę. Przed jednym piorunem Vanessie udało się uchylić, ale pozostałe uderzyły w nią i znikły, pochłonięte przez Elektryczną Zbroję.

W Guya leciała kula za kulą. Yir był wściekły – te malutkie kawałki ołowiu zostawiały w jego energetycznym ciele irytujące wyrwy. Ubytki natychmiast się zasklepiały, ale jednak niewielkie porcje energii znikały bez śladu. A yir i bez tego stracił jej już niemało…

– Jest! – uroczyście krzyknął Kreol, uniósł rękę z laską, drugą ręką rzucił w stronę yira garść jakiegoś srebrnego proszku i zaczął recytować zaklęcie:

Won, won, precz, precz!
Zgiń, zgiń, przepadnij, przepadnij!
Odejdź, zniknij, won, precz!
Twoje zło, jak dym, niech uniesie się do niebios!
Ina zumrija isa,
Ina zumrija rerha,
Ina zumrija besha,
Ina zumrija hilrha,
Ina zumrija duppira,
Ina zumrija atlaka!
Ana zumrija la taturra,
Ana zumrija la tetehha,
Ana zumrija la terherreba,
Ana zumrija la tasannirha!
Zaklinam cię, na życie szacownego Szamasza!
Zaklinam cię, na życie Ea, władcy źródeł!
Zaklinam cię, na życie Asalluhi, egzorcysty bogów!
Zaklinam cię, na życie Girry, który cię schwytał!
Ina zumrija lu tapparrasama!
Isa isa rerha rerha!
Besha besha hilrha hulrha!

Vanessa, której Elektryczna Zbroja zaczęła się rozpływać, a naboje dawno się skończyły, z ulgą otarła pot z czoła. Gdy zabrzmiało ostatnie słowo zaklęcia, niewidzialna siła odrzuciła Guya pod ścianę, gdzie wił się w agonii wśród skrzynek i pudełek, niszcząc to, co jeszcze zostało do zniszczenia.

Jeden z przemytników dostał się w jego pole rażenia i teraz konał w drgawkach wskutek straszliwego uderzenia prądem.

Agonia yira nie trwała długo. Po kilku sekundach bezkształtny piorun kulisty wybuchł jasnym światłem, a potem rozsypał się na mnóstwo iskierek. Potem one też znikły…

– Teraz twoja kolej – obiecał Kreol groźnie, podchodząc do Ozoga, cały czas zajętego pojedynkiem z pobratymcem – demonem.

Obaj nie wyglądali najlepiej. Ciało Ozoga gęsto pokrywały

szarpane rany, pozostawione przez zęby Butt-Krillacha. Elwen natomiast po spotkaniu jego paszczy z pancernym łbem uttuku pozbył się niemal połowy zębów, a do tego wyglądał na mocno poparzonego – jego przeciwnik ani na chwilę nie przestał otaczać się płomieniami.

– Arra i Agnibaal! – krzyknął Kreol, chłoszcząc Ozoga magicznym łańcuchem. – W imię Marduka i Marutukku, Trzeciego Emblematu – rozsyp się w proch, perfidny uttuku!

W miejscu, gdzie Ozoga uderzył łańcuch, natychmiast pojawiła się opuchnięta, ohydna pręga, a po chwili z k'ula została tylko sterta czarnego popiołu.

Butt-Krillach, zmęczony i wyczerpany, podpełzł do maga, kuląc na wszystkie ręce i smętnie zaskomlił.

– Widzi pan, Kreolu? – z trudem powiedział pokaleczoną paszczą. – Ze mnie też może być jakaś korzyść…

– To prawda… – Mag pokiwał głową z uznaniem, mimochodem nakładając na niego zaklęcie Regeneracji. Zwyczajne Uzdrowienie praktycznie nie działa na demony. – A co zrobimy z tym drugim?

Z zainteresowaniem obejrzał zwłoki Nanghsibu, szturchnął go czubkiem buta, poskrobał palcem, po czym odwrócił się obojętnie.

– Co, nie zamierzasz go zniszczyć? – ze zdziwieniem zapytała Van, ale mag nie raczył nawet odpowiedzieć, zbierając z ziemi pył, który pozostał z Ozoga. – Dobrze, nie, nie tak… Znajdą go faceci w czerni, odwiozą do „Bazy 51"… Mają już trupy kosmitów, teraz będą mieli demona… Oj, Shep, nie rozwiązaliśmy cię!

Ocalali przemytnicy zaczęli powoli wyłazić z ukrycia. Kreol nadal budził w nich przerażenie, ale jednak był człowiekiem, a nie jaszczuropodobnym demonem czy żywym piorunem.

– A wy wszyscy dlaczego jeszcze żyjecie? – zupełnie szczerze zdziwił się mag, odkrywszy, że w magazynie jest mnóstwo ludzi. – Niech was ogień Gibila pochłonie, robaki!

Oczywiście, zaklęcie zadziałało natychmiast – Vanessa nie zdążyła nawet krzyknąć, żeby nie ważył się zabijać aresztowanych. Banda Polakowa ostatecznie zakończyła swe istnienie – wszyscy jej członkowie, zgodnie z życzeniem Kreola zamienili się w pochodnie. Magazyn wypełnił się dzikim wrzaskiem i wyciem – śmierć w płomieniach jest bardzo bolesna. Jedna żywa pochodnia zapłonęła nawet na zewnątrz – komuś udało się uciec w zamieszaniu, choć niezbyt daleko.

Ogień Gibila w ciągu kilku sekund zabił wszystkich, oprócz Kreola i jego kompanii oraz Shepa. Nieszczęsny chłopak w końcu zdołał się uwolnić, a teraz z przerażeniem patrzył na swych wybawców, wyraźnie bojąc się ich znacznie bardziej niż tych, których Kreol pokonał.

Vanessa rozumiała, że powinna zrugać maga za masowe

zabójstwo – przecież na jej oczach miała miejsce taka jatka, w porównaniu z którą czyn osądzonego niedawno Fletchera wydawał się dziecinną zabawą! Ale teraz nie miała do tego głowy. Wzięła się pod boki, podeszła do Kreola i wrzasnęła:

– Co tak późno, co?! Ja tutaj… a ty…! Świnia, świnia, świnia!!!

Van z całej siły uderzyła go w pierś. I jeszcze raz, i jeszcze. Kreol, zupełnie skołowany, mrugał, patrząc na rozszalałą uczennicę. Przerwała egzekucję dopiero wtedy, gdy zauważyła, że dół koszuli Kreola jest przesiąknięty krwią.

– I to się nazywa wdzięczność? – powiedział, obrażony. – Nie doczekasz się jej, ani tu, ani w Sumerze…

– Oj, a co ci się stało? – zapytała zmieszana Van, wskazując na krew.

– A jak myślisz?! – odburknął rozdrażniony mag. – Nie mogłem znaleźć cię bez nadajnika… w każdym razie, nie dość szybko! Musiałem wezwać demona. W legionie Eligora poszukiwaniem zagubionych zajmuje się Andromalis, a jego już wykorzystałem… zresztą pamiętasz to.

– Pamiętam?

– Oczywiście. To on mi ciebie wtedy przywlókł… chociaż wcale go o to nie prosiłem!

– A, ten punk z muzeum… – przypomniała sobie Van.

– Kto? Tak czy inaczej, musiałem wezwać Ninnghizhiddu, a z nią nie mam umowy. Wiesz, ile krwi wzięła jako zapłatę za pomoc?! Mojej własnej krwi! Powiedz lepiej, czemu zniszczyłaś nadajnik?!

– Ja zniszczyłam?! – oburzyła się Vanessa. – To przecież któryś z nich! Zdaje się ten… a może ten…?

Vanessa z obrzydzeniem patrzyła na pogryzione i zwęglone zwłoki, ale teraz odróżnić jednego od drugiego praktycznie się nie dało.

– Dobrze, niech będzie. A po co wypuściłaś yira? Czy po to go łowiłem?!

– Ja wypuściłam?! – znowu oburzyła się Vanessa. – A czy uprzedziłeś mnie, że z tego pierścionka nie można strzelać seriami? I w ogóle – nie miałam wyboru, coś chciało mnie zeżreć! I to twoja wina!

– Moja?! – tym razem Kreola oburzył niesprawiedliwy zarzut. – A co ja mam z tym wspólnego, uczennico?! Czy to ja nasłałem na ciebie demona?!

– Nie ty. – Vanessa postanowiła nie rzucać oszczerstw. – Ale przecież nasłali go na ciebie! A ja jestem tylko niewinną ofiarą! Przeżyłam dwadzieścia cztery lata i ani razu nie widziałam nawet malutkiego demona! A odkąd ciebie poznałam, wyłażą z każdej szpary!

– Też mi coś, dwadzieścia cztery lata… – uśmiechnął się Kreol z wyższością. – Ja mam nie jeden wiek, a trzy. Bezwzględny: pięć tysięcy lat z niedużym okładem. Osobisty: dziewięćdziesiąt trzy i pół. I biologiczny: trochę mniej niż trzydzieści. Sądzę, że w tej chwili jakieś dwadzieścia dziewięć…

– A do tego jeszcze zniszczył moją toyotę… – smętnie pociągnęła nosem Vanessa, nie słuchając rozważań Kreola o jego wieku. – To był taki dobry samochód…

Samochodu rzeczywiście było żal – Vanessa dostała go z okazji osiągnięcia pełnoletności i jeździła nim już dość długo.

Kreol popatrzył na nią z poczuciem winy i wyciągnął rękę. Dość niezręcznie – ciągle jeszcze nie opanował dobrze tego gestu.

– Remis? – zaproponował.

– Remis. – Van uśmiechnęła się przez łzy, ale nie uścisnęła mu ręki. Zamiast tego jeszcze raz pociągnęła nosem i objęła swojego osobistego maga. Ten tylko jęknął – wciąż jeszcze bolała go rana brzucha, którą sam sobie zadał rytualnym nożem, ale nie opierał się.

Przyjacielskie objęcia nieco się przeciągnęły i zrobiły się nie do końca przyjacielskie. Kreol, zdziwiony, nieoczekiwanie złapał się na myśli, że sprawia mu to przyjemność. Powąchał nawet włosy Vanessy, żeby sprawdzić, czy nie są w to zamieszane jakieś wrogie czary. Jak wiadomo, człowiek nie ma narządów służących do odbioru magii, więc czarodzieje muszą wykorzystywać takie zmysły, jakie mają. Magowie „widzą" czarodziejską aurę, „słyszą" czarodziejskie pluski, „czują zapach" czarów, a nawet potrafią rozpoznawać artefakty dotykiem.

Oczywiście, Vanessa zauważyła, że Kreol ją obwąchuje. I rzecz jasna, zrozumiała to całkiem błędnie. Starała się zgadnąć, jak daleko posunie się ten bezczelny osobnik ze starożytnego Sumeru, a jednocześnie walczyła z dylematem moralnym – spoliczkować tego faceta czy posłać do wszystkich diabłów swą dziewczęcą cześć? Zresztą, prawdę powiedziawszy, rozstała się z nią na długo przed spotkaniem z Kreolem…

Jej rozmyślania przerwał dziwny dźwięk – na zewnątrz rozlegało się coś jakby gwizdek parowozu, tylko cieńszy i bardziej śpiewny. Ziemia pod nogami zadrżała, jakby tuż obok wylądowało coś ciężkiego.

– A to znowu co za…? – zaczęła Vanessa, wyskakując na zewnątrz przez dziurę w ścianie i stanęła jak wryta. Wciąż jeszcze oszołomiony Shep wyszedł w ślad za nią i ostatecznie zamienił się w słup soli. Za to spojrzenie Kreola pełne było dumy.

Gdy Vanessa przebywała w magazynie, wieczór zdążył zmienić się w noc. Chłodną, grudniową noc – dobrze, że mieszkali w ciepłym San Francisco. Dziś był nów – całkiem czarne, bezchmurne niebo

pokrywały jasne punkty gwiazd. Sto metrów od magazynu zaczynało się morze – a dokładnie, Ocean Spokojny. Dzisiaj był rzeczywiście *spokojny* – rozległa powierzchnia wody wyglądała jak wielkie lustro, nieskażone nawet najdrobniejszą zmarszczką. Na tle tego wspaniałego pejzażu oczom Vanessy i pozostałych ukazało się TO.

Wyobraźcie sobie kolosalną monetę z karbowaniami o szerokości trzech metrów. Moneta ta wisi w powietrzu tuż nad wodą, z jej krawędzi wypuszczone jest coś w rodzaju trapu. A na niej stoi spokojnie ponury, gotycki dom, którego dach zdobi maszt z obracającym się powoli ludzkim okiem na samym czubku. Na balkonie, na pierwszym piętrze, za sterem stoi ponury wąsacz w mundurze kawalerii Konfederacji. Jego postać jest półprzezroczysta…

Drzwi starego domu Katzenjammera otworzyły się i na progu pojawił się poważny skrzat w liberii kamerdynera.

– Kocebu na stanowisku, siiiir! – oznajmił z powagą, zadzierając brodę jak najwyżej.

– Zapraszam na pokład, uczennico! – wesoło zakrzyknął Kreol, wskakując na trap. – Co powiesz o moim dziele?

– Konspirację diabli wzięli… – Vanessa pokiwała głową, widząc ogromne oczy Shepa. – Ale do diabła z nią! Jest super! Ej, Shep, poradzisz sobie beze mnie?

– Ja… a… no… – z trudem wykrztusił policjant.

– To wspaniale! W takim razie przekaż Florence, że się zwalniam! Pensję za ostatni miesiąc niech prześle pocztą. Jeśli uda jej się ustalić adres!

– Szykuj Kamień Wrót, Hubercie! – radośnie krzyknął mag, wchodząc do domu. – Kolejny przystanek: Dziesięć Niebios! Na Marduka Potężnego Topora, niech się tak stanie!

***